#160 7-8/2019

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 16 330 indeks 211060 #160 7-8/2019

Krzysztof Karnkowski

POWRÓT DO CZARNOBYLA

DODATEK SPECJALNY

KSIĄŻKA O PIŁSUDSKIM

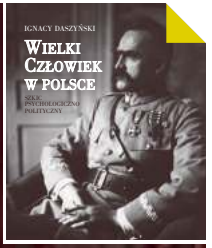

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

BESTIA BUSINESS CLASS

Mordercy dzieci mają tu swój azyl

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. FOTOLIA (3)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl d6f3169021

TEMAT NUMERU ▼ 4–14

fot. Mariusz Trolinski, fot. Fotolia (3)

Bezwzględni mordercy mają tu swój azyl / 4

IDEE ▼ 16–26

Ilustracja Rafał Zawistowski

Powrót geopolityki I Rzeczypospolitej / 16

HISTORIA ▼ 28–59

fot. NAC

Za mała suma, aby opuścić Polskę / 28

KULTURA ▼ 60–66

fot. mat. pras.

Powrót do Czarnobyla / 60

ŚWIAT ▼ 68–97

fot. CLEMENS BILAN/PAP/EPA

Życie towarzyskie i uczuciowe Angeli M. / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Jacek Liziniewicz
Bezwzględni mordercy mają tu swój azyl 4

Z Jackiem Wroną rozmawia Grzegorz Broński
Zbrodnia doskonała? Nie istnieje! 8

Małgorzata Matuszak
Bestiarium 12

Ryszard Czarnecki
Krystyna i Kristina. Więźniowie i zbrodniarze... 14

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Powrót geopolityki I Rzeczypospolitej 16

Tomasz P. Terlikowski
Japoński Tomasz Morus 24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Za mała suma, aby opuścić Polskę 28

Dariusz Jarosiński
Pamięć Powstania 34

Agnieszka Kowalczyk
Szła za nią śmierć i pożoga. O Konarmii Budionnego 40

Ewa Polak-Pałkiewicz
Polonofil, co postępowcom w pas się nie kłaniał 46

Magdalena Złotnicka
Marianna, czyli kamieniem w ZOMO 52

Bolesław Wieniawa-Długoszowski
Marszałek Piłsudski w życiu prywatnym i obozowym 57

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
Powrót do Czarnobyla 60

Z Andrzejem Pilipiukiem rozmawia Grzegorz Wszołek
Odwrócić bezlitosne wyroki historii 64

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Życie towarzyskie i uczuciowe Angeli M. 68

Antoni Rybczyński
Brutus z Kiszyniowa, czyli „gra o tron" po izraelsku 72

Hanna Shen
Hongkończycy walczą o wolność 77

Jacek Plisak
Cień apartheidu 80

oprac. Antoni Rybczyński
Rewelacje KGB: finlandyzacja, szpiedzy i ślepe lustro 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

Stefan Czerniecki
Nasz człowiek na najtrudniejszym szlaku Europy 92

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Brak odpowiedzialności wzmacnia patologię
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... zazdrość
KATECHIZM INTELIGENTA 15

Krzysztof Budka
Kapitał to paliwo. Skąd je brać?
SŁOWEM O GOSPODARCE 23

Ryszard Czarnecki
Świt i sznur, czyli samorządy stolicy, Gdańska i Radomia
CZARNECKO TO WIDZĘ 27

Marek Kalinowski
Boss szuka celu
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67

Olga Doleśniak-Harczuk
A po nabożeństwie coś ci narysuję
Z GLOBALNEGO TYGLA 88

Marcin Wolski
Zbrodnie i kary
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Przestrzeń wojny
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 29 58
prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
09124010241111001042639001

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl d6f3169021

Katarzyna Gójska

Brak odpowiedzialności wzmacnia patologię

To prawda, że nawet najlepszy system nadzoru nie wyeliminuje wszystkich patologii i zagrożeń. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że najpoważniejszym jego problemem jest brak odpowiedzialności. Sędzia mógł zniszczyć życie, rodzinę i uchodziło mu to płazem. A przecież jakże często z powodu takich działań wymiaru sprawiedliwości – choćby związanych z odbieraniem dzieci z powodu biedy – wyrządzano szkody niedające się już nigdy naprawić. Nikt nie ponosił za to konsekwencji.

W Olecku w straszliwy sposób zamordowano 9-miesięczne dziecko. Z informacji dostępnych w mediach wiemy, iż maleństwo przez kilka tygodni było po prostu torturowane. Oprawcy to rodzice dziewczynki. Oboje mieli nadużywać alkoholu, narkotyzować się i stanowić zagrożenie dla swojej córki. Kilka miesięcy temu dziecko zostało im odebrane i trafiło do rodziny zastępczej. Jednak decyzją sądu dziewczynka wiosną wróciła do rodzinnego domu. Sąd rodzinny uznał, że rodzice mogą sprawować nad nią opiekę, wyznaczył kuratora, który podobno odwiedzał rodzinę i nie miał zastrzeżeń do opieki. Wedle jego opinii niemowlę rozwijało się prawidłowo i było zadbane. Jednym słowem: zdaniem instytucji mających obowiązek stać na straży interesu maleństwa – wszystko było w porządku. Dziś wiemy, że nie. W domu dochodziło do horroru – prawdziwego horroru – dziecko zmarło w niewyobrażalnych męczarniach. Po raz kolejny w tragiczny sposób przekonaliśmy się, że bardzo często – za często – nadzór wymiaru sprawiedliwości nad bezpieczeństwem dzieci jest po prostu patologią. Kiedy trzeba, nie reaguje, kiedy nie trzeba – niszczy normalne rodziny. Czekam na wyciągnięcie konsekwencji wobec sądu, który poprzez swoją nieudolność pozwolił zabić niewinne i bezbronne dziecko. Czas, by w końcu pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko sprawców, lecz także umożliwiających zbrodnicze działanie sędziów i kuratorów. Tej śmierci nie byłoby, gdyby nie ich błędy i zaniechania. Ale jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Czy słyszeli Państwo oświadczenia Rzecznika Praw Obywatelskich, znanych prawników – choćby byłego szefa Trybunału Konstytucyjnego – którzy domagaliby się natychmiastowej kontroli sądu rejonowego działającego w tej sprawie? A może słyszeli Państwo głosy płynące z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka? Najwyraźniej w kręgu ich zainteresowań zabrakło miejsca na sprawę małej, zakatowanej dziewczynki. Trudno się dziwić, skoro wszystkie siły skierowano na wyjaśnianie, dlaczego policja prowadziła podejrzanego o zamordowanie 10-latki z Dolnego Śląska w majtkach. Jak widać, sprawa skąpego odzienia prawdopodobnego zabójcy i jego dyskomfort z tego powodu są ważniejsze niż tragedia kilkumiesięcznego dziecka, któremu pod nadzorem sądu zgotowano najokrutniejszy los.

Ale przecież dramat, jaki wydarzył się w Olecku, nie jest pierwszym – pod kuratelą sądów i rozliczanych przez nie kuratorów dochodziło w naszym kraju do niesprawiedliwości oraz zbrodni. To prawda, iż nawet najlepszy system nadzoru nie wyeliminuje wszystkich patologii i zagrożeń, jednak trudno nie odnieść wrażenia, że najpoważniejszym jego problemem jest brak odpowiedzialności. Sędzia mógł zniszczyć życie, rodzinę i uchodziło mu to płazem. A przecież jakże często z powodu takich działań wymiaru sprawiedliwości – choćby związanych z odbieraniem dzieci z powodu biedy – wyrządzano szkody niedające się już nigdy naprawić. Nikt nie ponosił za to konsekwencji. Nawet więcej – nikt nie tracił pracy.

W najnowszym numerze miesięcznika opisujemy, w jakich warunkach przetrzymywani są w naszym kraju najgroźniejsi przestępcy. Choć postęp cywilizacyjny daje społeczeństwom możliwości skutecznej izolacji tych arcypatologicznych jednostek bez korzystania z rozwiązania ostatecznego – czyli pozbawienia życia – to warto zadać pytanie, czy jej warunki są takie, jakie być powinny. Każdy z naszych Czytelników po lekturze „Nowego Państwa" będzie mógł wyrobić sobie na ten temat zdanie.. ■

eprasa.pl d6f3169021

Prawa sprawcy, surowość i adekwatność kary, ocena pracy służb, rola Rzecznika Praw Obywatelskich, ośrodek w Gostyninie – to tylko niektóre z tematów dyskusji, jakie wybuchły w Polsce po morderstwie 10-letniej Kristiny z Mrowin.

Jacek Liziniewicz

Bezwzględni mordercy mają tu swój azyl

eprasa 169021

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. FOTOLIA (3)

Przed 13 czerwca 2019 roku mało kto słyszał o Mrowinach. Licząca niespełna 1000 osób wieś położona nieopodal Wałbrzycha w powiecie świdnickim nie wyróżniała się niczym ani w skali kraju, ani nawet w skali województwa dolnośląskiego. Ot, jedna z tysięcy podobnych wsi w Polsce. Wszystko do momentu zaginięcia 10-letniej dziewczynki Kristiny.

Anatomia wydarzeń

Ten dzień był taki jak każdy inny czwartek. Około godziny trzynastej 10-latka wyszła ze szkoły w centrum Mrowin i udała się w kierunku domu. Miała do przejścia niewielki kawałek, więc w mieszkaniu powinna znaleźć się po około 15 minutach. Była widziana przez sąsiadów jeszcze 200 metrów od domu, ale jednak nigdy do niego doszła. Zaniepokojona matka postanowiła zgłosić sprawę zaginięcia. Do akcji przystąpili policjanci, straż pożarna i mieszkańcy, którzy rozpoczęli przeczesywanie terenu. W akcji brał nawet udział policyjny helikopter. Ostatecznie jednak ciało Kristiny zostało odnalezione kilka godzin później, 6 kilometrów od domu, nieopodal miejscowości Pożarzysko, przez przypadkowych spacerowiczów. Z parą, która odkryła zwłoki, rozmawiał Polsat News. Bogumiła Pabian pojechała razem z mężem do lasu. – Podjechaliśmy samochodem i w pierwszej chwili to była taka sytuacja, że zaparkowałam samochód, mąż wyszedł z samochodu, odpiął psa i go puścił. Dziwne, bo do tej pory nie rozumiem, dlaczego pies wyszedł z samochodu i w sekundę wrócił do auta i nie chciał wyjść – relacjonowała kobieta. Podjęła drugą próbę i zobaczyła, że coś leży obok drogi. – Zobaczyłam, że nogi rozłożone w taki sposób nienormalny, bluzka zakrwawiona, były muchy. Twarzy nie widziałam, tylko włosy takie jak spocone, jak brudne, jak mokre, takie jasne włosy – powiedziała Polsat News Pabian.

Policja na start

Policja natychmiast wzięła się do pracy. Do szukania sprawcy zatrudniono 200 funkcjonariuszy. W pracę aktywnie włączyło się również społeczeństwo, do którego dotarła skala zbrodni. Tysiące osób zgłaszało się do służb z informacjami. Jak zwykle w takich wypadkach większość z nich nie miała wiele wspólnego ze sprawą. Przez trzy dni media spekulowały, a jednym z podejrzanych był m.in. przestępca pedofil, który gdzieś zaszył się przed policją. Wiadomość przełomową przyniosło jednak zeznanie świadka, który poinformował, że miesiąc wcześniej jeden z mężczyzn chciał zlecić morderstwo 10-latki. Funkcjonariusze zaczęli po kolei rozwikływać sprawę. Kilka godzin trwało badanie miejsca, gdzie znaleziono ciało. 12 godzin robiono sekcję zwłok. Policjanci apelowali m.in. do kierowców o dane z rejestratorów na ewentualnej trasie przejazdu mordercy i ofiary. Trzy dni po morderstwie na terenie Wrocławia policjanci zatrzymali podejrzanego. Był nim 22-letni student Jakub A. Ten początkowo wszystkiemu zaprzeczał. Przygotował sobie alibi. Funkcjonariusze jednak doszli do tego, że użył on wypożyczonego samochodu, który po morderstwie bardzo dokładnie sprzątnął, próbując zatrzeć biologiczne ślady. Na niewiele się to zdało. Po kilkunastu godzinach Jakub A. pękł i przyznał się do winy. Wszystko potwierdził podczas wizji lokalnej.

„Sąd Rejonowy w Świdnicy na wniosek Prokuratora Okręgowego w Świdnicy zastosował tymczasowy areszt na okres trzech miesięcy wobec 22-letniego Jakuba A., podejrzanego o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem 10-letniej Kristiny w dniu 13 czerwca 2019 roku. [...] Poza zarzutem zabójstwa Jakub A. usłyszał także dotyczący podżegania innej osoby do zabójstwa10-letniej Kristiny. Przesłuchany w charakterze podejrzanego Jakub A. przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów i złożył w tym zakresie wyjaśnienia. W trakcie przeprowadzonej w tej sprawie z udziałem podejrzanego wizji lokalnej w sposób szczegółowy przedstawił on przebieg zdarzenia i ujawnił okoliczności, które mógł znać tylko sprawca" – ogłosiła Prokuratura Okręgowa w Świdnicy. W tym czasie emocje już sięgały zenitu. Mieszkańcy Mrowin chcieli mordercę dostać w swoje ręce. Media opublikowały również film z przybycia Jakuba A. do aresztu i „przywitania" przez współwięźniów, którzy krzyczeli zgodnie: „Powieś się!".

Monitorowany całą dobę

W kraju wciąż pojawiają się głosy, aby osadzeni „rozwiązali" problem. Na to nie pozwoli jednak Służba Więzienna. Jakub A. jest dziś bowiem traktowany jako więzień szczególnie niebezpieczny, a więc będzie osadzony w jednoosobowej celi z całodobowym monitoringiem. Sprawca nie będzie się również kontaktował z innymi osadzonymi. Obecnie Jakub A. zostanie poddany badaniom psychiatrycznym, jak na razie nie wiadomo, czy wystarczy jednorazowa konsultacja z psychologiem czy czterotygodniowa obserwacja. Z pewnością mogą pojawić się zarzuty psychiatryczne, biorąc pod uwagę, że jedną z podawanych motywacji Jakuba A. ma być... miłość do matki Kristiny, której na drodze miała stać właśnie 10-latka. Z drugiej strony jednak działania mordercy i zaplanowanie zbrodni wskazywałyby na zdolność do ra-

eprasa.pl d6f3169021

cjonalnego podejmowania decyzji. To o tyle ważne, że od tego zależy, jaką karę może otrzymać. Na teraz wydaje się, że może on usłyszeć wyrok od 12 do 25 lat więzienia lub w najgorszym dla niego razie – dożywocie. Jednak w razie stwierdzenia choroby psychicznej mógłby trafić do zakładu zamkniętego na leczenie, na przykład do szklarniowych warunków Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie. Już dziś ośrodek „pęka w szwach", przebywa w nim 65 osób. Najprawdopodobniej nowym „pacjentem" będzie zabójca Pawła Adamowicza – Stefan W.

Bodnar na ratunek

Początkowo wydawało się, że chociaż w tej jednej sprawie uda się uniknąć awantury politycznej. Politycy prześcigali się w wyrazach potępienia dla sprawcy. Morderca został przez służby ustalony i złapany wyjątkowo sprawnie. Czar powszechnej zgody jednak prysł, gdy swoje oświadczenie wystosował Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar, który ujął się za Jakubem A. Zaatakował on policję za to, że wyprowadzając skazanego, zastosowała kajdanki zespolone (jednocześnie zakładane na nogi i na ręce). Podczas przesłuchania podejrzanemu miała nie być udzielona pomoc prawna, a dodatkowo funkcjonariusze mieli go trzymać przez wiele godzin w krótkich spodenkach i boso. Zdaniem RPO działania policji były „nieproporcjonalne i miały charakter pokazowy". „Takie zachowanie narusza godność zatrzymanego i stanowi pogwałcenie praw człowieka" – napisali przedstawiciele Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, którego zadania wykonuje Rzecznik Praw Obywatelskich. Za jego opinią podążali oczywiście politycy opozycji, zarzucając ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobro, że „udaje szeryfa". PiS nie pozostawał dłużny. – Myślę, że to jest właśnie świat postawiony na głowie – to, co RPO, pan Bodnar, tutaj przedstawił. My powinniśmy chronić słabszych, najsłabszych, a nieobliczalny morderca, który dokonał ohydnej zbrodni, musi zostać w jak najszybszy sposób unieszkodliwiony [...]. Musi być przede wszystkim w bezpieczny sposób przez organy ścigania doprowadzony do właściwego miejsca – powiedział w radio RMF FM premier Mateusz Morawiecki. Interweniowała również policja. – Szkoda, że pan Adam Bodnar, Rzecznik Praw Obywatelskich, swoje stanowiska przesłał najpierw do mediów, wywołując niepotrzebne, emocjonalne reakcje społeczeństwa i dyskusję tuż przed pogrzebem – mówił Mariusz Ciarka, rzecznik Policji. Funkcjonariusze wskazywali również na to, że nie została złamana żadna procedura, odrzucili również zarzuty o brak prawnika i ubrania. W szeregach policji trwa natomiast proces wyjaśniania tego, kto ujawnił zdjęcie zatrzymanego z przesłuchania. „Głęboko współczuję rodzinie zamordowanej. Będę śledził przebieg tej sprawy i dbał o respektowanie praw poszkodowanych do sprawiedliwego procesu" – napisał w końcu Bodnar. Jego interwencja wywołała jeden efekt, dał drugie życie medialne tematowi.

O komfort bestii

Co ciekawe, RPO walczy nie tylko o prawa domniemanych morderców, lecz także o komfort najgroźniejszych przestępców siedzących w ośrodku dla bestii w Gostyninie. Ta „lecznica", do której trafiają kryminaliści, których państwo obawia się wypuścić na wolność, już dzisiaj generuje ogromne koszty. Tylko w 2018 roku działanie ośrodka kosztowało podatników ponad 26 mln zł. Biorąc pod uwagę, że teoretycznie „leczy się" w nim 65 osób, koszt jednego osadzonego to ponad 400 tys. zł. Warunki na oddziale są dość dobre, ale ponieważ do Gostynina trafiają doświadczeni kryminaliści, to zajmują się oni głównie pisaniem skarg. Jednym z częściej podnoszonych problemów jest funkcjonowanie zakupów w ramach ośrodka. Tak się bowiem składa, że pacjenci otrzymują wszystkie przysługujące im świadczenia ze strony państwa (minimalna emerytura itd.). Takiego komfortu nie mają na przykład mieszkańcy domów pomocy społecznej, którym z urzędu pobiera się 70 proc. dochodów na rekompensatę kosztów funkcjonowania ośrodka. W każdym razie temat pojawia się w każdym raporcie Adama Bodnara. „Pacjenci zwracali uwagę na ograniczony asortyment produktów, jakie mogą zamówić do kupienia, podkreślając, że w przeszłości kwestia ta wyglądała lepiej. Zakupy realizują pracownicy Ośrodka w Kauflandzie raz w tygodniu. Ilość zakupów jest ograniczona do dużej torby. [...] Pacjenci skarżyli się ponadto na fakt, iż zaopatrzenia w środki higieny (np. krem i maszynkę do golenia, proszek do prania, pasta do zębów) dokonują z własnych środków finansowych" – czytamy w jednym z raportów. Oczywiście to niejedyne zakupy. Jak wieść gminna niesie, „pensjonariusze" potrafią również zamawiać sobie jedzenie z miasta. Zresztą to nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę, że na terenie ośrodka w ciągu pięciu lat funkcjonowania odbyły się dwa śluby, w tym Mariusza Trynkiewicza. RPO zbiera te uwagi i transmituje je dalej, upominając się o internet dla „pacjentów", możliwości dłuższych spacerów, zajęcia kulturalno-edukacyjne. Może wkrótce problemy takie się skończą, bo Polska przygotowuje się do budowy zupełnie nowego ośrodka dla bestii, gdzie ludzie ci będą mieli komfortowe warunki w dwuosobowych salach. Inwestycja ma ruszyć wkrótce. ■

eprasa.pl d6f3169021

Zbrodnia doskonała? Nie istnieje!

Przestępcy działający z premedytacją, według planu, z reguły popełniają jakiś błąd i zostawiają ślady pomagające w ich namierzeniu. Nie ma bowiem zbrodni doskonałej. Oczywiście jeśli właściwie zostaną zabezpieczone dowody. Najtrudniejsze są śledztwa, gdy sprawca działa spontanicznie – z **Jackiem Wroną**, byłym policjantem operacyjnym i oficerem CBŚ, dzisiaj biegłym sądowym, współautorem książki „Komisarz", rozmawia **Grzegorz Broński**.

eprasa.pl d6f3169021

fot. Adam Warzawa/PAP(D), TV REPUBLIKA

Umawialiśmy się na rozmowę o pracy policjantów, bez wątków politycznych, ale... Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar wydał oświadczenie, w którym skrytykował sposób zatrzymania Jakuba A., podejrzanego o bestialskie zabójstwo 10-letniej Kristiny z Mrowin. Według Bodnara kajdanki na nogach mężczyzny były zbędne, a wyprowadzenie bez spodni – poniżające. Co Pan pomyślał, gdy o tym usłyszał?

Wypowiedź tego pana, jak ktoś powiedział „rzeźnika praw obywatelskich", była prowokacją. Miała na celu zdystansowanie się od ewidentnego sukcesu policji i obniżenie jego wydźwięku społecznego. Ludzie – zbulwersowani mordem dziecka – domagali się jak najszybszego zatrzymania sprawcy, i tak się też stało. Więc trzeba było wprowadzić element niepokoju, oplucia policjantów. Dlaczego tak twierdzę? Bo ustawa z 24 maja 2013 roku o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej mówi wyraźnie, że tych pierwszych używa się w 14 wymienionych przypadkach. Między innymi dla zapewnienia bezpieczeństwa konwoju lub doprowadzenia; udaremnienia ucieczki zatrzymanego; przeciwdziałania czynnościom zmierzających do autoagresji. W ustawie wymienia się także sytuacje, w których mogą być użyte kajdanki zespolone. Jedna dotyczy zatrzymania w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa z użyciem broni palnej, materiałów wybuchowych lub innego niebezpiecznego narzędzia, a tutaj mieliśmy podejrzenie, że zatrzymany zadał ofierze kilkadziesiąt ciosów nożem. Takie zachowanie policjantów to był ich obowiązek. Zastosowano środki zgodne z przepisami prawa. Gdyby nie zostały przedsięwzięte, to policjantom groziłaby odpowiedzialność co najmniej służbowa. A to, że zatrzymany był bez butów? Zdarza się, zresztą ich brak utrudnia ucieczkę. A że w majtkach czy spodenkach go wyprowadzili? Przecież nie był w stringach! No bez przesady, mówimy o potencjalnym mordercy dziecka. Jeśli Rzecznik Praw Obywatelskich myśli, że względy estetyczne są najważniejsze, to powinien zostać florystą.

Ale jak mogli poczuć się policjanci, którzy zatrzymali Jakuba A., a zostali wręcz oskarżeni? Pewnie nie brakowało mocnych słów.

Policjanci zadziałali maksymalnie szybko i w przeciągu trzech dni ustalili potencjalnego sprawcę, dokonali zatrzymania, sąd zgodził się tymczasowo go aresztować. I nagle okazuje się, że najważniejszą rzeczą jest wyprowadzenie faceta w gaciach. Ciężko to nazwać... Gdyby Rzecznik Praw Obywatelskich przy-

eprasa.pl 6f3169021

pomniał społeczeństwu, które jest żądne krwi po tak strasznej zbrodni, że prawo linczu jest niedopuszczalne, że ten mężczyzna musi być sprawiedliwie osądzony, że to nadal człowiek, choć bestia – wtedy bym rozumiał takie działania. Konferencja rzecznika z policjantami także miałaby ogromny walor edukacyjny, a zamiast tego mieliśmy do czynienia z totalnym brakiem klasy.

▶ W areszcie Jakub A. otrzymał status niebezpiecznego, będzie przebywał w pojedynczej celi, stale monitorowanej. Zazwyczaj takie środki są stosowane wobec groźnych gangsterów, ale w tym przypadku chyba chodzi również o zapewnienie bezpieczeństwa Jakubowi A.?

Przede wszystkim! Zdajemy sobie sprawę, że gdyby trafił do ogólnej celi, chociażby do grypsery, to prawdopodobnie nie przeżyłby pierwszej nocy. Ale ktoś, kto morduje z zimną krwią, planując, tworząc fałszywe dowody, jest postacią przerażającą. I trzeba o tym pamiętać. Bywałem w sytuacji, gdy w wyniku naszych działań ktoś odniósł obrażenia i tygodniami miałem wyrzuty sumienia, analizowałem, co można było inaczej zrobić. Człowiek nie ma bowiem psychiki nastawionej na zadawanie śmierci, bólu, nieszczęścia innym ludziom. Tylko osobowości psychopatyczne są w stanie zrobić to z premedytacją. Jakuba A. bez wątpienia trzeba chronić przed zewnętrznym atakiem, ale z drugiej strony nas należy chronić przed nim.

▶ Jak się pracuje pod tak ogromną presją – medialną polityczną, społeczną – jaka była po zabójstwie Kristiny? Lepiej chyba działać w ciszy, spokojnie gromadzić dowody?

Pewne działania rzeczywiście lubią ciszę, ale presja jest też mobilizująca. Rzecznik komendanta głównego policji powiedział o carte blanche dla policjantów pracujących przy tej sprawie, mogli korzystać z wszelkich środków, narzędzi technicznych. To pozwala zastosować całą gamę działań techniki operacyjnej. Nieraz są problemy z dostępem do nich, a tutaj było zielone światło. A jak słusznie mówi teoria: najważniejsze są pierwsze godziny po zdarzeniu. To, co się uda wtedy zebrać, zabezpieczyć, jest kluczowe. Pamiętajmy bowiem o jednym: sukcesem nie jest samo zatrzymanie potencjalnego sprawcy, sukcesem prawdziwym jest zdobycie takich dowodów, które pozwolą sądowi wydać wyrok skazujący. Często bywa, że policjanci są przekonani, że ten czy tamten dokonał zbrodni, lecz brakuje na to dowodów. Obecnie nierzadko zatrzymuje się sprawców przestępstw dokonanych 20–30 lat temu, bo dzięki postępowi technologicznemu można inaczej przebadać materiał dowodowy, ale musiał być na pierwszym etapie właściwie zabezpieczony.

▶ Według znanego powiedzenia zabójca zazwyczaj znajduje się w pierwszym tomie akt. To mit czy rzeczywiście jest coś na rzeczy?

Bardzo rzadko sprawca działa całkowicie spontanicznie, bez przewidywalności. Mimo wszystko – nawet biorąc pod uwagę zachowania psychopatów – wyjątkowo sporadyczne są sprawy, gdy brakuje jakichkolwiek nici łączących ofiarę ze sprawcą. Czasami znajdujemy ofiarę i pustka. Wtedy trzeba posiłkować się przede wszystkim pracą operacyjną i szukać dowodów, tropów. Zazwyczaj jednak jest wiele śladów: materiał genetyczny, który można dokładnie zbadać dzięki postępowi kryminalistycznemu, odciski palców sprawdzić w programie AFIS, który pozwala typować podejrzanych. I najważniejsze: wykrywalność najcięższych przestępstw jest w Polsce bardzo, bardzo wysoka.

▶ W przypadku zabójstw zazwyczaj sprawcą jest ktoś z kręgu krewnych lub znajomych ofiary.

To prawda, najczęściej do zabójstw dochodzi w rodzinie: mąż–żona lub na odwrót, rodzeństwo, dzieci, rodzice. To rzecz niepodlegająca dyskusji. Nie zawsze jednak motywem są – jak się powszechnie sądzi – pieniądze i zazdrość, lecz dość często stan upojenia alkoholowego. Sprawcy tego typu przestępstw z reguły przyznają się do winy, nawet jeśli nie pamiętają, co zrobili. Bo dowody są jednoznaczne.

▶ Postęp technologiczny zmienił styl pracy policjantów. Dzisiaj przestępcom trudniej się ukryć, a przede wszystkim skutecznie zatrzeć ślady popełnionej zbrodni.

Bez wątpienia inaczej się pracuje, jest przeskok jakościowy w kryminalistyce, ale zawsze kroczymy za przestępcami wymyślającymi nowe sposoby nielegalnego działania. Kiedyś nie mieliśmy takich możliwości technicznych jak dzisiaj, ale i druga strona z nich nie korzystała. Dawniej ludzie więcej rozglądali się wokół siebie, bo nie zaglądali w ekrany smartfonów, patrzyli na twarze innych osób, obserwowali wydarzenia wokół i dzięki temu stawali się ważnymi świadkami. Obecnie część pracy wykonują komputery, są algorytmy, które pomagają przy analizie kryminalnej, systemy mające odpowiednie dane mogą

eprasa.pl d6f3169021

wytypować sprawcę, ale kiedyś podobną analizę robili policjanci znający się na temacie. I dochodzili do identycznych wniosków co maszyny (śmiech).

Ale zmienia się również świat przestępczy. Teraz mało kto biega z pistoletem po ulicy, bo pieniądze lubią ciszę. One są tam, gdzie jest przestępczość ekonomiczna, „białe kołnierzyki", a ci ludzie pierwsi krzyczą „łapać złodzieja". Podobnie w więzieniu. Dawniej rządziła grypsera, a dzisiaj skazany mający miliony nie będzie się zadawał z grypsującym lumpem.

Jest jednak pewna zasada, która nigdy się nie zmieni. Dobrym kryminalnym czy dochodzeniowcem nie zostanie człowiek, który nie ma intuicji, przysłowiowego policyjnego nosa. A dochodzeniowców mamy naprawdę dobrych, policjant operacyjny to inna kategoria. W Stanach Zjednoczonych to elita, u nas szczególnie wysoko ceniono funkcjonariuszy z wydziałów narkotykowych. Oni najczęściej stosowali narzędzia i metody techniki operacyjnej. Przede wszystkim jednak policjant powinien być jak chirurg. Całkowicie porzucać emocje. One zawężają zdolność do trzeźwej, zimnej analizy sytuacji.

▶ Cywilowi trudno sobie wyobrazić, że policjant, który na co dzień ogląda ludzkie dramaty i brutalność przestępców, potrafi to zresetować i o tym zapomnieć. To musi zostawać w człowieku...

Pierwszą rzeczą, którą powiedzieli mi starsi koledzy, gdy zacząłem służbę: broń Boże, nie przenosić roboty do domu. Starać się zapomnieć o drastycznych scenach. Jeśli ktoś tego nie potrafi, to szybko będzie miał piekło, rozwali się rodzina, zacznie pić, a na emeryturze adrenalina spadnie i umrze na serce. To była świetna przestroga. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Był okres, gdy zacząłem przenosić emocje z pracy do domu, i błyskawicznie pojawiły się problemy. Na szczęście to był tylko epizod, bo szybko naprawiłem błąd.

▶ Zabójca z Mrowin chciał popełnić „zbrodnię doskonałą", choć taka nie istnieje. Idealnym tego potwierdzeniem są działania funkcjonariuszy z wydziałów X, którzy nawet po 20 latach potrafią dorwać mordercę. Jeśli śledztwo jest dobrze poprowadzone, to sprawca zawsze wpadnie?

Oczywiście że tak. Wbrew pozorom układanie przez przestępców skomplikowanych planów, kalkulacje robione przez ludzi mających mgliste pojęcie o pracy policyjnej, obraca się przeciwko nim. Wpadają na dziwaczne pomysły, jak pranie tapicerek, czyszczenie auta – a nierzadko zamazując jedne ślady, zostawiają inne (śmiech). Tych śladów każdy człowiek pozostawia dużo. Różnego rodzaju. Od fizycznych, biologicznych, poprzez elektroniczne do biernych, czyli na rozmaitych rejestratorach, kamerach, czujnikach. Dużo ciężej jest wykryć spontaniczne przestępstwo, popełnione bez żadnego przygotowania, niż rzekomą „zbrodnię doskonałą".

▶ Jako policjant zatrzymywał Pan podejrzanych, pomagał prokuratorowi stawiać zarzuty. A śledził Pan losy procesów?

Tych najważniejszych tak. Chociażby w mojej sprawie życia, czyli rozpracowaniu na materiałach własnych szlaku bałkańskiego przerzutu narkotyków zorganizowanego przez grupę pruszkowską. Dla satysfakcji, że zostali skazani, ale poza tym podczas procesu wychodziły na jaw okoliczności, które przydawały się w dalszej pracy, w innych sprawach.

Jeśli sąd podzieli argumenty prokuratora, który bazuje na materiałach otrzymanych od nas, to nie ma co ukrywać – jest satysfakcja. A w przypadku zabójstw ulga, że taki człowiek zostaje odizolowany i już nikomu nie zrobi więcej krzywdy. Niestety, skomplikowane sprawy, tytaniczna praca nierzadko odbywają się kosztem życia osobistego, rodzinnego. Brutalnie jednak mówiąc: „Nająłeś się jako pies, masz szczekać jak pies". Zwłaszcza że za naszych czasów pieniądze były naprawdę słabe, większość dobrych oficerów robiła dla idei. Nadgodziny były liczone w tysiącach, całe dnie spędzało się w komendzie, stres ogromny. Przez to nie brakowało słabości, alkoholizm był powszechny, w książce „Komisarz" opisuję, jak to wyglądało, bywały cugi alkoholowe nawet po pół roku nietrzeźwienia. Można się teraz wstydzić przeszłości, ale to się działo. Nie ma też co czarować, że nie stosowano przemocy. Była, ale to się już zmieniło.

▶ Ale jak zachować spokój, gdy metr obok siedzi człowiek, który nie miał litości dla dziecka, który mordował z zimną krwią... I podaje makabryczne szczegóły. Wielu by nie wytrzymało.

Powstrzymanie takich emocji świadczy o wyższości profesjonalisty. Nie można mieć takich samych zachowań jak przeciętny człowiek, bo jest się zawodowcem. Celem jest wyeliminowanie przestępcy ze społeczeństwa, wsadzenie na długie lata do więzienia. Pobić takiego faceta nie jest żadnym wyczynem. Młodzi policjanci kiedyś popełniali błąd, że reagowali impulsywnie. Wraz z doświadczeniem przychodzi „zimna głowa". Istotą pracy profesjonalisty jest zdobywanie dowodów, a jeśli kimś targają skrajne emocje, to chyba nie nadaje się do tego zawodu. ■

eprasa.pl d6f3169021

BESTIARIUM

Według danych GUS w 2016 roku doszło do 8 zabójstw dzieci, w 2017 – zamordowano 11 dzieci, w 2018 ofiarami zwyrodnialców padło 23 dzieci. W bestialski sposób życie odebrano małoletnim w wieku 0–9 lat, w większości byli to chłopcy. Sprawcami tych zabójstw były najczęściej osoby dziecku bliskie – matka, ojciec, „przyjaciel rodziny".

Małgorzata Matuszak

Trudno zrozumieć motywy, którymi kieruje się zabójca. Nie da się pojąć, co może skłonić człowieka do tego, by pozbawić życia drugiego, i kim trzeba być, by do takiego czynu z pełną świadomością się posunąć. Ciężko wytłumaczyć, dlaczego ludzie są dla siebie tak bardzo okrutni. Ta niemożność zrozumienia sytuacji krzyczy jeszcze bardziej, gdy ofiarą zabójstwa staje się dziecko. Jego śmierć zawsze jest tragedią, niezależnie od tego, co ją spowodowało. Kiedy jednak życie zostaje brutalnie odebrane, kiedy dziecko staje się ofiarą zabójstwa, wydarza się coś, co zaburza porządek świata. Przecież do takich zdarzeń nie powinno dochodzić.

Okrutna zemsta

To, co spotkało 10-letnią Kristinę, poruszyło wszystkich. Wracała ze szkoły. Zatrzymał się samochód, za kierownicą którego siedział dobrze znany jej mężczyzna. Przecież jeździła już z nim ze szkoły do domu nie raz, dlaczego tym razem miałaby nie wsiąść do samochodu? Dlaczego tym razem sprawy wzięły inny, tragiczny obrót? Kilkadziesiąt ciosów nożem...

Podejrzany o morderstwo Jakub A. doskonale znał ofiarę. Według niektórych źródeł był zakochany w matce dziewczynki, zbrodni tej dokonał zaś z zazdrości i w akcie zemsty. Nie wiemy tak naprawdę, jakie relacje były między nimi, ale dobrze znamy finał tej historii. Czy można było mu zapobiec? Niewątpliwie zazdrość czy pragnienie zemsty to potężne siły, które potrafią popchnąć do najbardziej brutalnych, najokrutniejszych czynów. Tutaj sprawca nie działał w afekcie, wszystko było dokładnie zaplanowane.

Niestety, to niejedyny przypadek, kiedy ofiarą pragnienia zemsty na dorosłym staje się dziecko. Kilka lat temu 41-letnia Karolina S. zabiła swoją 2,5-letnią córkę Amelkę. W akcie zemsty na swym byłym mężu i ojcu dziecka. Kobieta miała ograniczone prawa rodzicielskie ze względu na nadużywanie alkoholu, ojciec dziewczynki nie mógł zaś sprawować pełnej opieki nad córką, bo pracował. Zastanawiał się jednak nad przejęciem nad nią pieczy i groził matce dziecka, że doprowadzi do odebrania jej praw rodzicielskich, jeśli nie przestanie pić. Kobieta była pod opieką kuratora sądowego, ten jednak nie zauważył w jej zachowaniu nic niepokojącego. Karolina S. najpierw udusiła swoją córkę poduszką, później podcięła sobie żyły i wyskoczyła przez okno. Przeżyła. Zostawiła list, w którym napisała, że targnęła się na życie swoje i córki, bo chciała zemścić się na ojcu dziecka. Wcześniej kobieta leczyła się psychiatrycznie, biegli stwierdzili jednak, że w momencie popełnienia zbrodni była poczytalna i może w pełni odpowiadać za swoje czyny, chociaż sama starała się umniejszać swą rolę w tragedii, tłumacząc się lukami w pamięci i zażyciem wcześniej środków uspokajających.

Tak zwane „samobójstwo rozszerzone"

W zeszłym roku w Lubinie 32-letnia Natalia N. pozbawiła życia swoje dwie córki – 13-miesięczną Laurę i 12-letnią Emilię. Najpierw wyprosiła z mieszkania swoją babcię, która pomagała jej w opiece nad dziećmi, a później swojego konkubenta, wracającego z nocnej zmiany. Zabarykadowała się w domu, swoim córkom zadała kilkadziesiąt ciosów nożem, sama próbowała popełnić samobójstwo. Nie umiała wytłumaczyć, dlaczego to zrobiła, biegli zaś orzekli, że w momencie popełniania czynu była całkowicie poczytalna. Sędzia, wydając wyrok dożywotniego więzienia, tak go uzasadnił: „To zbrodnia popełniona bez żadnego

eprasa.pl d6f3169021

racjonalnego uzasadnienia. Popełniona przez osobę, która ma tendencję do podporządkowania świata swoim oczekiwaniom. Oskarżona przy tego typu charakterologicznych cechach nie rokuje na pełną resocjalizację".

Niedawno w Kielcach, na klatce schodowej jednego z bloków, samobójstwo popełniła 39-letnia kobieta, trzymając na rękach swego półrocznego syna Marcela. Kobieta i jej mąż długo starali się o dziecko, w ostatnim czasie ich małżeństwo jednak przeżywało kryzys, kobieta zaczęła mieszkać u matki. W zeszłym roku, w Ostrowcu Świętokrzyskim, 39-letnia kobieta najpierw odebrała życie swemu 10-letniemu synowi, potem sobie. Ich ciała znalazł w zamkniętym mieszkaniu mąż kobiety. Także w ubiegłym roku, w Zelczynie, 41-letni mężczyzna po powrocie rano z pracy do domu znalazł w łóżkach ciała trójki swych dzieci w wieku 4, 9 i 12 lat, które zmarły w wyniku uduszenia, i powieszone ciało swej 36-letniej żony.

Psycholog, psychotraumatolog Kinga Mirosław-Szydłowska twierdzi: „Nie da się jednoznacznie stwierdzić, jakie są powody, które pchają sprawcę do popełnienia tak dramatycznego czynu. Motywów popełnienia samobójstwa rozszerzonego może być tak wiele, jak powodów popełnienia »zwykłego« samobójstwa. Okoliczności są najczęściej owiane mrokami tajemnicy, a sąsiedzi często opisują rodzinę jako bezkonfliktową, spokojną, bez większych problemów. Osoby, które decydują się na taki krok, niejednokrotnie znajdują się w sytuacji kryzysowej, czyli takiej, w której zwykłe sposoby radzenia sobie z problemem czy stresem stają się niewystarczające. Źródeł problemów można doszukiwać się w chorobie somatycznej, w tym chorobach przewlekłych, zaburzeniach psychicznych, pogarszającej się sytuacji finansowej rodziny, przemocy i wielu innych".

Według dr. Włodzimierza Adama Brodniaka z Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego nomenklatura „samobójstwa rozszerzonego" jest jednak błędna. W tym przypadku bowiem tylko sprawca jest samobójcą, a pozostałe osoby to ofiary zbrodni. W statystykach policyjnych także nie istnieje kategoria samobójstwa rozszerzonego, jest ono zawieszone pomiędzy zamachem samobójczym a zabójstwem. Doktor Broniak uważa, że najprawdopodobniej jest to kilkanaście przypadków każdego roku. W części z nich ofiarami są niestety dzieci. I nawet jeśli samobójcy, którym jest matka albo ojciec, uważają taki czyn za najlepsze dla siebie wyjście, to wydaje się niepojęte, że ktoś, kto powinien być odpowiedzialny za dziecko, może pozbawić je życia w tak okrutny sposób, nawet jeśli robi to – jak się mu wydaje – „w dobrej wierze".

Kiedy rodzic zabija dziecko

Kiedy umiera dziecko, jego rodziców ogarnia niewyobrażalny ból, smutek, żal, w których niekiedy zastygają na wiele lat. Co jednak powiedzieć w sytuacji, kiedy to rodzic sam przyczynia się do śmierci swego potomka? Kiedy ten, kto powinien dziecko kochać, otaczać opieką i chronić przed złem, które nie powinno go dotykać, pozbawia je życia? Dlaczego niektórzy rodzice nie potrafią być rodzicami?

W lutym tego roku w Bolesławcu 32-letni Sebastian R. zabił nożem swoją konkubinę, 32-letnią Wiolettę S., i ich wspólne dziecko, 3,5-letniego Filipa. Na ich ciałach były liczne rany kłute. Kobieta została znaleziona na klatce schodowej, chłopiec zaś pod blokiem. Jego „ojciec" najpierw zadał mu wiele ciosów nożem, a potem wyrzucił przez okno... Mężczyzna, który został postrzelony podczas zatrzymania, był już wcześniej karany za znęcanie się nad osobą z najbliższego otoczenia. Jak mówią sąsiedzi, między parą wcześniej już dochodziło do awantur. W 2017 roku 29-letnia Renata G. z Olsztyna w ataku szału zakatowała na śmierć swojego 1,5-miesięcznego synka. Jej mąż był wtedy w pracy. Nie mogła znieść jego płaczu. Cisnęła dzieckiem najpierw o łóżeczko, a potem rzucała nim o ścianę i o podłogę. W 2016 roku 19-letnia Magdalena S., jeszcze będąc w ciąży, planowała po urodzeniu sprzedać dziecko. Zrezygnowała jednak z tego „pomysłu". Po urodzeniu dziecka zamieszkała u swego 21-letniego chłopaka. Kiedy jej synek miał 3 miesiące, podczas jednej z imprez doszła do wniosku, że go nie chce i dobrze by było się go pozbyć. Fabianek płakał, Magdalena S. nie wytrzymała i udusiła go poduszką. Niedawno w Osinie 38-letnia Katarzyna K. zabiła swoje nowo narodzone dziecko, prokuratura postawiła jej zarzut zabójstwa z motywacji zasługującej na szczególne potępienie. Pomagała jej w tym jej matka, czyli babcia niemowlęcia. Z kolei w Ciecierzynie pod koniec ubiegłego roku znaleziono ciała czterech noworodków. Jedno było zakopane pod drzewem, inne ukryte w nieczynnym piecu. Ich zabójstwa dokonała 27-letnia Aleksandra, która jest już matką sześcioletniego syna.

Za każdym razem wszyscy zadają pytania: „jak to się mogło stać?", „dlaczego?", „czy nie można było temu zapobiec?", „dlaczego nikt nie zauważył, że tam dzieje się coś złego i temu nie przeciwdziałał?". Pytania te jednak pozostają właściwie bez odpowiedzi, bo dobrych odpowiedzi i prób tłumaczeń takich sytuacji nie ma. ■

eprasa.pl d6f3169021

Ryszard Czarnecki

Krystyna i Kristina. Więźniowie i zbrodniarze...

Są różni zbrodniarze. Ci, którzy krzywdzą dzieci, to dla mnie najgorsi z możliwych.

Jako kandydat uczestniczyłem w dziewięciu kampaniach wyborczych. W każdej pomagali mi młodzi ludzie. W jednej z nich kilkanaście lat temu brała udział młoda dziewczyna o imieniu Krysia. Ładna, sympatyczna i trochę smutna. Znajoma znajomego chłopaka, który odpowiadał u mnie za młodych. Rozpytywałem, dlaczego ta pracowita, zaangażowana dziewczyna, nawet gdy się śmieje, ma smutne oczy. Okazało się, że jej chłopak siedzi w więzieniu. Był w grupie zajmującej się kradzieżą samochodów. Porozmawiałem z Krystyną. Opowiedziała mi o człowieku, który w grupie przestępczej znalazł się na zasadzie koleżeńskiej solidarności. Bardzo lubił dzieci – planowali mieć kilkoro. Postawiła mu warunek: ma zerwać z tym, co robił. Posłuchał. Aresztowano go po zeznaniach w sprawie kradzieży sprzed lat, zanim się jeszcze poznali. Mówiła, że dla jej chłopaka dzieci to świętość. Gdyby ktokolwiek podniósł rękę na jakiekolwiek dziecko, to w jego oczach byłaby to najgorsza zbrodnia...

Historię tę przypomniałem sobie po latach, gdy w Internecie zobaczyłem filmik, jak reagują więźniowie aresztu w Świdnicy, gdy wprowadzano tam studenta złapanego na Dolnym Śląsku za mord na dziesięcioletniej Kristinie. „Bę-dziesz zdy-chał!" – skandowali osadzeni. Ci, którzy skandowali, to przestępcy, nieraz sprawcy tzw. ciężkich przestępstw, ale przestrzegający niepisanego kodeksu więźniów, który zakłada totalny ostracyzm dla tych, którzy dopuścili się zbrodni (morderstwo, pedofilia) na dziecku. Tacy zbrodniarze mają w więzieniu szczególnie ciężkie życie. A w praktyce – nie mają go wcale. Współosadzeni, ryzykując nawet kolejnymi wyrokami, traktują ich jak podludzi.

Życia 10-letniej Kristinie już nikt nie wróci. 22-latek zabił, bo dziewczynka nie akceptowała związku jej matki z młodym studentem. Przy takich okazjach znów słyszymy o konieczności powrotu kary śmierci.

Nie jestem ekspertem od więzień i więźniów. Raptem znam bliżej jednego „klawisza" – skądinąd tak przejętego swoją pracą, że gotów jest, uwaga, dokładać z własnej kieszeni za zwrot kosztów podróży dla sław polskiego sportu, byleby tylko przyjechali na spotkanie z „jego" więźniami. Moje pobyty „za kratkami" były w stanie wojennym epizodyczne. Pamiętam, gdy dwóch kryminalistów pod celą umawiało się, jak wspólnie prysnąć podczas konwojowania ich do sądu czy prokuratury. Nie kryli się przede mną, „politycznym". Pamiętam, jak na Kleczkowskiej we Wrocławiu po celi, wzdłuż i wszerz, chodził więzień z dłuższym stażem, podśpiewując w kółko piosenkę, w której przewijały się słowa: „Nie lubię wielkich samochodów, limuzyn z eleganckich sfer". Dopiero po wyjściu stamtąd dowiedziałem się, że to piosenka Izabeli Trojanowskiej.

Pamiętam też, także we wrocławskim areszcie, starszego już więźnia, rodem z Podlasia, pana Sipko, który za murami spędził zdecydowaną większość swojego dorosłego życia – to był jego sposób na życie, innego nie znał. Pamiętam niezasłonięty niczym kibel „pod celą", co dla mnie 19-latka było szokiem, bo obdzierało więźniów z jakiejkolwiek intymności. Po latach jako dziennikarz kręciłem dla Polsatu dokument o tych, co „za murem". Było to paręnaście lat po moich więziennych przygodach i warunki w aresztach III RP wydawały mi się rajem w porównaniu z tymi z czasów komuny.

Pamiętam też, że jak wychodziłem, koledzy spod celi, kryminaliści, prosili mnie tylko o jedno – o herbatę. To był za kratami towar bardzo pożądany. Ekstremalnie mocna, w szczególny sposób zaparzona herbata służyła niczym ersatz narkotyku. Prosili mnie, żebym im ją wysłał, gdy będę na wolności. Tak też zrobiłem. Nie pamiętam, czy to był „Ulung" czy „Madras" – ale wysłałem.

Są różni zbrodniarze. Ci, którzy krzywdzą dzieci, to dla mnie najgorsi z możliwych. ■

eprasa.pl d6f3169021

Małgorzata Matuszak

Czym jest... zazdrość

To uczucie występujące powszechnie. Nikt z nas nie jest całkowicie wolny od zazdrości, jest ona naszą towarzyszką życia, nieodzowną, przejawiającą się w wielu formach i w różnych sytuacjach. Problem polega na tym, by – jak to zwykle z doświadczanymi uczuciami bywa – umieć sobie z zazdrością radzić, nie dać się jej napędzać, by przekuwać ją w siłę do pozytywnego działania, do motywacji do twórczych działań. Chodzi wszak bynajmniej nie o to, by wcale jej nie było, ale żebyśmy to my panowali nad nią, a nie ona nad nami.

Różne może być jej natężenie. W skrajnych przypadkach staje się jak ogień trawiący wszystko, co spotka na swej drodze. Wiliam Szekspir nazwał ją „zielonookim potworem". „Zazdrość nie pyta o powód; bo nie o powód zazdrosna! Zazdrość po prostu zazdrości... To potwór, który się płodzi sam w sobie, i sam się lęgnie" – pisał w jednym ze swych dramatów, w którym przeprowadził wspaniałe studium paranoi Otella, psychopatycznego zazdrośnika, który udusił swą żonę. Zaiste, paranoja zazdrości żywi się i napędza samoistnie, potrafi niszczyć ludzi i związki, upokarzać i unieszczęśliwiać, a nawet doprowadzić do samobójstwa czy zabójstwa.

Zazdrość należy do utrwalonego w tradycji Kościoła katalogu grzechów-wad głównych. Łacińska nazwa czwartego z nich to „invidia", którą w polszczyźnie oddajemy właśnie słowem „zazdrość". Rzeczownik „invidia" pochodzi od czasownika „invidio, invidere", znaczącego prymarnie „spoglądać do czyjegoś wnętrza", sekundarnie zaś „zazdrościć". Jeszcze do końca XVIII wieku funkcjonowały w polszczyźnie trzy równoległe tłumaczenia pojęcia „invidia": „nienawiść", „zawiść" i „zazdrość". „Nienawiść" pochodzi od czasownika „nienawidzić", czyli „lekceważyć, odczuwać niechęć, pogardę", związanego z czasownikiem „nawidzić", nieobecnym we współczesnej polszczyźnie, znaczącym pierwotnie „chcieć kogoś oglądać". „Zawiść" to derywat od czasownika „zawidzieć", czyli „odczuwać silną niechęć do kogoś, wywołaną jego szczęściem, powodzeniem i połączoną z chęcią posiadania tego samego". „Zazdrość" to zaś derywat odsłowny, utworzony w XIV wieku na bazie wyrazu „zajrzeć", już w staropolszczyźnie mający metaforyczne znaczenie „odczuwać zazdrość". Na przestrzeni wieków doszło do leksykalizacji tych nazw i żadna z nich już nie jest dziś związana – tak jak pierwotnie – z widzeniem lub sposobem patrzenia. Doszło również do znaczeniowego rozejścia się tych słów, które stały się odrębnymi pojęciami.

Słowa „zawiść" i „zazdrość" długo były synonimami. Czasami zazdrość wciąż utożsamiana jest z zawiścią, chociaż dzisiaj uznawane są one za dwa odmienne uczucia. Niekiedy zawiścią nazywa się szczególną formę zazdrości. W przypadku zawiści człowiek czuje się nieszczęśliwy z powodu tego, że ktoś ma coś, czego nie ma on; w przypadku zazdrości zaś człowiek jest zaniepokojony utratą czegoś, kogoś lub koniecznością dzielenia się czymś/kimś, co/kogo ma. Kiedy mówimy o zazdrości, na myśli mamy zwykle węższe jej znaczenie – rozumiemy zazdrość jako uczucie wywołane strachem, że kochana osoba będzie wolała kogoś innego. W znaczeniu szerszym, bardziej ogólnym, zazdrość to złożony stan emocjonalny, uczucie przykrości, żalu spowodowane czyimś powodzeniem, szczęściem, stanem posiadania itp. oraz chęć posiadania tego samego.

> ZAZDROŚĆ NALEŻY DO UTRWALONEGO W TRADYCJI KOŚCIOŁA KATALOGU GRZECHÓW-WAD GŁÓWNYCH.

Spotkać się można z opinią, że zazdrość to nasza, Polaków, narodowa przywara. Melchior Wańkowicz jest autorem przysłowiowego już powiedzenia, że w Polsce „szewc kanonikowi zazdrości, że prałatem został, a proboszcz pani aptekarzowej, że miała lekki poród", Stanisław Ignacy Witkiewicz pisał zaś: „Twierdzę, że zasadniczym stosunkiem Polaka do Polaka jest wzajemna pogarda, jeśli nie naturalna, to sztuczna, a to jest jeszcze gorzej". Niestety i dziś możemy w dużej mierze z tymi słowami się zgodzić. Lekarstwem na to, by nie patrzeć zazdrosnym okiem na innych, jest polubienie siebie w swej inności i nasza wzajemna względem siebie życzliwość. Czy to naprawdę aż takie trudne? ■

eprasa.pl d6f3169021

Jakub Augustyn Maciejewski

Cykliczność wydarzeń historycznych w polskim przypadku zdaje się być szczególnie wyrazista. Oprócz pojawiających się regularnie niebezpiecznych dla nas zbliżeń Rosji i Niemiec przychodzi też czasem budować Międzymorze w oparciu o sąsiada zza Niemiec – kiedyś Francji, dziś USA.

POWRÓT GEOPOLITYKI I RZECZYPOSPOLITEJ

eprasa.pl d6f3169021

ILUSTRACJA: RAFAŁ ZAWISTOWSKI

mapa.pl d6f3169021

Nie ma chyba drugiego kraju, który na przestrzeni tysiąca lat tak radykalnie przesuwałby się w swoich granicach – bywało wszak, że sięgał on do Łaby na zachodzie, opierając wschodnie rubieże ledwie na Bugu, a innym razem nie dotykał nawet Odry, swoimi wpływami w stronę Azji sięgając daleko za Dniepr i licząc przeszło milion (!) kilometrów kwadratowych. Królestwo Polskie, a potem Rzeczpospolita bywała potęgą, największym królestwem w Europie, sięgała od Bałtyku po Morze Czarne (1466–1484), władała Moskwą, planowała zdobycie Konstantynopola, jej wojska zapędzały się aż po Ren – a 200 lat później nie było jej już na mapie i władcy ościennych państw zakazywali nawet wymawiać jej nazwy.

Wyjątkowe położenie Rzeczypospolitej to nie mit, to nie romantyczna legenda, lecz geopolityczny fakt, dostrzegany już przez dawnych badaczy. Warto się więc przyjrzeć rodzimej specyfice, by zrozumieć dzisiejsze perspektywy, jakie leżą przed Polską oraz innymi państwami w Europie Środkowowschodniej.

Geopolityka światowych mocarstw a położenie Polski

U progu XX stulecia rozgorzała wśród geografów, historyków i strategów militarnych dyskusja na temat heartlandu – „serca lądu", czyli bezodpływowego terenu umiejscowionego w centrum Eurazji. Ogromny ten obszar, zdaniem wielu geopolityków, jest podstawą do panowania nad „światową wyspą", czyli Eurazją. To właśnie z tych terenów odbywały się liczne najazdy od czasów Attyli przez liczne wyprawy łupieżcze stepowych plemion koczowniczych, przez niepokonane ordy tatarskie, aż wreszcie po Imperium Rosyjskie. Jednak sam heartland jest za słaby, by panować nad światem, szczególnie mocno doskwiera mu odcięcie od świata – brak dostępu do otwartych mórz i oceanów. Imperium osadzone w „sercu lądu" łatwo zmarginalizować, wszak bez dostępu do niezamarzających portów nie będzie się mogło takie państwo sprawnie rozwijać. Stąd lądowe imperium rozprzestrzenia się wzdłuż rzek, w stronę ich ujścia, prowadzi swoją ekspansję na wschód, zachód i południe. Już Zbigniew Brzeziński ostrzegał, że ostatecznym celem Związku Sowieckiego jest opanowanie trzech najważniejszych na świecie cieśnin – Dardaneli, Ormuz (Zatoka Perska) i Malakki.

Ta znacząca dygresja prowadzi nas do konkretnej konstatacji – imperium heartlandu potrzebuje się rozszerzać w stronę otwartych mórz, natomiast najbardziej naturalnym kierunkiem jest eskpansja na zachód. Na drodze do wielkości stoi jednak zasadnicza przeszkoda – jest nią właśnie Rzeczpospolita, która swoimi granicami od XV–XVI wieku blokuje Moskwie, a potem Rosji swobodne połączenie potencjału heartlandu z najważniejszym elementem rimmlandu (terenów nadmorskich) – Europą Środkową. Nasze położenie sprawia, że jesteśmy najbardziej wysuniętą na wschód twierdzą – by rzec za Tomaszem Gabisiem – Imperium Europeum. Tę misję dziejową widać w polskiej historii aż nadto.

Polska pokojem przechodnim?

Andrzej Bobkowski stwierdził, że Polacy są narodem, „który wynajął sobie w Europie pokój przechodni i przez dziesięć wieków usiłuje urządzić się w nim z wszelkimi wygodami i ze złudzeniem pokoju z osobnym wejściem, wyczerpując całą swoją energię w kłótniach i walkach z przechodzącymi. Jak myśleć o urządzeniu tego pokoju ładnymi meblami, bibelotami, serwantkami, gdy błocą ciągle podłogę, rozbijają i obtłukują przedmioty?".

Podobnie XIX-wieczna historiografia i polityka niemiecka nie widziały w terenach Korony Polskiej czy Wielkiego Księstwa Litewskiego żadnej naturalności czy spójności. Właśnie w stuleciu Bismarcka i mocarstwowej polityki Prus, a potem Niemiec, ukuto niefortunne dla Polski określenie „Europa Środkowa". Cała Europa miała dzielić się na trzy części, z których każda z nich podlegała wpływom określonego lądowego mocarstwa – Europa Zachodnia podlegała Francji, Europa Środkowa Niemcom, zaś Europa Wschodnia Rosji. Eugeniusz Romer, wybitny geograf i pierwszy polski geopolityk, stwierdza, że termin „Europa Środkowa" to właśnie narzędzie germańskiej polityki, która nie widzi w Europie miejsca dla Polski. W sukurs Romerowi przyszedł znany i ceniony polski historyk Oskar Halecki, który stworzył termin „Europa Środkowowschodnia", dzieląc cały kontynent nie na trzy, lecz cztery strefy wpływów: Europa Zachodnia (romańska), Europa Środkowozachodnia (germańska), Europa Środkowowschodnia (Polska, Litwa i Ruś) i Europa Wschodnia (podległa Rosji). Powoli w świecie nauki zaczęło się utwierdzać przekonanie, że tereny od Bałtyku po Morze Czarne stanowią geopolityczną jedność.

Międzymorze

Już nasi antenaci mieli świadomość, że ich ojczyzna jest pomostem pomiędzy dwoma morzami – zresztą Bałtyk nazywano wtedy Morzem Białym w przeciwieństwie do cieplejszego, południowego Morza Czarnego. Odkąd Turcy zajęli w 1484 roku nadczarnomorskie porty Kilię i Białogród, które należały do polskiego lennika – hospodarstwa mołdaw-

eprasa.pl d6f3169021

skiego, w politycznych planach wielu królów (także Sobieskiego) i hetmanów (Jana Zamoyskiego) powracał motyw odzyskania brzegów południowego morza. Czy takie postulaty były polityczną fikcją, czy oczywistym kierunkiem ekspansji?

Zarówno Oskar Halecki, jak i Eugeniusz Romer dowodzili, że obszar Polski, Litwy i Rusi tworzy odrębną całość. Oddajmy głos historykowi: „[...] obszar ten sam jest pozbawiony od zachodu i wschodu wybitnych granic naturalnych, któreby zamykały lub chociaż utrudniały dostęp do jego wnętrza. Na wewątrz jest jednak silnie spojony przez warunki hydrograficzne, które tutaj, jak wszędzie indziej, wytykały najdawniejsze drogi osiedlenia, główne szlaki historycznego wnętrza. Sześć głównych dorzeczy tego terytorium stało się widownią dziejów plemion litewskich i [...] szczepów słowiańskich". Halecki dalej stwierdza, że mieszkającym na terenach pomiędzy dwoma morzami ludom pozostają: „[albo] nieskończone walki [albo] na związkach geograficznych i wspólnych zadaniach historycznych oprzeć wspólną budowę polityczną o wspólnej kulturze". Historyk dodaje także: „Ta wielka idea wyrosła ze swoich odwiecznych, historyczno-geograficznych podstaw".

Koniecznie też trzeba zaznaczyć, że znawca „idei jagiellońskiej" w Rzeczypospolitej widzi złączenie nie dwóch, lecz trzech członów – tym trzecim jest właśnie prawosławna Ruś. Dla Oskara Haleckiego proces zjednoczenia ziem polskich, litewskich i ruskich pod jednym berłem był nieomalże dziejową koniecznością, że alternatywą byłby albo intensywny spór i upadek, albo właśnie stworzenie politycznej wspólnoty.

Współczesny polski geopolityk Leszek Moczulski naturalność i spójność ziem Międzymorza widzi już w funkcjonowaniu na tym terenie plemion barbarzyńskich w czasach rzymskich.

Koncepcję geopolityczną wskazującą na konieczność połączenia potencjału Polski, Litwy, Ukrainy, Białorusi, etc. nazywa się powszechnie „Międzymorzem". Moczulski wykazuje, że gdyby w XIX wieku istniało takie państwo, to swoim zasobem demograficznym dorównywałoby sąsiadom.

O czym nam mówią polskie rzeki?

Aby ta polityczna wspólnota mogła się swobodnie rozwijać, musi mieć stabilne granice. Jak stwierdzono powyżej, trudno znaleźć naturalne granice dla Międzymorza, bowiem mamy tu do czynienia z rozległą niziną europejską. W Hiszpanii, Francji czy Italii góry i linia brzegowa wyraźnie zarysowują różnice pomiędzy sąsiadującymi państwami, w przypadku Rzeczypospolitej tylko łuk Karpat stanowi oparcie dla międzymorza na południu, zaś od wschodu i zachodu nie ma geograficznych przeszkód dla ekspansji z obu stron. Czy rzeki mogą być taką naturalną granicą? Z badań Eugeniusza Romera wynika, że omawiany obszar ma nieco inną specyfikę: „Główne linie wodne pozostawały zawsze osią owych członków organizmu, nigdy granicą. Nawet gdy Polska przechodziła pierwszą fazę swej niemocy [rozbicie dzielnicowe-JAM], nie stała się nigdy granicą żadna rzeka główna: Wisła, czy Warta, lub nawet Noteć i Pilica".*

Romer zauważa, że ekspansja Wielkiego Księstwa Litewskiego szła właśnie wzdłuż działów wodnych – a konkretnie dorzeczem Dniepru, z północy na południe. Zdaniem uczonego ekspansja w tamtych czasach rozprzestrzeniała się dolinami, a więc wzdłuż rzek. Co więcej, polski geopolityk twierdzi, że to bardziej Polakom i Litwinom należy przypisać pojęcie „Drang nach Osten", a to właśnie ze względu na charakterystyczne cechy tutejszych rzek – dużą ilość wschodnich dorzeczy, wzdłuż których rozwijała się ekspansja. I tak właśnie Warszawie przypisuje Romer strategiczne znaczenie, gdyż staje się ona węzłem komunikacyjnym, od którego rozchodzą się doliny w głąb Niziny Europejskiej.

Jak daleko sięgnąć na wschód?

Wschodnia granica państwa polsko-litewskiego należała do najmniej stabilnych spośród wszystkich frontów Rzeczypospolitej. Zachodnie terytoria państwa pozostały niezmienne przez ponad 300 lat i przez Leszka Moczulskiego zostały zaliczone do jednych z najbardziej trwałych granic. Południowe rubieże aż do Dniestru także przez setki lat pozostawały nienaruszone (nie licząc krótkiego epizodu z Pokuciem w latach 30. XVI wieku i Podolem w latach 1672–1699). Po utracie Inflant na mocy rozejmu mitawskiego (1611) także północni sąsiedzi nie zdołali aż do rozbiorów zawłaszczyć polsko-litewskich terytoriów. Zupełnie inna sytuacja miała miejsce na wschodzie – gdzie właściwie od 1480 roku Europa Środkowowschodnia przeważnie cofała się przed naporem Moskwy. Szczytem polskiej przewagi był rok 1611, gdy w polskich rękach był zarówno Smoleńsk – brama do wschodniego imperium – jak i Moskwa, której formalnie przewodził Władysław IV, car i jednocześnie polski królewicz. Ten stan udało się jeszcze obronić w 1634 roku, choć wtedy miał miejsce jednoczesny atak ze strony Turcji i Moskwy. Dwadzieścia lat później atak na zmagającą się z powstaniem Chmielnickiego Rzeczpospolitą miał raz na zawsze strącić ją z mocarstwowego piedestału – wojna, która wybuchła w 1654 roku i trwała 13 lat, wsparta potopem szwedzkim, nie tylko wyniszczyła kraj, lecz także spowodowała utratę tzw. lewobrzeżnej Ukrainy.

eprasa.pl d6f3169021

W 1667 roku zawarto rozejm w Andruszowie, na którym wstępnie podzielono Kozaczyznę pomiędzy carstwo i Rzeczpospolitą, a Kijów, choć miał po dwóch latach być zwrócony, to jednak pozostał w granicach Państwa Moskiewskiego do XX wieku.

Najwybitniejszy polski znawca tego okresu Zbigniew Wójcik uważa, że rok 1667 był przełomową datą w relacjach polsko-rosyjskich, był tą cezurą, od której miała zacząć się hegemonia naszego wschodniego sąsiada. Utrata potencjału kozackiego, zadnieprzańskich latyfundiów magnackich oraz Kijowa jako stolicy Rusi miały przesądzić o przegranej Rzeczpospolitej w rywalizacji z sąsiadami. Choć w późniejszym czasie Jan Sobieski próbował zrewindykować warunki traktatu, to jednak poza drobną korektą (odzyskaniem trzech twierdz: Siebieża, Newelu i Wieliża) nie zdołał odzyskać Zadnieprza. W 1686 roku armia Sobieskiego wyprawiła się do Mołdawii, by ewentualnymi zdobyczami wywrzeć wrażenie na wschodnich rywalach, jednak fiasko kampanii zaowocowało podpisaniem traktatu pokojowego, który wojewoda poznański Krzysztof Grzymułtowski wynegocjował w Moskwie.

Otto Forst de Battaglia, biograf króla Sobieskiego, uznał pokój z 1686 roku za znaczny sukces, choć Zbigniew Wójcik już nie podzielał tego entuzjazmu. Jak więc powinno oceniać się traktat Grzymułtowskiego i granicę na Dnieprze? Z jednej strony wyżej wymienione straty nigdy nie zostały odzyskane, a Rosja faktycznie przesunęła się na zachód. Dodatkowo Turcja, zaniepokojona porozumieniem polsko-moskiewskim, uderzyła na północ, by osłabić ewentualny sojusz chrześcijańskich państw. Z drugiej jednak strony granica usankcjonowana pokojem Grzymułtowskiego okazała się najtrwalszą ze wszystkich wschodnich granic Rzeczypospolitej. Przetrwała od 1667 roku do I rozbioru w 1772 roku.

Do dzisiaj zresztą ślady tej granicy widać na współczesnej Ukrainie, gdzie na wschód od Dniepru rozciągają się już ziemie, której mieszkańcy w coraz większym stopniu czują się związani z Rosją i prorosyjską polityką swojego państwa. Może więc była to po prostu najbardziej naturalna wschodnia granica dla państwa polsko-litewskiego?

Zaniedbane Prusy

Od czasów hołdu pruskiego (1525 rok) sprawa pruska była systematycznie zaniedbywana. Po 1572 roku u księcia pruskiego Albrechta Fryderyka Hohenzollerna objawiła się choroba umysłowa. Król Stefan Batory, zajęty wojną z Moskwą, zezwolił, by następca tronu brandenburskiego Jerzy Fryderyk von Ansbach został regentem Prus Książęcych. Zygmunt III Waza zezwolił kolejnym przedstawicielom brandenburskiej linii Hohenzollernów na opiekę nad chorym psychicznie księciem (w 1605 roku Joachim Fryderyk, zaś w 1608 roku – sam elektor Brandenburgii Jan Zygmunt). Gdy chory umysłowo książę zmarł w 1618 roku, Zygmunt III Waza pozwolił, by Prusy Książęce weszły w posiadanie elektorów Brandenburgii. Zaistniała sytuacja, w której elektorowie Brandenburgii byli lennikami królów Polski, ale tylko z części swoich ziem – właśnie z Prus Książęcych. Kiedy więc tylko nadarzyła się ku temu okazja, w czasie potopu szwedzkiego Fryderyk Wilhelm (zwany Wielkim Elektorem) zrzucił zwierzchność Rzeczypospolitej traktatem welawsko-bydgoskim (1657 rok) i pozostał jej lennikiem tylko z dwóch symbolicznych starostw – Lęborka i Bytowia. Monarchą, który poważnie myślał o zupełnym odzyskaniu Prus Książęcych (a nie tylko shołdowaniu), był Jan Sobieski, jednak wiązałoby się to z kosztowną i niepewną wojną nie tylko z Brandenburgią, lecz także z Austrią – co przy niezakończonej wojnie z Turcją musiałoby się zakończyć katastrofą. W 1701 roku Fryderyk Wilhelm przyjął tytuł „króla w Prusach" – podkreślił tym samym swoją niezależność od cesarza Rzeszy, któremu Prusy nie podlegały.

Słusznie zauważył jeden z polskich geopolityków międzywojnia, Henryk Bagiński, że zaniedbanie zachodniego sąsiada pozwoliło urosnąć mu w siłę. Bagiński podkreśla, że zajęcie przez marchię Brandenburską ziemi nadodrzańskiej w XIII wieku musiało zaowocować rozwinięciem ekspansji wzdłuż rzeki. Pokrywa się to z badaniami Eugeniusza Romera, mówiącymi o poszerzaniu się państw właśnie rzecznymi dolinami. Bagiński w swojej książce „Polska i Bałtyk" wykazuje, że darowanie Niemcom Odry pozwoliło im nie tylko zawładnąć całym jej dorzeczem (w 1721 roku Prusy zagarniają Pomorze Przednie, w 1742 roku uzyskują Śląsk), nie tyko niebezpiecznie wydłużyło granicę z Rzecząpospolitą, lecz także wzmocniło nadmorską obecność Prus – na polskie ujście Wisły padł cień pruskiej potęgi militarnej. Dla Bagińskiego rozbiory przeprowadzone przez dwór berliński były tego naturalną konsekwencją.

W kleszczach despotycznych imperiów

Stwierdzenie, że Rzeczpospolita była z każdej strony otoczona wrogami, byłoby niepełne. Należy zwrócić uwagę, że dwaj sąsiedzi państwa sarmatów to dwa ekspansywne imperia**, których celem była ekspansja także na ziemie polsko-litewskie. Zarówno sułtan turecki, jak i car moskiewski uważali się za spadkobierców cesarzy bizantyjskich, którym należy się panowanie nad światem. Zarówno Turcja, jak

eprasa.pl d6f3169021

i Moskwa reprezentowały rodzaj silnie scentralizowanego państwa nastawionego na nowe podboje, każde z tych imperiów dysponowało też pozaeuropejskimi terytoriami. Nie ma więc co się dziwić ówczesnej szlachcie, że z dumą nazywała swoje państwo „antemurale christianitatis", choć w XVII wieku to stwierdzenie można by doprecyzować i nazwać Rzeczpospolitą nie tyle przedmurzem chrześcijaństwa, ile przedmurzem katolicyzmu i przedmurzem cywilizacji łacińskiej. Długość granicy z agresywnymi imperiami stanowiła ponad 7 tys. kilometrów!

Zbigniew Wójcik w swoich badaniach odkrył pewną prawidłowość tureckiej polityki zagranicznej – póki Polska i Rosja walczyły ze sobą (do 1667 roku), póty Wielka Porta nie uznawała północnej granicy za zagrożoną. Gdy jednak między Warszawą a Moskwą zawarto porozumienie, w którym obiecywano sobie pomoc w razie ataku państwa trzeciego, to Imperium Ottomańskie uznało ten rozejm za uderzenie w jej żywotne interesy – stąd też kilka osmańskich wypraw wojennych na Rzeczpospolitą i Państwo Moskiewskie od 1672 roku.

Największy sojusznik Rzeczypospolitej

W interesującym nas okresie polityka państw europejskich oscylowała wokół rywalizacji największych mocarstw: Francji i dziedzicznych państw Habsburgów (Austrii i Hiszpanii). Właściwie wszystkie liczące się kraje sympatyzowały bądź to z Paryżem, bądź z Wiedniem i Madrytem. Z jednej strony Austria sprawdziła się jako sojusznik, gdy podczas potopu szwedzkiego wsparła Jana Kazimierza w odzyskaniu królestwa, była też potencjalnym partnerem do walki z Turkami. Z drugiej jednak strony Francja próbowała w Europie Środkowowschodniej skonstruować antyhabsburski sojusz, który mógłby zaszachować dwór wiedeński. Mowa tu o trzech państwach – Imperium Osmańskim wojującym z Austrią, Królestwie Szwecji, które także zawadzało cesarzowi poprzez swoje posiadłości w Rzeszy, oraz Rzeczpospolitej, która mogła mieć aspiracje wobec Śląska czy Prus Książęcych. Jednak Francja nie potrafiła zapewnić Warszawie bezpieczeństwa od strony sułtana, toteż sojusz ten nigdy nie doszedł do skutku. To, co było odbierane jako próba zbliżenia z Francją, Kazimierz Piwarski nazywa umyślnym lawirowaniem i usamodzielnianiem się od obu z dominujących mocarstw.

Rzeczpospolita potrzebowała jednak jakiegoś czynnika politycznego, którym mogłaby wpływać na swoich zaborczych sąsiadów. Józef Andrzej Gierowski bodaj jako pierwszy zwraca uwagę na wyjątkową strategię wywierania presji na państwa ościenne. Było to w polsko-litewskim przypadku trudne do osiągnięcia, bo elekcyjni królowie nie mogli prowadzić dalekosiężnej polityki zagranicznej – na przykład Zygmunt III Waza orientował się na Austrię, Władysław IV w drugiej połowie panowania dokonał zbliżenia z Francją, Jan Kazimierz był skazany raz na Austrię, raz na sybsydia francuskie, Wiśniowiecki podporządkował się Wiedniowi, zaś Sobieski starał się między dwiema potęgami zachować równowagę.

Jednak w tamtym okresie (XVII wiek) trwała w tej części Europy walka pomiędzy dwoma modelami państwa – z jednej strony ścierali się monarchowie dążący do władzy absolutnej, a z drugiej strony o swobody gospodarcze i polityczne walczyły różne stany. I to właśnie te stany, mieszczanie bądź szlachta, stały się życzliwe Rzeczpospolitej, na której w pewnym stopniu chciały się wzorować. I tak na Śląsku całe grono książąt sympatyzowało ze złotą wolnością, na Węgrzech co jakiś czas szlachta prosiła Warszawę o pomoc w walce z habsburskim absolutyzmem, w Mołdawii i Wołoszczyźnie istniały silne propolskie stronnictwa wzorujące się na swoich polsko-litewskich odpowiednikach. Także w Moskwie w latach 70. i 80. XVII wieku całe rzesze bojarów lgnęły do Rzeczpospolitej, widząc w jej modelu ustrojowym powód do zreformowania swojego despotycznego państwa. To właśnie na ten czas przypadał największy wpływ sarmackiej kultury na moskiewskie elity, z dyplomatami czy książętami z Państwa Moskiewskiego można było się porozumieć w języku polskim, a tamtejsze piśmiennictwo nawiązywało do polskiej literatury. Tak samo miała się rzecz w Prusach Książęcych, gdzie ówczesne stany domagały się od władcy przywrócenia dawnych przywilejów, podobnych sarmackim prawom. Książę brandenburski pojmał nawet przywódcę ówczesnej opozycji – Krystiana Ludwika Kalksteina noszącego także polskie nazwisko – Stoliński.

Można więc ostrożnie wysunąć tezę, że to wolność i pragnienie wolności były największym sojusznikiem Rzeczypospolitej i póki Korona i Litwa otaczały się państwami, w których stany walczyły o swoje prawa, póty położenie kraju sarmatów mogło liczyć na pewną sąsiedzką życzliwość. Dopiero XVIII wiek, stulecie oświecenia oraz silnie scentralizowanych państw pod władzą absolutystycznych monarchów, czyni z Rzeczpospolitej europejskie dziwadło.

„Zwornik Europy Środkowowschodniej"

Powyższe określenie ukuł Józef Gierowski dla podkreślenia ogromnej roli Rzeczpospolitej, która rozciągała się na obszarze silnie zróżnicowanym pod względem etnicznym (Polacy, Rusini, Litwini, Tatarzy, Niemcy, Ormianie, Żydzi, Wołosi) i religijnym (katoli-

eprasa.pl d6f3169021

cy, prawosławni, luteranie, kalwini, arianie, muzułmanie, żydzi, karaimi). Z historyczną i polityczną koncepcją „sarmacji" warto się zapoznać osobno, ale tu należy wspomnieć, że dla utrzymania tak bujnego tygla kulturowego potrzebna była jakaś inkluzywna koncepcja narodu politycznego i właśnie „sarmackość" ten cel realizowała. Przecież ustrój Rzeczypospolitej polegał na tym, by posłowie z najdalszych stron państwa byli w stanie znaleźć kompromis drogą „ucierania" swoich poglądów w izbie poselskiej.

Pamiętajmy, że ten „zwornik" nie powstał samoistnie ani drogą podbojów. Oskar Halecki stawia to za wzór dla nowoczesnych państw, by właśnie drogą dobrowolnej „unii" opartej na wzajemnym szacunku i uznaniu historycznych różnic budować sojusze w chrześcijańskiej Europie. Historyk tę myśl nazywa „ideą jagiellońską", która przewijała się w różnych formach także w XX wieku: u Józefa Piłsudskiego, Jerzego Giedroycia czy Lecha Kaczyńskiego.

Połączyć się z innymi państwami?

Inną metodą na zbliżenie pomiędzy dwoma krajami był wybór obcego monarchy na króla Rzeczypospolitej. Na przestrzeni 200 lat dokonało się to kilkakrotnie – Henryk Walezy epizodycznie połączył koronę Francji i Polski, Stefan Batory unią personalną połączył nas z węgierskim Księstwem Siedmiogrodu, a Zygmunt III przez osiem lat był jednocześnie królem w Warszawie i władcą Szwecji. Trwalszy model unii personalnej przeprowadzili dopiero Wettinowie, którzy panując zarówno w elektoracie Saksonii, jak i w Polsce, mogli występować z silniejszej pozycji – w Rzeszy przedstawiali się jako niezależni królowie (a nie tylko książęta sascy), a w Rzeczypospolitej mieli status, bądź co bądź, dziedzicznych władców. To właśnie taki schemat funkcjonowania wprowadzili Jagiellonowie, którzy niepodzielnie panowali w Wielkim Księstwie Litewskim, zaś w Królestwie Polskim byli tylko monarchami elekcyjnymi, choć szlachta nie chciała zrywać sojuszu z Litwinami i zawsze wybierała Jagiellonów na tron.

Wzór takiej polityki był na tyle kuszący, że Jan Sobieski planował w Polsce doprowadzić do analogicznej sytuacji – by swojego najstarszego syna, Jakuba, umieścić na jakimś dziedzicznym władztwie, które zrosłoby się potem z Rzecząpospolitą, jak niegdyś Litwa z Koroną. Stąd aspiracje Jana III, by zająć Prusy Książęce, Węgry lub Mołdawię.

Idea unii żywotna była także w stosunku do Państwa Moskiewskiego – wszak carowie nieraz kandydowali do polskiego tronu, zaś w 1600 roku odbyło się wielkie poselstwo kanclerza litewskiego Lwa Sapiehy do Moskwy z bezprecedensową propozycją. Strona polsko-litewska proponowała przeprowadzenie unii, na wzór tej z Lublina, aby połączyć dwa potężne państwa. Choć dzisiejsi historycy podważają szczerość intencji dyplomatów Rzeczypospolitej, to jednak sam fakt stosowania podobnej retoryki wskazuje na pewną żywotność „idei jagiellońskiej".

Czy międzymorze jest realne?

Koncepcji jagiellońskiej, a więc koncepcji pomostu między dwoma morzami, przeciwstawia się koncepcję „piastowską", do której odwoływali się narodowi demokraci w I połowie XX wieku. Głosili oni, że podstawowym interesem Polski jest „powrót na zachód", a więc odzyskanie nadodrza i przeciwstawienie się głównemu – ich zdaniem – przeciwnikowi, jakim są Niemcy. Roman Dmowski twierdził, że tworzący się wtedy naród ukraiński jest automatycznym sojusznikiem Niemiec (co właściwie czas II wojny światowej potwierdził) i że zbliżenia należy szukać z Rosją, tworząc silne państwo polskie, jako partnera do współpracy dla państw europy zachodniej (Francji, Wielkiej Brytanii). Ponadto ideolodzy endecji preferowali przypisywanie Polski do krajów cywilizacji zachodniej, łacińskiej, katolickiej i pluralizm I Rzeczypospolitej nie do końca im odpowiadał. Podobnie znany wówczas historyk cywilizacji Feliks Koneczny twierdził, że Polska upadła, gdyż nie była w stanie udźwignąć różnic kulturowych, jakie funkcjonowały we wschodniej części państwa. Twierdził, że łacińska Polska zamiast zlatynizować wschód, sama poddała się orientalizmowi i przez to upadła.

Ale po setkach lat od tamtych wydarzeń geopolityka powtarza swój rytm – oto znów stajemy się zwornikiem naszej części Europy, a rolę najważniejszego sojusznika – dawniej Francji – przejmują Stany Zjednoczone, które poprzez wzmocnienie pomostu między Bałtykiem a Morzem Czarnym wbijają klin między rosyjską despotię a nieobliczalne Niemcy. Aby to się udało, wystarczy nie popełnić błędu sprzed 300 lat – nie osłabiać instytucji państwa polskiego. Jeśli unikniemy rozbioru, to droga do wielkości będzie już jasno wytyczona. ■

_____

*Romer wyróżniał rzeki, które bardziej mogły posłużyć jako granice niż jako oś kulturowa – warunkiem była niewielka ilość dopływów. Do takich rzek Romer zaliczał na pewno Odrę i Dźwinę.

**Imperium Rosyjskie jako twór prawny powstało dopiero w 1721 roku, ale – zgodnie z twierdzeniem profesora Andrzeja Nowaka – Moskwa wykazywała wszelkie cechy „imperium" od czasów podbicia Nowogrodu, Pskowa, a najpóźniej po wchłonięciu chanatów: kazańskiego i astrachańskiego.

eprasa.pl d6f3169021

Krzysztof Budka
ekspert RG SWS

Kapitał to paliwo. Skąd je brać?

W tym roku co piąty przedsiębiorca starający się o kredyt w banku został odprawiony z kwitkiem. Może niekoniecznie w takim stylu jak kandydat na aktora w „Poranku Kojota" (– Zadzwonimy do pana. – A ja nie mam telefonu. – Okej, okej...), niemniej efekt był mniej więcej taki sam. Tak mi się jakoś skojarzyło z tym fragmentem, choć oczywiście w tej akurat sytuacji, szczególnie starającym się o kredyt przedsiębiorcom, raczej nie było do śmiechu. Całej reszcie też być nie powinno, bo sytuacja jest niepokojąca.

Nikogo chyba nie trzeba przekonywać, że kapitał to swoiste paliwo każdego biznesu. Pewnie że ważne są pomysł, determinacja, pasja i umiejętności. Tylko że z której strony by na to spojrzeć, na końcu i tak napotkamy na tabliczkę z napisem: „Na realizację tego planu potrzebnych jest ileś tam złotych". I tego żaden przedsiębiorca nie przeskoczy. Bez tych pieniędzy nie uda się zrealizować nawet najlepszej koncepcji. W Polsce mamy miliony przedsiębiorców, główną formą prawną, w jakiej prowadzą swoje biznesy, jest jednoosobowa działalność gospodarcza lub mała spółka, a najważniejszym źródłem, z jakiego czerpią kapitał, są własne oszczędności. I trzeba sobie powiedzieć wprost, że na takim paliwie daleko nie zajadą. Ani oni, ani cała nasza gospodarka.

Jak wynika z raportu Instytutu Keralla przygotowanego na zlecenie firmy faktoringowej NFG, w 2019 roku 20,6 proc. przedsiębiorstw spotkało się z odmową kredytu ze strony banku. Biorąc pod uwagę fakt, że trzy lata temu doświadczało takiej odmowy 14,1 proc. przedsiębiorców, widać wyraźnie, w którą stronę ta tendencja zmierza. Dostępność kredytów firmowych w Polsce spada. Banki najczęściej odmawiają przedsiębiorcom prowadzącym jednoosobową działalność gospodarczą i małym spółkom, a także przedsiębiorcom prowadzącym działalność usługową i produkcyjną. Z czego bierze się to zaostrzenie kursu? Pewnie ze wzrostu ryzyka w niektórych branżach (chociażby w budownictwie), ale też stąd, że według danych Krajowego Rejestru Długów wartość przeterminowanych należności, które mają spółki wobec banków, w ciągu roku wzrosła o ćwierć miliarda złotych (z 969 mln zł do 1,2 mld zł), a odsetek firm, które przestały terminowo spłacać kredyty w bankach, wzrósł o 30 proc.

Co dalej, jeśli ta tendencja się nie odwróci albo jeśli kurek z kredytami w kolejnych latach jeszcze bardziej zostanie przykręcony? Dobre pytanie szczególnie w kontekście sektora MŚP. Dla wielu firm z tego sektora brak kapitału na rozwój staje się w pewnym momencie gwoździem do trumny. Pewnego etapu przeskoczyć się nie da, a wiadomo, że od kiedy firma przestaje się rozwijać, to tak naprawdę zaczyna się zwijać. Tutaj sytuacja jest z reguły zero-jedynkowa. Dotychczas dla wielu mikro i małych przedsiębiorców najpopularniejszym źródłem finansowania zewnętrznego był bankowy kredyt. Potwierdzają to w zasadzie wszystkie badania. Pewnie wynika to z tego, że przedsiębiorcy ci nie znali (nie znają) żadnych innych narzędzi. Co zrobić, by w taką wiedzę ich wyposażyć? Jednym z bardzo dobrych pomysłów jest na pewno szeroka dyskusja publiczna o modelu finansowania biznesu w Polsce. I my, jako Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa, czyli stowarzyszenie zrzeszające i wspierające przedsiębiorców z sektora MŚP, do takiej dyskusji zachęcamy, chcemy się do niej włączyć, a być może nawet ją zainicjować. 10 września organizujemy debatę „Polski rynek finansowy jako źródło kapitału dla małych i średnich przedsiębiorstw". Zaprosiliśmy do udziału w niej przedsiębiorców, zarówno tych z sektora MŚP, jak i tych z tzw. dużego biznesu, reprezentantów instytucji finansowych oraz przedstawicieli rządu odpowiedzialnych za gospodarkę, inwestycje i finanse. Chcemy poszukać optymalnych rozwiązań, wymienić się spostrzeżeniami i pomysłami oraz zwrócić uwagę wszystkich zainteresowanych podmiotów na to, że sektor MŚP to potężna armia przedsiębiorców, która kreuje rzeczywistość gospodarczą w naszym kraju i tworzy jego ekonomiczny fundament, więc warto stworzyć tym przedsiębiorcom jak najlepsze warunki funkcjonowania również w kwestii dostępności kapitału. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d6f3169021

Współczesna liberalna demokracja coraz częściej stroi się w szaty laickiej teokracji. Dlaczego? Bo uznaje ona, że ma prawo stanowić zasady, jakie wcześniej miał tylko Bóg (albo bogowie), i wymagać ich respektowania. Dlatego tak ważne jest świadectwo męczenników, którzy oddali życie za prawdziwe wartości.

Tomasz P. Terlikowski

JAPOŃSKI TOMASZ MORUS

eprasa.pl d6f3153021

Na Zachodzie najbardziej znanym świętym, który pozostał wierny wartościom, jest Tomasz Morus. Ten angielski prawnik oddał życie, bo uznawał, że państwo nie ma prawa wkraczać w sferę zarezerwowaną dla Boga i nie ma prawa stanowić, co jest, a co nie jest małżeństwem (bo również ta kwestia zarezerwowana jest dla Boga). Dlatego, choć Morus był nie tylko wybitnym myślicielem, prawnikiem, lecz także oddanym sługą króla Henryka VIII, został on stracony. Nie jest to jednak jedyna tego rodzaju postać, a własnych Morusów, którzy mogą i powinni stać się wzorami dla nas, mają także choćby Japończycy. Jednym z nich jest Ukon (japońska forma imienia Justyn) Takayama. Na chrześcijaństwo nawrócił się już jego ojciec Dariusz Takayama, jeden z lokalnych książąt podzielonej wówczas Japonii. I już ojciec zaczął intensywnie ewangelizować nie tylko swoich poddanych, lecz także przyjaciół i współpracowników. Jego syn był wówczas dzieckiem, ale stopniowo nasiąkał chrześcijaństwem, i to w jego niezwykle ewangelicznej formie.

Wyzwanie wiary

W niczym nie zmieniało to faktu, że jednocześnie pozostawał wybitnym przywódcą wojskowym i lokalnym władcą. Jako dwudziestokilkulatkowi ojciec przekazał mu władzę nad podlegającymi mu terenami. A on sam stanął wobec niezwykłego wyzwania. Japońskie społeczeństwo było wówczas (a jest też obecnie, choć na inny sposób) feudalne do bólu. Każdy władca lokalny podlegał komuś wyżej, a ten komuś jeszcze wyżej, a lojalność – jedna z najważniejszych cnót w Japonii – wymagała posłuszeństwa obu. 26-letni Ukon podlegał wówczas bezpośrednio daimyo [pan feudalny w średniowiecznej Japonii, po rozpoczęciu tzw. ery feudalnej potężny i wpływowy władca ziemski – przyp. red.] Arace Murashigemu z prowincji Settsu, a ten rosnącemu w potęgę Odzie Nobunadze.

Niestety w pewnym momencie Araki zdecydował się wypowiedzieć posłuszeństwo Nobunadze i wystąpił przeciwko niemu. Ukon Takayama został zaproszony do tego spisku, ale odmówił uczestnictwa w nim i zasugerował, że czyn Arakiego, który otrzymał ziemię od Nobunagi, byłby skrajną niewdzięcznością. Jego słowa nie przekonały Arakiego i zażądał on – jako dowodu lojalności wobec siebie (a kodeks honorowy wojowników wymagał lojalności wobec swojego bezpośredniego suwerena) – pozostawienia jako zakładników na swoim zamku młodszej siostry chrześcijańskiego dowódcy i jego trzyletniego syna.

Sprawę komplikował jeszcze fakt, że jezuiccy misjonarze, gdy dowiedzieli się o planach spiskowców, zaczęli naciskać na Ukona, by ten opowiedział się po stronie przychylnego chrześcijanom Nobunadze, który – co pokazuje, że chrześcijanie byli często w jego polityce kartą przetargową – zresztą groził, że jeśli chrześcijański wasal nie opowie się po jego stronie, to on straci część jezuickich misjonarzy i zacznie prześladować chrześcijan. Takayama musiał więc wybrać, czy chce chronić swoje dziecko i swoją siostrę czy chrześcijan. Jakby tego było mało, jego ojciec Dariusz Takayama ostrzegł go, że jeśli złamie przysięgę daną bezpośredniemu władcy, czyli Arakiemu, to on dokona seppuku.

Justyn Takayama stanął więc przed wyborem – jakby to ujęli Grecy – prawdziwie tragicznym, dotyczącym równorzędnych wartości. Co zrobił? Najpierw wiele się modlił, a gdy uznał, że rozeznał już wolę Bożą, zrzekł się władzy nad swoim zamkiem na rzecz ojca, obciął spięte w kucyk włosy – symbol bycia wojownikiem – porzucił rodzinę i oznajmił, że zamierza wstąpić do jezuitów. W ten sposób przestał być wasalem Arakiego, nie musiał bronić jego interesów, co oznaczać może, że nie zabije on jego synka i siostry, a Nobunaga zwycięży Arakiego, dzięki czemu nie będzie on prześladował chrześcijan. Decyzja ta nie musiała jednak oznaczać, że on sam zachowa życie. Nobunaga był okrutnym człowiekiem, mógł i tak stracić Ukona. Jednak gdy wszedł on do jego obozu ubrany jedynie w papierowe szaty, bez oznak władzy i broni, to inni wojownicy powitali go entuzjastycznie, a sam Nobunaga nie tylko ofiarował mu szaty wojownika, lecz także obiecał wyratowanie jego syna i siostry oraz podwoił jego dochody. Ostatecznie jezuici namówili Ukona, by ten przyjął propozycję rzeczywistego władcy Japonii. W tym samym czasie jego ojciec – Dariusz – gdy dowiedział się, co zrobił jego syn – wziął różaniec i udał się w pokorze do obozu Arakiego, by opowiedzieć, co się stało, i wybłagać życie dla zakładników. I tak się stało. Pokora dwóch chrześcijańskich panów – ojca i syna – sprawiły, że udało się zachować zarówno chrześcijaństwo, jak i życie zakładników. A krótko potem Ukon stał się jednym z najważniejszych dowódców Nobunagi, a gdy ten zginął, jego następcy – Hideyoshiego.

Albo-albo

Sytuacja zmieniła się 24 lipca 1587 roku. Tej nocy Hideyoshi wysłał do Ukona Takayamy posłańca z listem, w którym zażądał „natychmiastowego porzucenia wiary" i zagroził odebraniem wszystkich

WIKIPEDIA

eprasa.pl d6f3169021

dóbr, jakie posiadał wielki wojownik. Odpowiedź chrześcijanina była błyskawiczna. „Jeśli chodzi o nakaz porzucenia wiary chrześcijańskiej, to nawet gdybym miał dostać w zamian w posiadanie cały świat, to nie porzuciłbym chrześcijaństwa i prawdziwego zbawienia mej duszy. Z tego powodu swoją pozycję, dochody w wysokości 60 tysięcy koku i posiadłości w Akasi oddaję do dyspozycji Jegomości". Hideyoshi nie był przyzwyczajony do nieposłuszeństwa, ale jednocześnie niezwykle cenił prawość i zdolności Justyna Takayamy i właśnie dlatego wysłał do niego kolejny list, w którym ponownie wezwał go do wyrzeczenia się wiary, a w przeciwnym razie nakazał mu oddanie ziem i dochodów i podporządkowanie się jako zwyczajnemu samurajowi innemu panu. Ukon ponownie odmówił i w efekcie został skazany, wraz z rodziną, na banicję.

Trzy lata później Hideyoshi anulował nakaz banicji, przywrócił Ukonowi część majątku i powołał go ponownie do służby, ale nie przywrócił go do dawnego statusu samodzielnego władcy, a pozostawił w pełnej zależności od innego feudała. Dla władcy i wojownika było to poniżenie, ale Takayama przystał na niego, bowiem pozwalało mu to ponownie ewangelizować ludzi. Takiemu zajęciu oddawał się przez całe 26 lat pobytu na południu Japonii, gdzie został zesłany i poddany niechrześcijańskiemu lokalnemu władcy. Świadomość zasług, jakie miał on dla wiary, dotarła w pewnym momencie także do Rzymu i papież Sykstus V wysłał do niego specjalny list. „Chrześcijanie, którzy uwielbiają Boga i służą Mu z serca, którzy mają odwagę porzucić swoją pozycję na tym świecie i nie polegają na bogactwach materialnych, a cierpienie traktują jako łaskę otrzymaną od Pana, podążają prostą drogą do świętości. Ty Dziecko jesteś tego najlepszym przykładem. Nie uciekłeś od losu wygnania i choć utraciłeś cały wypracowany wcześniej majątek, to wiara, którą żyjesz, jest silna i niezachwiana" – podkreślał papież.

Przejęcie władzy w Japonii przez Tokugawę początkowo osłabiło prześladowania i pozwoliło Ukonowi na swobodniejsze działanie. Jednak w 1614 roku także do miejsca, gdzie przybył, doszły informacje o tym, że nowy szogun zmienił zdanie i rozpoczął okrutne prześladowania chrześcijan. Starszy i schorowany Ukon był księciem, szanowanym wojownikiem, a zatem błyskawicznie podjęto decyzję o tym, że musi on zostać wypędzony z Japonii. Oznaczało to także konfiskatę całego jego majątku. Takayama przyjął to w pełnej pokorze, a trudy związane z wędrówką traktował jako możliwość pokuty. Ostatecznie Ukon wraz z rodziną musiał opuścić Japonię i na chińskich dżonkach udał się na Filipiny. Był już wówczas bardzo schorowany, ale podróż spędził na modlitwie. Gdy przybył do schrystianizowanej już wówczas Manili, zarówno przywódcy świeccy, jak i kościelni chcieli obsypać go darami, on jednak odmówił i nadal żył ubogo na modlitwie.

„Cokolwiek się od tej pory stanie, nie porzucajcie wiary, nie poddawajcie się działaniu szatana, żyjcie według nauki Bożej" – prosił umierający Ukon Takayama.

„Nie porzucajcie wiary"

Kilka tygodni po przybyciu na Filipiny Japończyk poczuł, że śmierć jest coraz bliżej. Dlatego wezwał rodzinę i przekazał jej swoją ostatnią wolę, która może powinna stać się testamentem dla każdego z nas. „Cokolwiek się od tej pory stanie, nie porzucajcie wiary, nie poddawajcie się działaniu szatana, żyjcie według nauki Bożej" – prosił swoich bliskich. A gdy ci zaczęli płakać, on zapytał: „Dlaczego płaczecie? Czy coś wam się stanie po tym, jak umrę? Mylicie się. Bóg będzie się wami opiekował jak dotychczas i zostanie waszym prawdziwym ojcem. Bądźcie odważni" – podkreślał. A na koniec dodał: „Chcę wyruszyć w drogę na spotkanie Pana w radości... Moja dusza wielbi Pana Boga i stworzyciela". W nocy z 3 na 4 lutego 1615 roku Ukon skonał. Jego ostatnie słowa to: „Jezus, Maria".

Wiele wieków później, po 250 latach prześladowań, odrodzeniu Kościoła w Japonii, jego osłabieniu i wejściu w stan stagnacji Ukon Takayama został beatyfikowany w 2017 roku. Ale nie jest on darem tylko dla Kościoła japońskiego, lecz także dla wszystkich chrześcijan na całym świecie. Jego wierność Bogu jest dla nas najważniejszym świadectwem. ■

eprasa.pl d6f3169021

Ryszard Czarnecki

Świt i sznur, czyli samorządy stolicy, Gdańska i Radomia

W stanie wojennym na różnych wrocławskich demonstracjach skandowaliśmy: „Wrocław–Warszawa: wspólna sprawa!". A z kolei podczas pielgrzymki papieża Polaka i Mszy na gdańskiej Zaspie: „Gdańsk–Warszawa: wspólna sprawa!". Te hasła po latach wracają niczym chichot historii. Co łączy bowiem na przykład władze Warszawy, Gdańska i Radomia? Pogarda dla historii i brak szacunku dla tych, którzy ginęli za Polskę. W stolicy Polski, stolicy Pomorza oraz w mieście protestów w 1976 roku rządzą prezydenci z PO – to ich wspólny mianownik. Czy dlatego przez długie lata nie można było w Warszawie postawić pomnika prezydenta Warszawy, potem RP, profesora Lecha Kaczyńskiego, a władze robiły wszystko, aby tę wielką postać wymazać z kart polskiej historii? W Gdańsku niszczeje Westerplatte, co jest i wielkim wstydem, i wielkim oskarżeniem władz samorządowych tego miasta, które znajdują pieniądze na tzw. parady równości, ale nie mają środków finansowych, aby choćby w elementarny sposób uczcić tych, którzy „czwórkami do nieba szli" (Konstanty Ildefons Gałczyński).

W Radomiu natomiast już nawet „Gazeta Wyborcza" pisze, że niszczeje miejsce upamiętniające Polaków zamordowanych przez Niemców w 1943 roku. Władze tych dwóch aglomeracji i jednego dużego miasta widać nie znają słów Norwida: „Przeszłość to dziś, tylko cokolwiek dalej". Nie rozumieją albo nie chcą zrozumieć, co to jest polityka historyczna. Nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, że rodakom poległym za Ojczyznę należy się wdzięczność i hołd. Wszak, jak pisał współczesny, jakże tragiczny poeta Rafał Wojaczek: „Ojczyzna, ta dziedzina śmierci niechybionej".

Albo się pewne rzeczy czuje, albo ma się je w nosie. Pokaż mi, czy masz szacunek do polskich bohaterów, a powiem ci, kim jesteś. Widocznie politycy PO należą do tych, do których nie stosują się słowa Zbigniewa Herberta o tym, by iść, żyć i dać świadectwo. A może są to dla nich pojęcia ze „Słownika Wyrazów Obcych"? Jak zwał, tak zwał, nieważne motywy: ważny jest efekt finalny – czyli ich kompromitacja.

Oglądanie dramatycznie zaniedbanych miejsc na terenie Wojskowej Składnicy Tranzytowej – bohaterskiej obrony Polaków z września 1939 – budzi wściekłość. Trzeba ją wyrażać, bo bezkarność tylko rozzuchwala tych kosmopolitów, którzy z własnej woli dokonują amputacji naszych korzeni.

Co łączy przywracanie przez władze Warszawy – wspólnie z sądami – komunistycznych patronów ulic w stolicy Rzeczypospolitej z prezydentem Radomia, któremu nie przeszkadza rozpadający się pomnik upamiętniający rodaków walczących z niemieckim okupantem? Co łączy poza legitymacją partyjną? Zapewne całkowite wykorzenienie. Co ich łączy z wiceprezydentem Gdańska, który winą za II wojnę światową rozpoczętą agresją III Rzeszy Niemieckiej na Polskę obarcza... i Polaków, i naszych zachodnich sąsiadów (sic!)? Lub z jego szefową, dla której marniejące miejsca narodowej pamięci na Westerplatte stają się pretekstem do... atakowania polskiego rządu, który chce wypełnić „obowiązek pamięci"?

Czasem piszę o różnych niemądrych politykach, że dopisują swoje rozdziały do książki Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce". To nie jest ten przypadek. To raczej zapisywanie kolejnych rozdziałów „Hańby domowej", by użyć tytułu poruszającego zbioru wywiadów z przywódcami nadwiślańskich komunistów autorstwa mojego znajomego Jacka Trznadla.

Nie wiem co gorsze: miliardy wyciekające w aferze VAT-owskiej czy ta pogarda dla polskiej przeszłości będąca udziałem władz samorządowych występujących pod (tęczowa) flagą PO.

„Spisane będą czyny i rozmowy" – ten cytat polskiego noblisty Czesława Miłosza pasuje tu jak ulał. Cóż, ten wiersz napisany przez Miłosza w Waszyngtonie w 1950 roku kończy się słowami, które wszak trudno uznać za mowę nienawiści: „lepszy dla Ciebie byłby świt zimowy /I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta"... ■

eprasa.pl d6f3169021

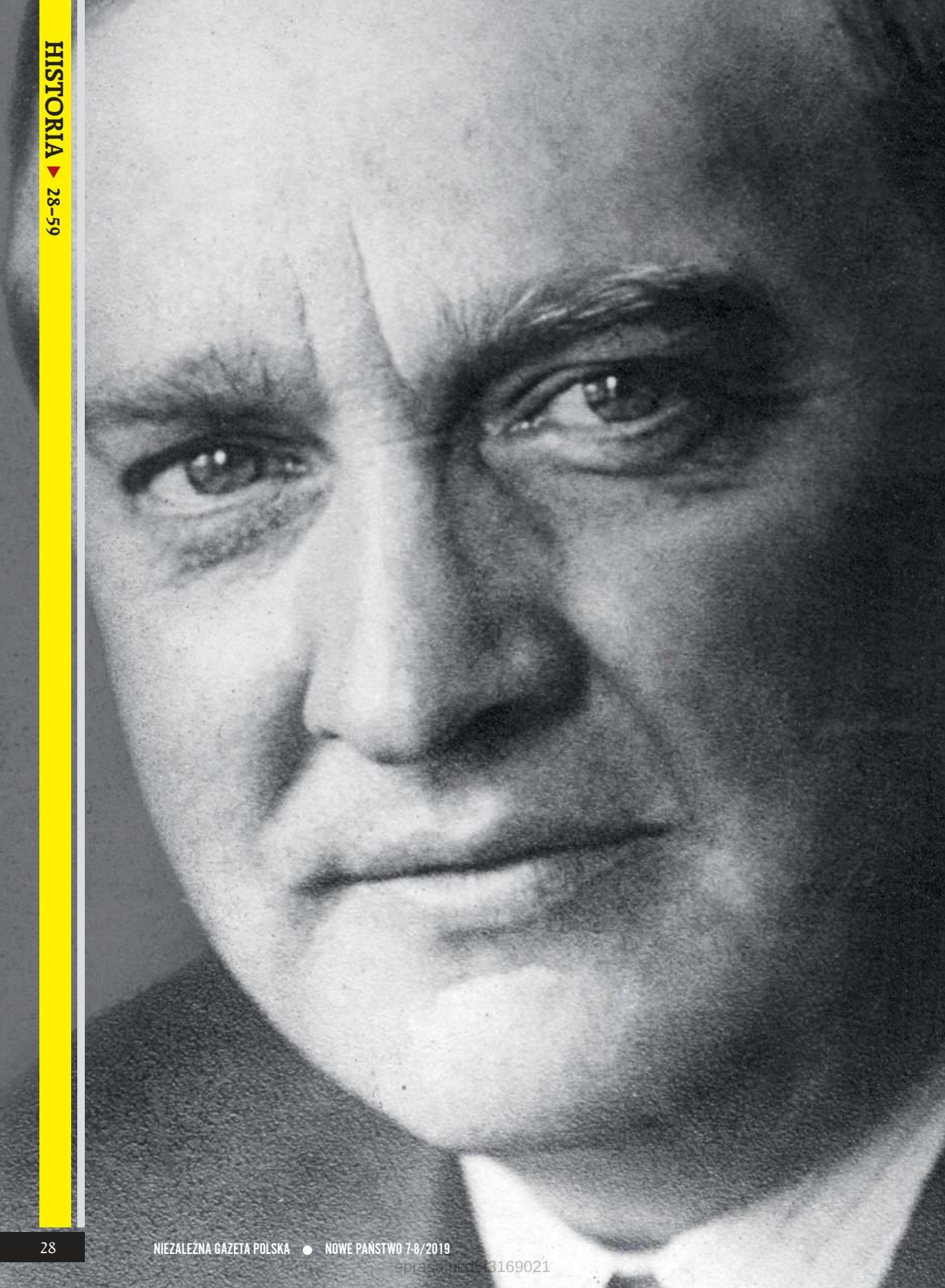

epraso.pl ds3169021

fot. NAC

Wolał mecze Pogoni Lwów od odwiedzania Filharmonii, a swoje matematyczne twierdzenia spisywał w kawiarni „Szkocka". Nigdy nie skończył studiów, a jako wykładowca przychodził nierzadko na uniwersytet prosto z nocnej balangi. A poza tym był jednym z kilkudziesięciu najwybitniejszych uczonych na świecie. I chyba nie było w historii nauki bardziej barwnej postaci niż polski geniusz matematyczny Stefan Banach. Od 11 listopada 2018 roku kawaler Orderu Orła Białego, który nadał mu pośmiertnie prezydent Andrzej Duda.

Piotr Lisiewicz

Za mała suma, aby opuścić Polskę

eprasa.pl d6f3169021

Mimo że tytuły naukowe miał w serdecznym poważaniu, a formalną edukację zakończył na drugim roku studiów, Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie postanowił podstępem zmusić go do obrony – dopuszczonego w drodze wyjątku bez ukończenia studiów – doktoratu. W tym celu wyznaczono mu dwóch asystentów, którzy chodzili za nim i spisywali jego twierdzenia oraz spostrzeżenia. To, co spisali, po namówieniu go do złożenia podpisu, uznano za pracę doktorską.

Wpaść do dziekanatu, by... obronić pracę doktorską

Ale już zmuszenie Banacha do obrony pracy wydawało się przekraczać możliwości kogokolwiek, z władzami uczelni włącznie. „Na uwagi, że powinien wkrótce przedstawić pracę doktorską, odpowiadał, że ma jeszcze czas i może wymyślić coś lepszego niż to, co osiągnął do tej pory... Pewnego dnia zaczepiono Banacha na korytarzu Uniwersytetu Jana Kazimierza: »Czy mógłby pan wpaść do dziekanatu, są tam jacyś ludzie, którzy mają pewne problemy matematyczne, a pan na pewno potrafi im wszystko wyjaśnić«" – wspominał ks. prof. Andrzej Turowicz. To wzbudziło zaciekawienie matematyka. „Banach udał się zatem do wskazanego pokoju i chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, nieświadom tego, że właśnie zdaje egzamin doktorski przed komisją specjalnie w tym celu przybyłą z Warszawy" – pisał ks. Turowicz.

Jakie było znaczenie tej „opublikowanej" i „obronionej" pracy doktorskiej? Zdaniem prof. Stanisława Mazura... przełomowe dla światowej matematyki: „Rok 1922, w którym Stefan Banach w polskim czasopiśmie »Fundamenta Mathematicae« ogłosił swą rozprawę doktorską pod tytułem »Sur les operations dans les ensembles abstraits et leur application aux equations integraless«, jest datą przełomową w historii matematyki XX wieku. Ta kilkudziesięciostronicowa rozprawa ugruntowała bowiem ostatecznie podstawy analizy funkcjonalnej, nowej dyscypliny matematycznej, która – jak to wykazały rezultaty badan Stefana Banacha i innych – posiada kapitalne znaczenie dla dalszego rozwoju nie tylko samej matematyki, ale również nauk przyrodniczych, a w szczególności fizyki".

Rzemiosło poetów i matematyków

„Matematycy wiedzą dobrze, że ich rzemiosło polega na tej samej tajemnicy, co rzemiosło poetów" – pisał w tekście o Banachu Hugo Steinhaus, wybitny polski matematyk, który odkrył jego talent. Jak doszło do wydarzenia, dzięki któremu powstała słynna Lwowska Szkoła Matematyczna? Hugo Steinhaus wspominał: „Idąc letnim wieczorem roku 1916 wzdłuż Plant krakowskich, usłyszałem rozmowę, a raczej tylko kilka słów; wyrazy »całka Lebesgue'a« były tak nieoczekiwane, że zbliżyłem się do ławki i zapoznałem z dyskutantami: to Stefan Banach i Otto Nikodym rozmawiali o matematyce". Tak rozpoczęła się droga, w wyniku której – jak pisze Mariusz Urbanek, autor książki „Genialni. Lwowska szkoła matematyczna" – Stefan Banach to obok Euklidesa najczęściej wymieniane nazwisko w świecie matematyki.

Profesor Jan Waszkiewicz z Politechniki Wrocławskiej pisał z kolei w czasopiśmie „Matematyka", że „Banach był bez wątpienia najwybitniejszym polskim matematykiem i jest jedynym, którego nazwisko jest znane każdemu studentowi matematyki na całym świecie". Profesor Wacław Szybalski wskazywał natomiast, czego zaczątkiem była grupa, której częścią był Banach: „Lwowska Szkoła Matematyczna była także znana jako »Szkocka« – nie z powodu jakichś bezpośrednich związków ze Szkocją, lecz od nazwy »Kawiarni Szkockiej«, gdzie lwowscy matematycy zwykli spotykać się i rozwiązywać swe teorie na papierowych serwetkach lub bezpośrednio na blatach stolików. Pierwszy język komputerowy (notacja »polska« lub »odwrócona polska« używana przez firmę Hewlett Packard) był także stworzony przez tę grupę".

Syn żołnierza i niepiśmiennej góralki

Droga Stefana Banacha do światowej sławy była niezwykle trudna, tak jak jego dzieciństwo. Urodził się 30 marca 1892 roku w Krakowie. Jego ojcem był Stefan Greczek, góral służący w wojsku austriackim, a matką niepiśmienna góralka Katarzyna Banach, pochodząca z Borównej. Informacje te często w życiorysach matematyka opatrzone są zastrzeżeniem „prawdopodobnie".

Roman Duda w „Wiadomościach Matematycznych" (2009, nr 2) opublikował artykuł „Prawda i mity o pochodzeniu Stefana Banacha", w którym postanowił usystematyzować tę wiedzę. Cytuje w nim list ojca Stefana Greczka do syna: „Gdy Ty się urodziłeś, ja miałem wtedy 24 lata i 4 miesiące. Służyłem w wojsku. Bez zezwolenia władzy wojskowej nie wolno mi było ożenić się. Pozwolenie na zawarcie ślubu udzielano tylko wtedy, jeżeli ktoś wykazał się dokumentami, że przez to poprawia sobie egzystencję. Matka Twoja będąc z zawodu pokojówką otrzymywała wynagrodzenie 5 złr. miesięcznie. Nie było mowy o tym, aby można było uzyskać pozwolenie na zawarcie ślubu". Sytuacja była więc beznadziejna: „Ja także nie mogłem z moich dochodów dać Twojej matce na utrzymanie. Więc postanowiliśmy po upływie miesiąca oddać Cię na wieś na wychowa-

eprasa.pl d6f3169021

nie i zobowiązałem się płacić za Ciebie, co też każdego miesiąca spełniałem".

Jakie były dalsze losy matki Banacha, po rozstaniu z jego ojcem? Profesor Monika Waksmundzka-Hajnos opisuje je następująco: „Katarzyna jakiś czas przebywała w Krakowie. Potem wyszła za mąż za pracownika kolei. Wyjechała i wszelki ślad po niej zaginął. Młody ojciec przyrzekł jej przed rozstaniem dwie rzeczy – że będzie się opiekował dzieckiem do uzyskania przez chłopca pełnoletniości oraz że nigdy nie wyjawi, kto był jego matką. Obu obietnic dotrzymał. I chociaż łatwiej by było oddać porzuconego przez matkę synka do sierocińca, on zdecydował się mieć nad nim pieczę. Chłopcem prawdopodobnie zajęła się matka Stefana seniora – Antonina Greczek w Ostrowsku".

Gdy Antonina Greczek podupadła na zdrowiu, jego przybraną matką została Franciszka Płowa, właścicielka dobrze prosperującej pralni w Krakowie. „Była osobą majętną, a mimo to ojciec regularnie płacił na utrzymanie syna, aż do jego wyjazdu na studia do Lwowa" – wspomina Waksmundzka-Hajnos.

„Wrażenie jasnowidzenia"

Stefan od dzieciństwa wykazywał nieprzeciętne zdolności matematyczne. W latach 1902–1910 uczęszczał do IV c.k. Gimnazjum w Krakowie, czyli późniejszego I Liceum Ogólnokształcące im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie. Szkolny kolega Adolf Rożek zapamiętał go następująco: „Banach był szczupły i blady, z niebieskimi oczyma. W stosunku do kolegów miły, ale poza matematyką nic go nie interesowało. O ile mówił, to mówił ogromnie prędko, tak jak ogromnie prędko myślał matematycznie. Miał niebywałą zdolność tak szybkiego myślenia i uczenia, że na słuchaczach robiło to wrażenie jasnowidzenia"

Po maturze rozpoczął pracę w księgarni, a matematykę studiował jako samouk. W latach 1911–1913 zaliczył dwa lata studiów na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Lwowskiej i zdał egzamin częściowy, tzw. półdyplom. „Będąc studentem dorabiał tańcząc za 20 halerzy mazura w drugiej parze w operze Halka. W innej natomiast operze niósł byka jako jeden z sześciu tragarzy" – wspominał jego syn, również Stefan, w wywiadzie dla pisma „Delta" nr 10 (221) 1992.

Mówił, że ojciec interesował się także powstającym wówczas w Krakowie i Lwowie polskim sportem: „Jako chłopak namiętnie grywał w piłkę nożną na Błoniach w Krakowie. W czasach studenckich bardzo chętnie grywał w bilard i był w tym bardzo dobry. Ale bilard był wówczas inny niż teraz. Nazywał się karambol, a czasami karambolka. Były tam tylko trzy bile. Teraz jest modny bilard amerykański. To coś zupełnie innego. Bardzo dobrze grał też w tenisa. A że był mańkutem, więc stanowiło to dodatkowe utrudnienie dla przeciwnika".

W czasie I wojny światowej nie został wcielony do wojska właśnie z powodu leworęczności i wady wzroku. Pracował jako nadzorca przy budowie dróg. Po powrocie do Krakowa zarabiał na życie, udzielając korepetycji. To wtedy, latem 1916 roku, doszło do słynnego przypadkowego spotkania z Hugo Steinhausem na krakowskich Plantach. „To spotkanie Steinhausa z Banachem miało niemal natychmiastowe konsekwencje naukowe: Steinhaus zakomunikował Banachowi pewne zagadnienie, nad którym od dłuższego czasu pracował, a w parę dni później – ku zdziwieniu Steinhausa – Banach przyszedł z gotowym rozwiązaniem. Tak powstała pierwsza publikacja Banacha, ogłoszona w »Biuletynie Akademii Krakowskiej« wspólnie ze Steinhausem" – czytam na stronie lwow.com.pl. „Odkrycie Banacha było moim największym odkryciem naukowym" – napisze potem Steinhaus. W 1920 roku dzięki wstawiennictwu Steinhausa Banach otrzymał asystenturę w Katedrze Matematyki na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej, u prof. Antoniego Łomnickiego.

Na dworcu piwo sprzedawano całą dobę...

Jaki był klimat tuż powojennego Lwowa? Hugo Steinhaus pisał: „Pod względem towarzyskim panował wtedy chaos i szum powojenny – szał tańca, zabawy, wycieczki, libertynizm, zdrady i tymczasowe związki. Jednym słowem używanie swobody, o której marzono przez lata". Sławna na cały świat Lwowska Szkoła Matematyczna wykuwała się przy winie albo i koniaku w tamtejszej kawiarni „Lwowska". Jak pisze Mariusz Urbanek, gdy zamykano ją zbyt wcześnie, Banach udawał się na dworzec kolejowy, gdzie piwo sprzedawano przez całą dobę.

„Wykład zaczynam z opóźnieniem, ale za to skończę go wcześniej" – takie powiedzonko Banacha zapamiętali studenci. Ewa i Adam Hollankowie w książce „I zobaczyć miasto Lwów" cytują następujące wspomnienie Stanisława Makowieckiego, późniejszego sławnego konstruktora samolotów: „Jakby dla rekompensaty za życie wśród cyfr docent Banach lubił się bawić, czego początkowo nie domyślaliśmy się... Na wykłady matematyki o ósmej rano wyznaczano często sale geometrii wykreślnej. Zauważyliśmy ze zdziwieniem, że docent Banach przychodził w pewne dni ubrany we frak, który zresztą doskonale na nim leżał, dając mu sylwetkę młodego dyplomaty na przyjęciu dworskim. Przypuszczalnie – snuliśmy domysły – ma przemawiać na jakichś obchodach u rektora... Wnet zauważyliśmy, że docent nie bywa ani uczesany, ani ogolony. Raz usiadł przy stole i podparł się ręką. Na sali zaległa cisza. Nie ruszać się

eprasa.pl d6f3169021

– radzili szeptem koledzy – bo zaraz zacznie wypisywać nowe równania. Tak dosiedzieliśmy do końca godziny... Po ostatnim mazurze docent spieszył na pierwszy wykład".

Nagrody za odkrycie: pięć piw albo żywa gęś

Jak w takiej atmosferze powstawać mogły genialne matematyczne odkrycia? Zachowały się liczne relacje na ten temat, zarówno matematyków, jak i innych świadków historii. Stanisław Ulam, również wybitny matematyk, tak opisywał w „Wiadomościach Matematycznych" rytuał dochodzenia do naukowych odkryć: „Czasem cała dyskusja składała się z kilku słów rzuconych w ciągu długich okresów rozmyślania. Widz siedzący przy innym stole mógł zauważyć nagłe, krótkie wybuchy konwersacji, napisanie kilku wierszy na stole, od czasu do czasu śmiech jednego z siedzących, po czym następowały okresy długiego milczenia, w czasie których tylko piliśmy kawę i patrzyliśmy nieprzytomnie na siebie. Tak wytworzony nawyk wytrwałości i koncentracji, trwającej czasami godzinami, stał się dla nas jednym z najistotniejszych elementów prawdziwej pracy matematycznej".

Jak zachowywał się w czasie takich dyskusji Banach? Ulam pisał: „W rozmowach unikał na ogół wyrażania ostrego sprzeciwu; gdy jednak nie zgadzał się ze zdaniem rozmówcy, manifestował to stawianiem pytań... Popijał kawę i palił papierosy niemal bez przerwy". Zdaniem Tadeusza Krzyżewskiego, Banach „lubił pracować w gronie przyjaciół-matematyków w kawiarnianej atmosferze, przy czym gwar i muzyka nie przeszkadzały mu w koncentracji myśli".

Odkrycia zapisywano na... stolikach w kawiarni „Szkocka": „Stoły kawiarniane były pokryte płytami marmurowymi, na których można było pisać ołówkiem, co ważniejsze, szybko ścierać". W końcu jednak żona Banacha kupiła mu potężny zeszyt, by w nim w uporządkowany sposób zapisywał wszystko, co wymagało utrwalenia odpornego na... ścierkę kelnera. Jak pisał Krzyżewski, odnotowywano tam problemy wymagające rozwiązania, z podaniem przy każdym nazwiska autora i daty. Na odwrocie karty pozostawiano miejsce na ewentualny opis rozwiązania. „Księga Szkocka", jak nazwano ów zeszyt, była przechowywana w barze. Miała być udostępniana każdemu matematykowi, który odwiedzi kawiarnię i sobie tego zażyczy. Mógł on też podjąć się rozwiązania problemów, których nie zdołali dotąd rozszyfrować pozostali matematycy. Autorzy pytań obiecywali nagrody tym, którzy rozwiążą zadanie poprawnie. Były to m.in. pięć piw, podróż do Genewy na szwajcarską potrawę, ale także... żywa gęś.

„Hugo Steinhaus oferował, w zależności podjętego stopnia trudności, trzy nagrody: »Za obliczenie frekwencji: 10 dkg kawioru czerwonego. Za dowód istnienia: małe piwo. Za przykład przeciwny: mała czarna«. W 1936 roku Stanisław Mazur zaoferował, jako premię za rozwiązanie problemu bazy w przestrzeniach Banacha, ową słynną żywą gęś. Otrzymał ją dopiero 36 lat później szwedzki matematyk Per Enflö, który rozwiązał problem, znalazłszy go w przetłumaczonej przez Ulama i udostępnionej przyjaciołom-matematykom »Księdze Szkockiej«" – czytamy w czasopiśmie „Świat Matematyki".

„To za mała suma, aby opuścić Polskę"

Jak czytamy na stronie lwow.com.pl, jako profesor Uniwersytetu we Lwowie Banach rozwijał – obok dużej aktywności dydaktycznej – wielką działalność naukowo-badawczą. Stał się wkrótce największym autorytetem w analizie funkcjonalnej, której jest jednym z twórców. „Banach zdawał sobie sprawę ze swojej wartości i z tego, jakie wartości stwarza. Akcentował swoje pochodzenie góralskie i miał dosyć lekceważący stosunek do typu ogólnie wykształconego inteligenta bez teki" – pisał Hugo Steinhaus.

W 1929 roku Lwowska Szkoła Matematyczna zaczęła wydawać swój organ „Studia Mathematica". W 1932 roku ukazało się słynne dzieło Banacha „Theorie des operations lineaires". To pierwszy tom wydany przez wydawnictwo „Monografie Matematyczne". Jednym z jego założycieli był Banach. Dzieło to przyczyniło się do popularności Banacha w światowej nauce. W 1936 roku wystąpił z odczytem plenarnym w czasie Międzynarodowego Kongresu Matematycznego w Oslo. „Jego najważniejszą zasługą jest przełamanie raz na zawsze i zniszczenie do reszty kompleksu polegającego na poczuciu niższości Polaków w naukach ścisłych, maskującego się wywyższaniem jednostek miernych" – pisze Hugo Steinhaus. Był autorem ponad 60 prac naukowych i wielu twierdzeń o fundamentalnym znaczeniu dla wielu działów matematyki.

„Piętno, które wycisnął Stefan Banach na matematyce naszego wieku, zapewnia mu stałe miejsce w historii nauki. Zarówno swym własnym dziełem, jak również przez pobudzanie zainteresowań działalności innych matematyków w swej ojczyźnie, Polsce, a także i w innych krajach, wywarł on decydujący wpływ na rozwój współczesnej analizy funkcjonalnej" – mówił po latach amerykański naukowiec Marshall H. Stone. W 1937 roku oferowano mu profesurę wyższej uczelni w USA, ale odmówił i nie wyjechał ze Lwowa. Uzasadniał to motywacjami patriotycznymi. Jan von Neumann, który zaproponował mu pracę w zespole Norberta Wienera, przywiózł mu czek z wpisaną jedynką, do której Banach mógł dopisać taką liczbę zer, jaką

eprasa.pl d6f3169021

uzna za stosowną. „To za mała suma, aby opuścić Polskę" – odpowiedział żartobliwie.

Jakie miał poglądy polityczne? „Sytuacja polityczna była wówczas na tyle złożona, że danie krótkiej odpowiedzi na to pytanie jest po prostu niemożliwe. Jedno mogę natomiast powiedzieć. Absolutnie nie był komunistą" – wspominał syn w czasopiśmie „Delta". W kwietniu 1939 roku Banach został prezesem Polskiego Towarzystwa Matematycznego na okres kadencji 1939–1941. Ale z powodu niemożności wyboru kolejnych władz pełnił ją aż do 1945 roku.

Karmiciel wszy

Gdy wybuchła II wojna światowa, w czasie sowieckiej okupacji Lwowa, nadal pracował na Uniwersytecie Lwowskim. W czerwcu 1941 roku został wpisany na listę kandydatów na członków Akademii Nauk USSR. „Przyzwyczaiłem się do życia pod Stryjem, to potrafię żyć i pod Ojcem" – miał powiedzieć. Była to gra słów: chodziło o Stryj, czyli miasteczko pod Lwowem, w którym mieszkał Banach, a „Ojciec" był nawiązaniem do „ojczulka" Stalina.

Po wkroczeniu Niemców został aresztowany i przez kilka tygodni przebywał w więzieniu. Podejrzewano go o przemyt marek niemieckich, ponieważ w jego mieszkaniu zastano osoby, które się tym zajmowały. W czasie niemieckiej okupacji Lwowa, po zamknięciu przez Niemcy uniwersytetu, pozbawiony możliwości pracy zawodowej, wraz z innymi naukowcami pracował też jako... karmiciel wszy dla lwowskiego Instytutu Badań nad Durem Plamistym prof. Rudolfa Weigla. Dzięki karmieniu wszy naukowcy posiadali dokument, który skutecznie chronił ich przed represjami okupantów. Jak wspominał Zdzisław Ruziewicz: „Istniał stół, przy którym wszy skarmiali humaniści, i stół, gdzie siedzieli karmiciele zajmujący się naukami ścisłymi. Banach siadywał przy jednym stole z Bronisławem Knasterem i nawet, zdaje się, prowadzili tutaj rozmowy matematyczne".

Profesor Wacław Szybalski, kierownik hodowli wszy, pisał o tym: „Od czasu, gdy karmienie wszy przez karmicieli zajmowało tylko godzinę dziennie i gdy uczelnie (z wyjątkiem Politechniki przemianowanej przez Niemców na Technische Fachkurse) były zamknięte przez hitlerowców, karmiciele w pozostałym czasie mogli organizować podziemne kursy uniwersyteckie i inną działalność patriotyczną".

Ostatni katolicki pogrzeb w sowieckim Lwowie

Od 1942 do 1944 roku Banach był wykładowcą matematyki na Państwowych Technicznych Kursach Zawodowych. Po ponownym zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną znów pracował na uniwersytecie, podjął jednak starania, by wyjechać na stałe do Krakowa, gdzie miał rozpocząć wykłady na UJ.

Na początku 1945 roku zachorował na raka płuc. „Chorego Banacha odwiedzaliśmy kilkakrotnie. Zdawał on sobie sprawę ze złego stanu zdrowia i w rozmowie z nami przewidywał nawet czas śmierci. Mimo tego w czasie wizyt zastawaliśmy Banacha przy studiowaniu pracy Kelloga o zastosowaniu punktu stałego do rozwiązania układu równań różniczkowych zwyczajnych. Ciężko chory wykładał do ostatniej chwili skupionym blisko siebie słuchaczom, gdyż głos miał już słaby z powodu dolegliwości i ogólnego osłabienia" – wspominał jego student i współpracownik Feliks Barański.

Zmarł 31 sierpnia 1945 roku. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim, obok grobowca Marii Konopnickiej. „Władze nie chciały dopuścić do udziału księdza w pogrzebie. Jednak żona Banacha, Łucja, postawiła na swoim i w pogrzebie brało udział aż trzech księży" – pisał Barański. Na jego pogrzebie były tłumy mieszkańców Lwowa. Stał się on wielką manifestacją pozostałości polskiego środowiska naukowego we Lwowie. Na Łyczakowie żegnało go aż 16 mówców. „Był to ostatni oficjalny pogrzeb katolicki w mieście z przejściem konduktu przez miasto z księdzem!" – mówił jego syn.

***

Jak pisze Mariusz Urbanek w książce „Genialni", lwowska „Księga Szkocka" przetrwała w rękach rodziny Banacha, a po wojnie trafiła do Wrocławia. „Karierę światową zrobiła dopiero wtedy, gdy Steinhaus skopiował ją i przesłał do Ameryki. Tam Ulam odbił ją w 300 egzemplarzach i rozesłał po całym świecie. Dopiero wtedy uświadomiono sobie, jaki to jest fenomen, jaki bagaż intelektualny ta księga niesie. Została opublikowana na Zachodzie, w Polsce ukazały się tylko fragmenty".

Jak wspominał Kazimierz Kuratowski, „Księga Szkocka" „przedstawiona na Międzynarodowym Kongresie Matematycznym w Edynburgu w 1958 r. wywołała zrozumiałą sensację wśród Szkotów, nie orientujących się, że jej związek ze Szkocją jest zupełnie specyficzny".

14 października 2016 roku na Plantach w Krakowie odsłonięto ławkę z figurami Stefana Banacha i Ottona Nikodyma, w setną rocznicę rozmowy, jaką odbyli ci matematycy, przy okazji której doszło do spotkania z Hugonem Steinhausem. 11 listopada 2018 roku prezydent Andrzej Duda odznaczył Stefana Banacha pośmiertnie Orderem Orła Białego. ■

eprasa.pl d6f3169021

1

Dariusz Jarosiński

PAMIĘĆ POWSTANIA

Komuniści bali się legendy Powstania Warszawskiego, legendy żołnierzy Armii Krajowej. Czerwoni propagandyści podjęli już pod koniec 1944 roku próbę przejęcia tej legendy. Podkreślali w swoich publikacjach bohaterstwo żołnierzy Armii Ludowej biorących udział w Powstaniu i kunktatorstwo, tchórzostwo żołnierzy AK.

1. Powstańcy Zgrupowania AK „Chrobry II", największego oddziału Powstania Warszawskiego, w którym walczyli st. sierż. Mikołaj Wasik „Wąsaty" i jego córka Zosia
2. Pomnik Powstania Warszawskiego w Dąbrównie po renowacji, w niezmienionym kształcie, fotografia współczesna
3. Napis na pomniku-kapliczce na marmurowej tablicy, fotografia współczesna
4. Tablica poświęcona Mikołajowi Wąsikowi, która w 2018 r. została wmurowana w ścianę frontową budynku urzędu gminy w Dąbrównie

eprasa.pl d6f3169021

2

3

4

fot. Arch. zdjęcie główne kolorowane Mikołaj Kaczmarek

Po upadku Powstania Warszawskiego przez ponad trzy miesiące specjalne oddziały niemieckie metr po metrze równały z ziemią stolicę Polski. Po uzgodnieniu z Hitlerem Reichsführer SS Heinrich Himmler wydał rozkaz: „To miasto ma całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi i służyć jedynie jako punkt przeładunkowy dla transportu Wehrmachtu. Kamień na kamieniu nie powinien pozostać. Wszystkie budynki należy zburzyć aż do fundamentów. Pozostaną tylko urządzenia techniczne i budynki kolei żelaznych".

Z podobną do niemieckiej pieczołowitością w zagładzie Warszawy komuniści zacierali po roku 1945 pamięć o Powstaniu Warszawskim, o bohaterskich powstańcach, niszczyli wszelkie przejawy polskiego ducha wolności, blokowali społeczne inicjatywy uczczenia wielkiego zrywu wolnościowego. Komuniści bali się jak diabeł święconej wody legendy Powstania. Zatruwali pamięć narodu najbardziej ohydnymi kłamstwami. Upamiętnienia Powstania, powstałe jeszcze w czasie walk lub w niedługim czasie po ich zakończeniu, były skrzętnie usuwane przez komunistyczną władzę. Pierwsze upamiętnienie powstało w drugą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, 1 września 1946 roku, w niewielkiej miejscowości na Mazurach, w Dąbrównie.

Jak Bór-Komorowski uzgadniał z hitlerowcami plan Powstania

Komuniści traktowali bohaterskich powstańców warszawskich jak wrogów, zdrajców ojczyzny, „służących rządowi londyńskiemu", „sanacyjnej klice". „Jakże nędznie i haniebnie wygląda rola dowództwa AK wobec tytanicznego wysiłku Armii Ludowej" – mówił w marcu 1945 roku gen. Michał Rola-Żymierski, współpracownik wywiadu sowieckiego NKWD. „Działalność AK – to oszustwo i fałsz, to kupczenie krwią i najszlachetniejszymi odruchami narodu, to tchórzostwo i podłość. Walka Armii Ludowej to przejaw wspaniałej wielkoduszności, która kazała im umierać i ginąć za cudze błędy, ale do końca, do ostatniego tchu pozostać z narodem" – dodawał. Można by mnożyć podobne wypowiedzi sowieckich namiestników. Politruk LWP, Piotr Jaroszewicz, w broszurze „Powstanie Warszawskie", wydanej w 1945 roku, wcale nie był odosobniony w swoich opiniach, że w sprawie Powstania w Warszawie gen. Tadeusz Bór-Komorowski domówił się z Niemcami: „Plan powstania został uzgodniony z wywiadem hitlerowskim [...] korzystając z kontaktu, który z gestapo i wywiadem niemieckim stale utrzymywał Bór-Komorowski". Jedynie w okresach tzw. odwilży komuniści tonowali i łagodzili swoje wypowiedzi.

To oczywiste, że komuniści uniemożliwiali prowadzenie badań historycznych związanych z Powstaniem. Pierwszym historykiem, który podjął się zebrania materiałów i opracowania historii Powstania Warszawskiego,

cprasa.pl def3169021

był Adam Borkiewicz, legionista I Brygady, dwukrotnie ranny w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, od 1935 roku kustosz, dyrektor Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, pułkownik Wojska Polskiego, członek Komendy Głównej AK, czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, kawaler Orderu Virtuti Militari. W Powstaniu Warszawskim m.in. redagował powstańcze gazety. Po zakończeniu walk nie poszedł do niewoli, wyszedł z miasta razem z ludnością cywilną. Po Powstaniu nadal uczestniczył w pracach konspiracyjnych jako kierownik sekcji historycznej BIP KG AK. Na polecenie gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka" zbierał materiały związane z Powstaniem Warszawskim, relacje ocalałych powstańców. Podjął pracę w Instytucie Pamięci Narodowej (istniał takowy utworzony przez komunistów).

20 stycznia 1949 roku komuniści skonfiskowali płk. Borkiewiczowi niemal wszystkie materiały historyczne, wyrzucili go z pracy w IPN. Rodzina Adama Borkiewicza znalazła się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji materialnej – została pozbawiona środków do życia. Najbardziej bolesnym ciosem było aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa ukochanej córki pułkownika, Anny, w czasie Powstania łączniczki batalionu „Zośka", inwalidki wojennej. Anna została skazana na 7 lat więzienia za „gromadzenie i melinowanie materiałów gloryfikujących AK w celu poniżenia AL". Karę więzienia odbywała w Fordonie. Zdaniem komunistów materiałem obciążającym Annę był zarys „Powstania Warszawskiego" napisany przez ojca. Dopiero w 1956 roku, na fali „gomułkowskiej odwilży", Adam Borkiewicz mógł wrócić do pracy historyka. W 1957 roku opublikował swoje dzieło „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej". Była to pierwsza rzetelna praca naukowa licząca prawie 1200 stron opisująca historię Powstania. Monografia Adama Borkiewicza była najbardziej poszukiwaną książką w PRL. Autor zmarł rok po wydaniu książki w wieku 62 lat – nie bez wpływu na stan jego zdrowia były prześladowania komunistów. W Polsce pod ich rządami prawda i pamięć miały wysoką cenę.

Gdyby Adam Borkiewicz żył dzisiaj, miałby wiele powodów do dumy, bo wznowiona jego książka nadal jest źródłem niewyczerpanych informacji zarówno dla historyków, jak i czytelników interesujących się historią, nadal pozostaje jedną z najważniejszych publikacji o Powstaniu. Dzięki m.in. zebranym relacjom powstańców – i to zapisanym w niewiele miesięcy po zakończeniu walk – unikatowym dokumentom, wreszcie dzięki precyzyjnemu językowi opisu, wyjałowionemu niemal z emocji, „Powstanie Warszawskie " jest dziełem o nieprzemijającej wartości, ponadczasowym.

Historyk Szymon Nowak pisał o tej książce: „Ogromna praca Adama Borkiewicza nie poszła na marne, a jego monumentalne dzieło do chwili obecnej pozostaje jedną z najbardziej doniosłych publikacji dotykających aspektów działań zbrojnych w powstaniu warszawskim. To po nią sięgają początkujący historycy pragnący zgłębić jego fenomen i zwykli pasjonaci. Nie bez przyczyny nazywana jest »Biblią powstania warszawskiego« i do dziś traktuje się ją jako podstawę wiedzy o tym zrywie wolnościowym. W czasach pracy nad książką, w dobie wczesnego PRL, autor celowo zrezygnował z opisania szerszego kontekstu politycznego omawianych zdarzeń oraz ruchu (a w zasadzie bezruchu) frontu wschodniego podczas powstania. Wiedział, że komuniści takiej książki nigdy by nie wydali, i dlatego właśnie skupił się tylko i wyłącznie na powstańczych działaniach natury wojskowej. Ale dzięki temu w tym tkwi cały fenomen tej pracy. Pomimo ukazywania się wielu innych tytułów traktujących o powstańczych walkach uważam, że nawet obecnie nie ma cenniejszej publikacji o zbrojnych działaniach powstańców".

Jeszcze w czasie walk, przy odgłosach karabinów, granatników, wyszły spod piór poetów-żołnierzy, powstańców pierwsze wiersze poświęcone Powstaniu, m.in. Józefa Szczepańskiego „Ziutka", Edwarda Chudzyńskiego „Edwarda", Stanisława Marczaka „Juliusza Oborskiego", Zbigniewa Jasińskiego „Rudego". Nie wszyscy z nich przeżyli Powstanie. Na publikacje ich wierszy musieliśmy długo czekać – krążyły zapisane na karteczkach, przekazywane z rąk do rąk. Józef Szczepański „Ziutek" został skazany przez komunistów na zapomnienie z uwagi na wiersz „Czerwona zaraza", który był jego ostatnim utworem, jaki napisał. „Ziutek", żołnierz batalionu „Parasol", 1 września 1944 roku został ciężko ranny w czasie osłaniania ewakuacji oddziałów powstańczych ze Starego Miasta. Przeniesiono go kanałami do Śródmieścia, do szpitala powstańczego. Zmarł 10 września 1944 roku. Dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, a pośmiertnie Virtuti Militari V klasy, pośmiertnie awansowany do stopnia podporucznika. Miał niespełna 22 lata, kiedy umierał. Najwybitniejszy poeta tamtego pokolenia dwudziestolatków, Krzysztof Kamil Baczyński, odszedł już w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Miał 23 lata.

Niemcy wykonali robotę za bolszewików

Komuniści bali się legendy Powstania Warszawskiego, legendy żołnierzy Armii Krajowej. Czerwoni propagandyści podjęli już pod koniec 1944 roku próbę przejęcia tej legendy. Podkreślali w swoich publikacjach bohaterstwo żołnierzy Armii Ludowej biorących udział w Powstaniu i kunktatorstwo, tchórzostwo żołnierzy AK. Po jakimś czasie wycofali się z tej operacji socjotechnicznej – uznali, że jest ona niewykonalna.

Prawda o Powstaniu Warszawskim była niewygodna dla komunistów przede wszystkim z tego względu, że trudno było wytłumaczyć, dlaczego Armia Czerwona

eprasa.pl d6f3169021

przyglądała się biernie z drugiej strony Wisły na dramat mieszkańców Warszawy. Ofensywa armii sowieckiej została wstrzymana na Wiśle, żeby Niemcy wykonali robotę za bolszewików – wymordowali mieszkańców niepokornego miasta, obrócili Warszawę w perzynę, wymordowali żołnierzy Armii Krajowej, stanowiących zagrożenie dla sowietyzacji Polski. W styczniu 1945 roku bolszewicy weszli do wymarłego miasta.

Pisarze-propagandyści starali się przekonać czytelników, że czarne jest białe, a białe czarne, że bohater jest zdrajcą, a zdrajca bohaterem. Jedna z głównych postaci powieści „Pokolenie" Bohdana Czeszki (1948 r.), żołnierz Armii Ludowej, mówi: „Namieszali panowie z Londynu parszywego piwa. Co im Warszawa, co im ludzie... Rzucą w ogień wszystko, wszystko, aby ocalić swoje koryto, swoje pieniądze, żeby nie dopuścić do tego, aby człowiek na naszej ziemi podniósł głowę". Kazimierz Brandys, członek Polskiej Partii Robotniczej od 1946 roku, nie chciał być gorszy w zawodach w pluciu na polskich bohaterów i w 1951 roku wydał paszkwil „Człowiek nie umiera". Pisał nikczemnie: „5 października hrabia Bór-Komorowski, wystraszony skutkami zbrodni, spłoszony jak szczur dymem płonącego miasta i widokiem podstępnie przelanej krwi, której był hojnym szafarzem, rozwścieczony wreszcie niemiłą sytuacją, obnażającą zbyt jaskrawo zdradę »londyńskiego dowództwa« – które pod hasłem powstania przeciwko okupantom usiłowało pchnąć młodzież warszawską przeciwko wyzwoleńczym armiom, radzieckiej i polskiej – wystraszony, spłoszony i rozwścieczony tym wszystkim, pojechał hrabia Bór do Ożarowa. Tam, w kwaterze dowódcy SS von dem Bacha, po przyjacielskiej gawędzie, w której obydwaj generałowie odnaleźli wspólnych przodków po kądzieli – podpisano akt kapitulacji". Kazimierz Brandys nie cofał się przed najbardziej obrzydliwymi, prymitywnymi kłamstwami. Jego zdaniem Komenda Główna AK i Rząd RP w Londynie, nazywane przez niego akowsko-londyńskimi sztabami: „Wziąwszy na swoje sumienie pożary i krew, teraz czuwały nad jednym: aby odciąć Warszawę od pomocy radzieckich wojsk ludowych, walczących o przyczółek na Wiśle. Biuletyny faszystowskiego podziemia [chodzi o Armię Krajową – przyp. D.J.] roiły się od oszczerstw rzucanych na Czerwoną Armię i Kościuszkowców". Brandys dowodził m.in., że żołnierze Armii Krajowej mordowali w czasie Powstania Warszawskiego komunistów; ponad czterdzieści lat później, na łamach „Gazety Wyborczej", pojawił się z kolei tekst o tym, że powstańcy, żołnierze AK, mordowali Żydów. Język propagandy bolszewickiej zmieniał się w zależności od etapu walki klasowej, metody pozostawały jednak ciągle te same, również propagandyści, literaci, dziennikarze wywodzili się z tych samych komunistycznych klanów, środowisk.

W podręczniku historii dla klas licealnych Maria Turlejska wyjaśniała przyczyny i okoliczności wybuchu Powstania Warszawskiego. Widać, że „analizę" Piotra Jaroszewicza dobrze sobie przyswoiła: „Powstanie miało zahamować marsz Armii Radzieckiej na zachód, szło więc na rękę okupantowi. Przedstawiciel wywiadu armii niemieckiej (Abwehry) w rozmowach z delegaturą rządu emigracyjnego w lipcu 1944 r. obiecał w chwili odwrotu zostawić w Warszawie do dyspozycji AK magazyny i artylerię. Powstanie wybuchło więc nie, jak sądził patriotyczny lud stolicy, w porozumieniu z nadchodzącą wyzwoleńczą Armią Radziecką i przeciw okupantowi, ale w tajnym porozumieniu z hitlerowcami, na życzenie reakcji anglo-amerykańskiej przeciw Armii Radzieckiej, przeciw Wojsku Polskiemu, przeciw władzy ludowej". Szczególnie smutne jest to, że Maria Turlejska (z domu Zieleńczyk) była siostrą cioteczną poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, który zginął w walkach powstańczych w pałacu Blanka.

▶ Pierwszy pomnik ku czci bohaterów Powstania Warszawskiego

Pierwszym i jedynym przez całe lata PRL-u pomnikiem czczącym pamięć żołnierzy podziemia niepodległościowego był obelisk Gloria Victis, odsłonięty 1 sierpnia 1946 roku na Powązkach. Przy nim gromadzili się w rocznice wybuchu Powstania wszyscy ci, których serca biły po polsku. Długo trzeba było czekać, by w stolicy powstał pomnik ku czci bohaterów Powstania. Owszem, pojawiały się lokalne tablice czczące pamięć powstańców, ale o pomniku nie mogło być mowy. W 1983 roku komuniści łaskawie przystali na inicjatywę warszawskich harcerzy i pozwolili postawić pomnik „Małego Powstańca". Monumentalny pomnik ku czci bohaterów Powstania Warszawskiego odsłonięto dopiero 1 sierpnia 1989 roku, w 45. rocznicę wybuchu powstania. Największym upamiętnieniem Powstania Warszawskiego jest powstałe z inicjatywy prof. Lecha Kaczyńskiego, ówczesnego prezydenta Warszawy, Muzeum Powstania Warszawskiego. Instytucja ta zmieniła w dużej mierze świadomość historyczną Polaków, uruchomiła inne myślenie o Polsce, o jej najnowszej historii, wzmocniła tożsamość narodową. Nadała Powstaniu charakter ogólnopolski.

Po 1945 roku los rzucił powstańców warszawskich w różne strony świata i Polski. Z wielu względów nie mogli wrócić do miasta, o które walczyli, gdzie pozostawili groby swoich bliskich, choćby z obawy przed represjami komunistów, często też nie mieli dokąd wracać, bo ich rodzinne domy zostały zburzone. Szukali swego szczęścia poza ukochanym miastem i nie znajdowali go. Wielu powstańców warszawskich zawędrowało na tzw. ziemie odzyskane. Jak się okazuje, to oni pierwsi podjęli się upamiętnienia Powstania.

Jeszcze do niedawana za pierwsze upamiętnienie tego zrywu uważano pomnik powstały z inicjatywy księ-

eprasa.pl d6f3169021

dza Jana Ziei, kapelana Szarych Szeregów i Armii Krajowej, uczestnika Powstania, działacza opozycji w PRL. Prowizoryczny pomnik, który już w niedługim czasie wymagał renowacji, został odsłonięty 15 września 1946 roku w Słupsku. W tym mieście ks. Zieja organizował pierwszą polską parafię katolicką po roku 1945. Dzisiejszy pomnik w Słupsku w niewielkim stopniu przypomina pierwowzór.

Jak ustalił kilka lat temu dr Wojciech Brojer, historyk z Instytutu Historii PAN, pierwsze upamiętnienie Powstania Warszawskiego miało miejsce na Mazurach, w miejscowości Dąbrówno w powiecie ostródzkim, za sprawą Mikołaja Wasika, pierwszego wójta tej miejscowości. Kim był ów wójt, który ośmielił się sprzeciwić komunistycznej władzy i upamiętnił „nieprawomyślny" zdaniem komunistów wolnościowy zryw Polaków?

Mikołaj Wasik urodził się w 1898 roku w Wygiełzowie, w niewielkiej miejscowości w pobliżu Zawiercia w województwie śląskim. Posiadał bogatą przeszłość wojskową: ukończył szkołę kadetów, w latach 1919–1920 brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, w okresie międzywojennym pełnił służbę wojskową jako zawodowy podoficer w stopniu starszego sierżanta w jednej z warszawskich jednostek. Mieszkał w osiedlu wojskowym na Żoliborzu. Mógł się poszczycić m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Zasługi, Medalem za wojnę 1918–1921.

We wrześniu 1939 roku Mikołaj Wasik wziął udział w obronie Warszawy. Tuż po wybuchu Powstania Warszawskiego stawił się razem z 23-letnią córką Zosią w dowództwie Zgrupowania AK „Chrobry II", które znajdowało się nieopodal ówczesnego miejsca zamieszkania sierżanta Wasika. „Chrobry II" był największym oddziałem powstańczym. Przez jego szeregi przeszło ponad 3,2 tysiące żołnierzy. Teren zajęty przez Zgrupowanie, czyli Śródmieście Zachodnie, został utrzymany do końca Powstania. W Zgrupowaniu tym walczył Witold Pilecki. Sierżant Wasik, z uwagi na noszone sumiaste wąsy, przyjął pseudonim „Wąsaty". Dowództwo Zgrupowania powierzyło 45-letniemu, doświadczonemu w bojach podoficerowi szkolenie młodych powstańców. Zosia Wasik ps. „Zosia" była łączniczką Zgrupowania AK „Chrobry II", zginęła 17 sierpnia 1944 roku w akcji przy ulicy Siennej 45, w kamienicy „Pod Żaglowcem", gdzie miało siedzibę dowództwo Zgrupowania. Została pochowana w pobliżu tej kamienicy. Mikołaj Wasik przeżył Powstanie, uciekł z obozu w Pruszkowie. W kwietniu 1945 roku ekshumował szczątki Zosi i przeniósł je do grobu rodziny żony, Gąsowskich, na Bródnie.

Mikołaj Wasik z bliżej nieznanych powodów postanowił wraz z żoną szukać szczęścia na ziemiach odzyskanych. Trafili do Dąbrówna w powiecie ostródzkim. Latem 1945 roku, nieliczni jeszcze polscy osadnicy Dąbrówna, obrali go swoim wójtem. Początkowo ów wybór nie miał charakteru formalnoprawnego, ale po pewnym czasie władze starostwa ostródzkiego go usankcjonowały. 24 lutego 1946 roku Wasik został po raz pierwszy przesłuchany w Ostródzie przez bezpiekę „na okoliczność skarg i donosów". W 1946 roku wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego Stanisława Mikołajczyka i znalazł się pod baczną obserwacją bezpieki, co wielokrotnie musiał odczuwać. Starostwo Powiatowe w Ostródzie nie miało jednak żadnych uwag do pracy wójta przybyłego z Warszawy, znalazły się adnotacje, że obowiązki wójta wykonywał rzetelnie.

„Mikołaj Wasik nie tylko nie przestraszył się gróźb i nękania ze strony władz – pisze dr Wojciech Brojer – [...] około połowy lipca 1946 roku, ostentacyjnie lekceważąc zasady ideologiczne i historyczną politykę komunistów, zbudował w reprezentacyjnym punkcie miasteczka, przed fasadą istniejącego jeszcze wówczas zamku Finckensteinów, pomnik »Powstania Sierpniowego« 1944 roku. Co więcej, pomnik ten posiadał charakter wybitnie religijny. Miał kształt kapliczki wzorowanej na pięknych warmińskich kapliczkach maryjnych. Taka budowla nie miała prawa wówczas powstać legalnie, a budowniczy musiał liczyć się z przykrymi konsekwencjami oraz ze zniszczeniem lub nakazem natychmiastowego rozebrania obiektu.

[...] kapliczka powstała w ciągu kilku godzin, »pod osłoną nocy«, bez światła, by praca muratorów nie zwróciła uwagi gminnych donosicieli. [...] Mikołaj Wasik budował ten pomnik osobiście z grupą zaufanych pomocników. Jest to też jego dzieło w najszerszym tego słowa znaczeniu, począwszy od koncepcji powstańczego pomnika, przez wybór miejsca posadowienia, odszukanie wzoru estetycznego (zapewne kapliczka w Gołogórze, gm. Świątki, pow. Olsztyn), tekst napisu na tablicy pamiątkowej, po osobistą muratorkę właśnie. To dzieło daje wysokie świadectwo o talentach artystycznych i programowych twórcy.

[...] W zachowanej dokumentacji służb powiatowych i wojewódzkich nie znajdujemy jakiegokolwiek śladu na temat reakcji władz na pojawienie się w Dąbrównie pomnika Powstania Warszawskiego. Nic nie wiemy o ewentualnych próbach czy nakazach rozbiórki nielegalnego obiektu. W materiałach dotyczących Wasika, w licznych jego przesłuchaniach i świadectwach inwigilacji, ciągnących się aż po 1959 rok, motyw kapliczki w ogóle się nie pojawia. A przecież władze nie mogły mieć wątpliwości co do autorstwa tego obiektu. Z materiałów dotyczących gminy wynika, że Mikołaj Wasik był jedynym jej mieszkańcem z powstańczą przeszłością. Zresztą nie krył swojej przeszłości. W Dąbrównie, za Bramą Polską, na rozstajach dróg do Działdowa i Lewałdu – zapewne w tym samym czasie, ale już całkowicie jawnie – postawił drugi pomnik, symboliczne epitafium poświęcone poległej w Powstaniu córce, murowany cokolik z żelaznym krzyżem i napisem: »Na pamiątkę kochanej córce Zosi Wasik«. Dziś w tym miejscu stoi metalowy krzyż z 1979 roku, jednak bez żadnych odniesień do Zosi.

eprasa.pl d6f3169021

Mikołaj Wasik stawiał swoje pomniki nie dla demonstracji politycznej czy na złość nękającym go służbom komunistycznym, ale z głębokiej potrzeby upamiętnienia poległych w Warszawie córki i licznych towarzyszy walki. Na marmurowej tablicy w korpusie pomnika napisał: »W drugą rocznicę Powstania Sierpniowego 1944 roku w Warszawie ku uczczeniu pamięci poległych. Dąbrówno 1946«.

Te motywy czci i pamięci były dla niego ważniejsze niż własne bezpieczeństwo. W tamtym czasie można było spodziewać się wszystkiego. Trwała już walka polityczna przed wyborami wyznaczonymi na styczeń 1947 roku. Ginęli ludzie. Pomnik został odsłonięty 1 sierpnia 1946 roku. Oznacza to, że jest najstarszym z zachowanych upamiętnieniem Powstania Warszawskiego w Polsce. Słynny słupski pomnik ufundowany przez ks. Zieję odsłonięty został półtora miesiąca później, 15 września 1946. Kapliczka Wasika okazała się jednak czymś więcej niż upamiętnienie Powstania. Stała się trwałym aktem założycielskim polskości Dąbrówna, kamieniem węgielnym nowego, polskiego etapu historii Mazur. Czy Mikołaj Wasik miał świadomość dziejowego wymiaru swojej kapliczki? Tego nie można wykluczyć. Zbudował ją tuż przy niemieckim kamieniu upamiętniającym zwycięstwo w plebiscycie 1920 roku. Polski wójt Dąbrówna tego obcego pomnika nie usunął. Jego pomnik przez dziesiątki lat górował nad niemieckim, nim ten nie zniknął w tajemniczych okolicznościach. Dziś na jego miejscu wznosi się maszt do podnoszenia narodowej flagi".

▶ Polityczne potyczki powstańca warszawskiego

8 listopada 1947 roku Mikołaj Wasik decyzją starosty ostródzkiego został zawieszony w czynnościach wójta. Powodem miało być nieodprowadzenie należnego państwu podatku. Po wyjaśnieniu sprawy, 4 sierpnia 1948 roku, powrócił na stanowisko wójta. Wkrótce, bo po miesiącu, ostródzka bezpieka znalazła nowy powód nękania wójta – „nadużycia służbowe". Mikołaj Wasik został aresztowany za to, że zbyt późno zostało zżęte i wymłócone zboże w jednym z majątków gminnych. Sprawę wkrótce umorzono, ale Wasika już nie przywrócono na funkcję wójta.

Od połowy 1950 roku powstaniec warszawski stał się figurantem rozpracowania operacyjnego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Ostródzie o kryptonimie „Podrzegacze" (sic!) grupy byłych członków PSL-u na terenie gminy Dąbrówno. W rozpracowaniu brała udział liczna agentura tajnych współpracowników UB.

Na fali „gomułkowskiej odwilży" 1956 roku grupa zwolenników Wasika, byłych działaczy PSL, zorganizowała w lutym 1957 roku nadzwyczajne wybory do Gromadzkiej Rady Narodowej. Po ośmiu latach rządów został odsunięty od władzy pezetpeerowiec Henryk Bodych. W maju 1957 roku na stanowisko Przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej radni wybrali Mikołaja Wasika. (Tu należy się wyjaśnienie, otóż do 1950 roku urzędnik pełniący funkcje wykonawcze w gminie nazywał się wójtem; w 1954 roku utworzono na wzór sowiecki gromady, które były najniższymi ogniwami administracji państwowej, władzę wykonawczą sprawował w gromadzie przewodniczący gromadzkiej rady narodowej).

Był to wielki sukces Mikołaja Wasika, mieszkańców Dąbrówna i okolicznych wiosek. Ludzie na krótko uwierzyli, że może w Polsce coś się zmienić na lepsze. Służba Bezpieczeństwa nie mogła jednak pozwolić sobie na sprawowanie rządów przez „elementy wrogie państwu ludowemu". Komuniści nie dali się drugi raz zaskoczyć. W 1958 roku odbyły się w Polsce wybory do rad narodowych (gromadzkich, miejskich, powiatowych, wojewódzkich). Tym razem wybory do Gromadzkiej Rady Narodowej w Dąbrównie przeprowadzone zostały według komunistycznego scenariusza, podobnie zresztą jak w całej Polsce. Komunista Bodych wrócił na stanowisko, a Mikołaj Wasik i jego sprzymierzeńcy przegrali wyborczą batalię, bo taka była logika komunistycznego systemu: władza nie jest dla ludzi uczciwych, rzetelnych, lecz dla posłusznej swołoczy.

Po 15 latach życia w Dąbrównie, życia intensywnego, Mikołaj Wasik wraz z żoną postanowili wrócić do Warszawy. Były wójt pozostawił po sobie dobre wspomnienia, trwałym zaś śladem jego obecności pozostanie pomnik Powstania Warszawskiego. Pomnik w kształcie kapliczki łączy w sobie elementy religijne i patriotyczne, które od zarania polskich dziejów zawsze ze sobą się splatały. Mikołaj Wasik pracował w Warszawie jako szatniarz w kawiarni przy Alejach Ujazdowskich. Ukochanej córce Zosi, powstańczej łączniczce, ufundował epitafium, które znajduje się w krużgankach kościoła franciszkanów reformatorów przy ulicy Senatorskiej obok innych pamiątkowych tablic.

Mikołaj Wasik zmarł w 1977 roku. Został pochowany na cmentarzu na Bródnie obok córki Zosi i żony. ■

***

Dziękuję Panu dr. Wojciechowi Brojerowi za użyczenie i możliwość wykorzystania jego niepublikowanego tekstu o Mikołaju Wasiku. Trzeba przy okazji dodać, że dr Wojciech Brojer i jego żona, prof. Ewa Brojer, zainicjowali obchody Powstania Warszawskiego w Dąbrównie. Dali nowe życie pomnikowi. Na początku jedynie w niewielkim, kilkuosobowym gronie przychodzili w godzinę „W" 1 sierpnia, by zapalić znicze i złożyć kwiaty przed pomnikiem – kapliczką. Od czterech lat organizatorem uroczystości jest Urząd Gminy w Dąbrównie. Z każdym rokiem coraz więcej mieszkańców, dzieci, młodzieży, kombatantów bierze udział w obchodach – w tym roku będą one szczególnie uroczyste. Będziemy upamiętniać 75. rocznicę Powstania Warszawskiego i wspominać Mikołaja Wasika.

eprasa.pl d6f3169021

Jakie było główne zadanie 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego? Miała przede wszystkim oddziaływać na wroga w sposób psychologiczny, paraliżować go strachem i przerażać wizją swego potężnego niszczycielskiego żywiołu, sprawiając wrażenie „jakiejś hordy barbarzyńców – z głębi Azji, z głębi historii idącej przeciw Europie”.

Agnieszka Kowalczyk

SZŁA ZA NIĄ ŚMIERĆ I POŻOGA. O KONARMII BUDIONNEGO

epiasa.pl d6f3169021

fot. NAC

Armia Konna Siemiona Budionnego po raz pierwszy starła się z wojskiem polskim w ostatnich dniach maja 1920 roku. W zwycięskiej dla nas bitwie pod Wołodarką Sowietów rozgromił 1. Pułk Ułanów Krechowieckich, rzucając przeciwko zmasowanej kawalerii rosyjskiej, ciągnącej się szerokim kilometrowym pasem konnicy, trzy swoje nieulękłe pododdziały. Pierwszy dosięgnął nieprzyjaciela szwadron dowodzony przez rotmistrza Racięskiego i jako środkowy w ataku przełamał nacierające szeregi wroga. Przed tym to nieustraszonym Wołodyjowskim naszych Krechowiaków wyrósł nagle, jak spod ziemi, „jakiś ogromny, fantazyjnie ubrany oficer i ruszył nań z krzykiem, najwyraźniej absolutnie pewien swojej przewagi", nie sądząc, że za moment zostanie „dosłownie wyrzucony w powietrze cięciem Racięskiego. Wśród kozaków rozległo się pełne przerażenia i respektu: Kuźma Kruczkow ubit! Rzucili się do ucieczki. Na ich karkach Polacy wpadli do wsi Hajworon, gdzie natknęli się na przeważające liczebnie oddziały kozackie. Padł ranny rotmistrz Racięski, padło jeszcze 30 ułanów, kozacy przeszli do kontrnatarcia" – rekonstruuje przebieg walk współczesny znawca wojny polsko-rosyjskiej prof. Bohdan Urbankowski. Na szczęście z pomocą polskim ułanom ruszył szwadron podpułkownika Chmielewskiego, który dokonując brawurowej szarży, rozgromił nieprzyjaciela i przepędził w okolice Rogoźnej, dzięki czemu polski front nie został przerwany.

Dosłownie kilka tygodni wcześniej, 10 kwietnia 1920 roku, naczelny dowódca armii rosyjskiej Siergiej Kamieniew zatwierdził plan „czerwonego marszu na Zachód", który wiódłby przez odradzające się państwo polskie z myślą o jego opanowaniu i poddaniu bezwzględnej sowietyzacji. Zaraz po zakończeniu się rosyjskiej wojny domowej i ostatecznym rozgromieniu „białej armii" Denikina, wydana przez Lenina tajna dyrektywa (27 lutego 1920) nakazywała kumulowanie wielkich sił wojska (około 250 tys.), które przerzucone z Uralu i Syberii, uderzyć miałoby na Polskę, a po jej pokonaniu ruszyć na kolejne państwa Europy, przeobrażając je w republiki sowieckie. Dowództwo nad wojskami bolszewickimi na Froncie Zachodnim objął Michaił Tuchaczewski, natomiast na Froncie Południowo-Zachodnim – Aleksander Jegorow wespół z komisarzem politycznym Józefem Stalinem. Im to właśnie podlegała owa budząca powszechny strach 1. Armia Konna Budionnego, za którą szły śmierć i pożoga.

20 minut morderczego amoku

Została ona utworzona w listopadzie 1919 roku do walki ze zdążającymi na Moskwę siłami antykomunistycznej armii „białych", do których klęski walnie się przyczyniła, rozbijając białogwardyjską kawalerię mię-

eprasa.pl d6f3169021

dzy Woroneżem, Liskami i Kastornoje. W momencie gdy znalazła się na froncie polskim, liczyła blisko 20 tys. żołnierzy; w skład jej wyposażenia wchodziło 50 armat i 350 kulomiotów, 4 pociągi pancerne, 3 eskorty lotnicze, 84 pojazdy opancerzone, a ponadto 30 radiostacji polowych. Znakiem rozpoznawczym Konarmii były tak zwane taczanki – dwukonne bryczki z zainstalowanymi cekaemami Maxima.

W istocie rzeczywistą siłę Budionnego, jak ujawnia ówczesny polski generał Tadeusz Machalski, stanowiło zaledwie kilka doborowych oddziałów odpowiadających dwóm dywizjom kawalerii, natomiast pozostała część Konarmii był to „tzw. lud konny, dosiadający koników wprost od pługa, na poduszkach zamiast siodeł, i ta masa jeźdźców, wzniecając na nieboskłonie olbrzymie tumany kurzu, przesłaniające wszystko dokoła, robiła wrażenie wielkiej ruchliwej, niesamowitej siły, wlewającej się w każdą wolną szczelinę, co u przeciwnika wywoływało uczucie bezsiły".

Sam zaś Budionny był jeszcze nie tak dawno wachmistrzem w armii carskiej, ale rewolucja wyniosła go na szczyty wojskowej hierarchii. W oczach francuskiego generała Maxime Weyganda, świadka i uczestnika zmagań polsko-bolszewickich, uchodził za „nowe wcielenie dowódcy dawnych hord tatarskich". Wszędzie, gdzie się pojawiał, siał śmierć i trwogę – palił szpitale, dobijał rannych, ogniem i mieczem mścił się na ludności cywilnej. Ten kozacki watażka rodem z chutoru Koziuryn koło Rostowa uchodził za komunistę, który „w wojsku zdobył mir energią" i który „chętnie zastępował słowa gestami", rzadko jeździł konno, za to dbał o to, by w jego sztabie żyło się dostatnio i by nie brakowało na stole dobrych trunków. Nad osobistym bezpieczeństwem Budionnego dniem i nocą czuwała straż złożona z 500 jeźdźców doborowych, choć on sam kontrolowany był przez dwóch komisarzy komunistycznych, a w ślad za nim postępował specjalny trybunał rewolucyjny, którego zadaniem było aresztowanie wszystkich domniemanych wrogów nowej władzy.

W tym samym czasie, kiedy toczyła się bitwa pod Wołodarką, na innym z kolei odcinku frontu ci sami potomkowie kozaków zaporoskich wiedli ku zagładzie dwa zaskoczone podczas marszu bataliony 50. Pułku Strzelców Kresowych złożone głównie z młodego, niezaprawionego jeszcze w boju żołnierza. Pierwszy z batalionów stracił dwóch oficerów i 150 szeregowców, a drugi zmieciony z powierzchni ziemi – 700 ludzi zarąbanych żywcem przez kozaków. Zaledwie kilka dni potem wycięli w pień 12. kompanię trzeciego batalionu strzelców. O tragedii polskich żołnierzy, która przeszła do historii jako rzeź w Bystryku, zachowała się relacja jednego z oficerów Karola Marcinkowskiego, z której dowiadujemy się, że około 30 ludzi Budionnego, wyskoczywszy niespodziewanie z leśnego ostępu z wyciągniętymi szablami, rzuciło się w stronę rowów strzeleckich, mordując w ułamku sekundy piechura-obserwatora, a zaraz po nim rozłupując na dwoje głowę chcącego się poddać podoficera. Kolejna scena dramatu rozegrała się przed chatą, w której stłoczeni byli polscy rekruci: „Część Kozaków zsiada z koni i stanąwszy przy drzwiach woła: »Polaczki wychodyt« [...]. Nieszczęśni wychodzili jeden za drugim, a Kozacy spostrzegłszy, iż mieli na sobie niemal nowe mundury, kazali im rozbierać się do bielizny. I gdy to uczynili, zaczęli ich pojedynczo masakrować, kolejno jeden po drugim. Zabijali ich wśród bicia nahajkami, wśród przekleństwa i dzikiego wycia oraz wprost z bydlęcej radości. [...] Owe męczenie i zabijanie trwało co najmniej jakieś 20 minut. Z całego plutonu nie pozostał ani jeden żywy".

Świadectwo Babla, czyli tajny „Dziennik 1920"

Do 1. Armii Konnej Budionnego zaciągnął się w maju 1920 roku dwudziestokilkuletni Kirił Wasylewicz Lutow. Podawał, że jest kandydatem obojga praw Uniwersytetu Petersburskiego i korespondentem wojennym Jug-Rosty, południowej filii sowieckiej agencji telegraficznej. Nic nie wskazywało na to, że blefował, miał nieskazitelny rosyjski akcent, dobrze jeździł konno, odbył służbę na rumuńskim froncie w artylerii. Dostał więc przydział do 6. Kawdywizji dowodzonej przez Siemiona Timoszenkę i został korespondentem przyfrontowego pisma „Krasnyj Kawalerist". Ochotnikiem tym był Izaak Babel, uzdolniony literacko Żyd z Odessy, idealista, który marzył o wielkiej rewolucyjnej odnowie świata, o nowej, sprawiedliwej Rosji. Ukończył Kijowski Instytut Finansowy, chociaż tak naprawdę od zawsze fascynowała go literatura (w 1916 roku zadebiutował opowiadaniem „Elia Isaakowicz"). Jemu tu dane było skonfrontować swe wyobrażenie o szczytnych ideałach komunistycznej Rosji ze złem i okrucieństwem współtwórców sowieckiej machiny terroru, która najpełniej objawiła mechanizmy swego działania podczas wojny polsko-bolszewickiej. Wszystkie swoje przeżycia z pól bitewnych, długich marszów i noclegów, z pobytu w zrujnowanych miasteczkach wschodniej Galicji opisywał Babel na bieżąco w osobistym wojennym notatniku, któremu nadał tytuł „Dziennik 1920".

Demoniczne oblicze wojny prowadzonej przez Sowietów i ich zbrodnicze metody postępowania utrwalił ponadto w zbiorze opowiadań „Konarmia" poświęconych wojnie polsko-bolszewickiej. Ukazanie się w 1926 roku tej odważnej książki było sensacyjnym wydarzeniem w Związku Radzieckim. Nowele Babla łączył nie tylko temat, lecz także dwa typy bohatera. Z jednej strony został w nich sportretowany inteligent – prawnik Lutow (*porte parole* pisarza), który chce przyłączyć się do rewolucji jako siły wdrażającej w życie ideały równości,

eprasa.pl d6f3169021

wolności i braterstwa, a z drugiej – brutalny, prymitywny, żądny mordu i grabieży kozak – niszczycielskie narzędzie polityki Sowietów. Ów bohater-inteligent zadaje sobie pytanie, czy wolno zabijać, gwałcić, niszczyć w imię najwyższego celu, jakim jest rewolucja i czy wolno uprawiać moralność rewolucyjną, posługując się haniebnymi środkami oraz zaprzedając własną tożsamość i ludzką godność.

Choć „Konarmia" zdobyła sobie uznanie wśród czytelników, to jednak spotkała się z ostrymi atakami tych, którzy uważali, że jej autor to „mistrz ze zgniłą duszą inteligenta", a największą chyba wściekłość wzbudziła w Siemionie Budionnym, który miał nazwać Babla „degeneratem od literatury". Mimo iż sam Maksym Gorki bronił go w swych recenzjach, twierdząc, że w jego utworach nie ma „nic z karykatury i paszkwilu" i że sportretował kozaków tak jak Gogol Zaporożców, Bablowi nie udało się uniknąć losu niepokornych pisarzy Rosji Radzieckiej. Oskarżony o działalność trockistowską, szpiegostwo na rzecz Francji i Austrii oraz członkostwo w organizacji terrorystycznej został aresztowany 16 maja 1939 roku i uwięziony na Łubiance. Wtedy też jego „Konarmię" poddano miażdżącej krytyce, uznając za „dzieło dywersji i zdrady, paszkwil na rewolucję i jej siły zbrojne". Po 266 dniach brutalnego śledztwa skazano go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 27 stycznia 1940 roku.

▶ „Idziemy jak wicher... znienawidzeni przez wszystkich"

Dla Babla wojna była czymś strasznym i nieludzkim. Nigdy w Rosji Radzieckiej, dokonującej propagandowej apologii swych podbojów i kreującej swą armię na potężną i niezwyciężoną, nie mógłby otwarcie wypowiedzieć słów, które zapisał w „Dzienniku 1920": „Dlaczego nie opuszcza mnie ten ciężki smutek? Dlatego, że daleko od domu, dlatego, że obracamy wszystko w ruinę, idziemy jak wicher, jak lawa, znienawidzeni przez wszystkich, życie się rozpada, jestem na wielkiej, niekończącej się stypie". Z jego relacji wspomnieniowych wyrasta obraz kozactwa jako nieujarzmionej dziczy kierującej się pierwotnymi instynktami, groźnej i rozbestwionej. Przypisuje jej „pazerność, zawadiactwo, fachowość, rewolucyjny zapał, zwierzęce okrucieństwo", chamstwo i chciwość, rozpasanie i lubieżne instynkty. Opisuje, jak cała ta nienasycona tłuszcza pożera wszystko, co wpadnie w jej ręce, jak pod nóż idzie gospodarski inwentarz, jak grabi bez opamiętania, a przy podziale łupów bluzga naokoło przekleństwami.

Na stronicach Bablowskiego dziennika raz po raz pojawiają się lapidarne, choć sugestywnie skreślone portrety charakterologiczne żołnierzy i dowódców Konarmii. Jest wśród nich tępy i okropny Griszczuk, który pędzi na swym koniu „z mroczną, milkliwą energią", jest Pryszczepa, młody komunista, analfabeta, któremu białogwardziści zabili rodziców – „malowniczy, w baszłyku, prosty jak źdźbło, [...] gardzi Griszczukiem, bo Griszczuk nie lubi i nie rozumie koni". Jest też „żarłoczny i godny politowania" Winokurow – „wysoki młodzieniec o miękkim głosie, przywiędłej duszy i bystrym umyśle", którym gardzi i pomiata dowódca Iwanow, rzucając w stronę podkomendnego najgorsze przekleństwa. Wśród kozackich miniatur portretowych znajdziemy postać nienawidzącego inteligentów i żądnego sławy Apanasenki, o tępej, budzącej strach twarzy, silnego, krępego, przypominającego lotnika Utoczkina. Dla Babla to typowy przedstawiciel nowej rosyjskiej klasy – „organizator wojska, zawsze przeciw oficerom, 4 krzyże św. Jerzego, [...] długie miesiące w stepach astrachańskich, bezwzględny autorytet, zawodowy żołnierz". Patrząc na nich, Babel wyzna: „Trzeba zgłębić duszę tych żołnierzy, zgłębiam, wszystko to straszne, bestie z zasadami". W „Dzienniku 1920" czytamy, że w szeregach Konarmii były nawet kobiety – twardsze od mężczyzn, dzikie i drapieżne, pozbawione jakiejkolwiek moralności, lubieżne i wyuzdane: „Szwadrony szarżują, kurz, tętent, szable w dłoń, bluzgają przekleństwa, a one z zadartymi spódnicami mkną na samym przedzie, zakurzone, cycate [...], obsługują tym, czym mogą, bohaterki – a jednocześnie pogardzane, poją konie, znoszą siano, reperują uprząż, kradną po kościołach i po domach".

▶ „Jakąż to wolność przynosimy..."

Niejedną stronę swojego dziennika poświęci pisarz wojennym ofiarom 1. Armii Konnej – jeńcom polskim oraz ludności cywilnej galicyjskich miasteczek i wsi, do których raz po raz wkraczali nieznający litości żołnierze Budionnego. Pod datą 12 lipca 1920 roku odnotuje: „Wieczór, złapali Polaka w życie, polują jak na zwierzynę", a po pięciu dniach, we wsi Liski, zapisze: „Jak strasznie żal! Zabili młodą matkę. Bój wzdłuż linii kolejowej na Liski. Rzeź jeńców". W Chotyniu dochodzą go jęki polskiego żołnierza, którego kozacy postrzelili bez żadnego powodu, dziesięć dni potem pod Jabłonówką ujrzy dwa bielejące w życie ciała usieczonych Polaków o twarzach pociętych szablą, a w samej osadzie będzie świadkiem drastycznych scen przesłuchiwania jeńców (18 sierpnia): „Ludzie w samej bieliźnie. Są wśród nich Żydzi, jasnowłosi Polaczkowie, wyczerpani, inteligentny chłopak, tępa nienawiść przesłuchujących, zakrwawiona bielizna rannego, nie dają im pić, chłopak o pulchnej twarzy wtyka mi dokumenty. Szczęśliwi, myślę sobie – udało wam się ujść z życiem". Nic jednak nie dorówna aktom bestialstwa, jakich dopuścili się kozacy w czasie bojów pod Zadwórzem, kiedy to polska obrona próbowała powstrzymać rosyjski atak na Lwów:

eprasa.pl d6f3169021

„Przed nami – straszne zdarzenia [...] – relacjonuje Babel – Pobojowisko. Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców, Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął – dlaczego nie; odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali pałaszami, dostrzeliwali, trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot, to nasz szwadron szedł do natarcia, Apanasenko z boczku, szwadron przyodział się jak należy, pod Matusewiczem zabito konia, więc biegnie ze straszną, brudną twarzą, szuka sobie wierzchowca. Piekło. Jakąż to wolność przynosimy, okropieństwo. Przeszukują folwark. Wyciągają z ukrycia, Apanasenko – nie trać ładunków, zarżnij go. Apanasenko zawsze tak mówi – siostrę zarżnąć, Polaków, zarżnąć".

Przed Bablem otwiera się przestrzeń naznaczona przez żywioł wojny, której wyznacznikiem staje się obraz ruin i pogorzelisk. Porażające wrażenie czyni na nim widok zdewastowanych synagog w Dubnie, zrozpaczonych Żydów i Żydówek tkwiących wśród rozbitych kamieni bożnic, widok, który zdawał się zwiastować jakąś nieuniknioną zagładę tego świata, jaką niosły nowe zastępy barbarzyńców nadciągających ze wschodu. W Chotyniu jego oczom, obok splądrowanego dworu i rozoranych alei, ukazała się zniszczona fabryka, a raczej olbrzymi szkielet jej czerwonego, ceglanego gmachu, w Radziwiłłowie natomiast – ogołocone z owoców drzewa, obszarpani, przygnębieni Żydzi, wywrócone krzyże przydrożne, splądrowane kościoły, umęczona ziemia. Ubolewał nad tym, jak w Beresteczku dewastowano dwustuletni kościół, jak rwano na strzępy drogocenne lśniące szaty liturgiczne, jak rozbijano chrzcielnicę i figurę św. Walentego, jak kradziono gromnice i jak po ziemi walały się bulle, a w tłumokach wynoszono wszystko, co tylko się dało. W pamięci utkwiła mu postać zrozpaczonego kościelnego, który „dygocze jak ptak, skręca się cały, plącze rosyjskie słowa z polskimi", szlocha, bo nie wolno mu niczego dotknąć. Ponadto przeżył straszną noc w „zakatowanych Brodach", które przechodziły z rąk do rąk, w mieście obróconym w perzynę, ponurym i martwym. Symbolem zdruzgotanego życia były tu nie tylko półrozwalone synagogi, lecz także zdewastowany budynek Banku Praskiego, w którym roztrzaskano wszystko, co tylko możliwe – bankowe kontuary, klozety, kryształowe szyby. Kozacy nie oszczędzili nawet uli, co wpisywało się w ich „straszny, barbarzyński obyczaj" niszczenia wszystkiego, co zawiera jakikolwiek pierwiastek piękna i użyteczności, bo złotodajna pszczoła to przecież symbol owocnego trudu, tworzenia, budowania i życia wspólnotowego. „Zniszczony, zapaskudzony sad, tu kwaterował sztab Budionnego, roztrzaskany, spalony ul [...], zostały mi w pamięci połamane ramki, tysiące pszczół, buczących i tłukących się o rozbity ul, ich wzburzone roje" – odnotował w swym dzienniku Babel.

Te wojenne pejzaże, upiorne i dojmujące, wywołują w nim jakiś wewnętrzny sprzeciw, powodują, że ogarnia go przygnębienie i rozpacz, że czuje na sobie cały ciężar bezsilności wobec tak haniebnego dzieła zniszczenia: „Nieznośny smutek, ludzie, ludzkie dusze, wszystko zdławione".

Od Samhorodka do Komarowa

5 czerwca 1920 roku Budionnemu udało się przełamać polski front w okolicach Samhorodka, gdzie przyszło się nam zmierzyć z trzydziestokrotnie większymi, miażdżącymi siłami wroga. W niespełna tydzień po owych „polskich Termopilach" kolejny morderczy bój rozegrał się pod Brodzianką (11 czerwca), kiedy to nieświadomi okrążenia Polacy, po krwawych nocnych zmaganiach z wrogiem, sforsowali rzekę Zdwiż i otworzyli sobie drogę marszu wzdłuż linii kolejowej Kijów–Korosteń–Sarny. Kilka dni później pułki naszej piechoty rozgromiły dywizje Konarmii pod Horbulewem i Torczynem. Budionny, zdając sobie sprawę z potencjału militarnego i zdolności operacyjnych polskiego wojska, unikał otwartej walki i, jak podkreśla Bohdan Urbankowski, skupił się na prowadzeniu działań właściwych strategii wojny psychologicznej, której celem jest wywołanie paniki w szeregach wroga. Żołnierze Konarmii mieli przyzwolenie swego wodza na czyny najokrutniejsze – „na wyłupywanie Polakom oczu, obdzieranie ich żywcem ze skóry, ćwiartowanie szablami, a nawet na zakopywanie jeńców żywcem. Na dziesiątki i setki liczono »ruszające się groby« – żołnierze bolszewiccy zakopywali swe ofiary tak płytko, że na powierzchnię ziemi wystawały konwulsyjnie drgające ręce". Nic jednak nie mogło się równać z masakrą dokonaną przez nich w Berdyczowie, gdzie spalono szpital z 600 rannymi i personelem medycznym.

Budionny natomiast niepowstrzymanie parł na zachód, kierując się w stronę Lwowa. Na dalekich przedpolach miasta, w okolicach wsi Zadwórze, Konarmia napotkała opór ochotniczych oddziałów obrońców miasta. W boju z bolszewikami (17 sierpnia) chwałą okrył się w szczególności dowodzony przez porucznika Bolesława Zajączkowskiego batalion „Dzieci Lwowa", który w ciągu jedenastu godzin odparł aż sześć ataków kawalerii sowieckiej. Przebieg tej ciężkiej bitwy, która zamieniła się w prawdziwy pogrom Polaków, spróbowała zrekonstruować w oparciu o wspomnienia ocalonych pisarka Zofia Kossak-Szczucka, autorka opowiadania „Pod Zadwórzem". W tej wspierającej się na histo-

eprasa.pl d6f3169021

rycznych faktach literackiej wizji jednej z najbardziej dramatycznych bitew wojny polsko-bolszewickiej, momentem kulminacyjnym staje się ten, w którym obrońcy miasta zdadzą sobie sprawę, że kończą się naboje, a w związku z tym zagłada ich oddziału staje się nieuchronna. Każdy z nich patrzy więc śmierci w twarz. Niektórzy, nie chcąc dostać się w ręce kozackiej czerni, decydują się na krok ostateczny – kapitan Zajączkowski „podnosi rewolwer do skroni, strzela, i wali się martwy, obok por. Marynowski wyrywa Jurkowi Wańkowskiemu karabin, opiera kolbę o ziemię, nachyla się, ciągnie za cyngiel. Pada z okropnie rozwaloną twarzą. Żołnierze patrzą na niego ze zgrozą. Więc już...". Większość jednak walczy nadal niezłomnie. „Nie poddawać się! – krzyczy sierżant Dyrkacz. – Żeby nas potem prali w niewoli po pyskach?! Nie poddawać się! – wtórują inni". Raz po raz mordercza kula przeszywa któregoś z naszych. Padają jeden po drugim. W końcu na placu boju zostaje pięćdziesięciu dwóch całkowicie bezbronnych, którzy skupili się w jednym miejscu, „ścisnęli plecami, nastawili groźnie bagnety" i trwali tak niewzruszenie, czekając aż rzucą się na nich kozacy. I stało się: „Topnieje garstka stojących. Pokryło ją zewsząd mrowie. Leszek Grodzki leży pod ścianą budki kolejowej przy niemym dawno karabinie maszynowym. Nikt nie zwraca na niego uwagi, mają go za trupa. Za chwilę będzie trupem istotnie. Z przestrzelonej piersi krew przesiąka bluzę, ciurka wzdłuż rękawa, spływa po palcach [...] Szum wypełniający głowę wzmaga się, przemienia w huk, oczy przesłania mgła. Przez tę mgłę Leszek dostrzega, jak nad zrąbany stos trupów powstaje wysoki, barczysty Jasiek Bałyga. Z rozciętej głowy krew tryska, zalewa czoło i policzki. Z tą czerwoną twarzą, straszny jak upiór, krzyczy wprost w oczy dopadających go zewsząd kozakom, krzyczy śmiertelnie zachrypniętym głosem:

– Niech żyje Polska! Niech żyje Lwów!

I pada na ziemię pod ciosami dziesięciu szabel. Nie ma już nikogo żywego. I Leszek także dogorywa...".

Polska ofiara pod Zadwórzem miała jednak swój głęboki sens – pozwoliła ocalić Lwów przed zagładą. Czas działał bowiem na niekorzyść Budionnego. W ostatecznym zajęciu miasta przeszkodziły mu dopędzające go polskie oddziały piechoty, które po kilku dniach zmagań, zadały klęskę Konarmii, zmuszając ją do odwrotu spod Lwowa. Atakowi Budionnego oparł się też Zamość, który, jak pisze Urbankowski, stał się nowym Zbarażem jak za czasów powstania Chmielnickiego – „rolę rycerstwa Jaremy wziął na siebie 31. Pułk Strzelców Kaniowskich kapitana Mikołaja Bołtucia. Zamknięty w twierdzy, nie tylko przez trzy dni (29–31 sierpnia) odpierał ataki spieszonych mas kozactwa, ale dał się wrogom we znaki licznymi »wycieczkami« przeprowadzonymi z iście Sienkiewiczowską fantazją".

Ostatecznie Konarmia rozgromiona została przez Polaków pod Komarowem, 31 sierpnia 1920 roku, w „największej bitwie kawaleryjskiej XX wieku i ostatniej tego rodzaju bitwie w dziejach". Jeden z najwspanialszych i najbardziej efektownych jej momentów to rozstrzygająca o losach walki brawurowa szarża polskich ułanów z 8. pułku, którzy runęli na wroga wraz z rotmistrzem Kornelem Krzeczunowiczem na czele. Porwali za sobą całe rzesze współtowarzyszy broni, którzy na wołanie dowódcy: „Rozwinięty – galopem – marsz – hurra!", wyciągnęli pistolety i szable, prąc do ataku, zwróceni twarzą ku purpurze zachodzącego słońca. Krzeczunowicz musiał wówczas, jak sam mówi, „z sekundową dokładnością wycelować uderzenie pułku w sześciokrotnie przeważającą masę, aby to uderzenie było skuteczne". Rosjanie nie wytrzymali natarcia i ogarnięci paniką rzucili się do ucieczki. Potęga Konarmii została złamana, Polacy tryumfowali. Pobity pod Komarowem Budionny musiał cofnąć się za Bug, zmuszony uciekać w głąb Wołynia. Z jego 20-tysięcznej armii zostały tylko szczątki – od 3 do 5 tysięcy „zdemoralizowanych klęskami maruderów". Za swoją niesubordynację i niewykonanie rozkazu natychmiastowego wymarszu na Warszawę powinien był niechybnie stanąć przed plutonem egzekucyjnym i zostać rozstrzelanym. Tak się jednak nie stało, bo ówczesna Rosja potrzebowała ludzi wielkich, nowych bohaterów, a na takiego wykreowała Budionnego komunistyczna propaganda.

Po zakończeniu wojny Tuchaczewski złożył raport potępiający samowolę komisarza wojskowego Józefa Stalina i jego podwładnego Siemiona Budionnego, którzy nie przyszli mu z pomocą, gdy bił się pod Warszawą. Ci zaś nigdy mu tego nie zapomnieli. W przyszłości Tuchaczewski został fikcyjnie oskarżony o zdradę i skazany na śmierć przez rozstrzelanie (11 czerwca 1937 roku). Budionny dożył 90 lat i umarł śmiercią naturalną (26 października 1973 roku) jako trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego, deputowany i członek Prezydium Rady Najwyższej ZSRS. Historia jednak osądziła czyny dowódcy Konarmii, tak jak osądził je w swym dzienniku Izaak Babel – ofiara stalinowskiego terroru, człowiek, którego głos wydobył się z ciemnej otchłani dziejów Sowieckiej Rosji. ■

Źródła: I. Babel, „Dziennik 1920", przełożył i wstępem opatrzył J. Pomianowski, Warszawa 1990; B. Urbankowski, „Józef Piłsudski. Marzyciel i strateg", t. 1, Warszawa 1997.

eprasa.pl d6f3169021

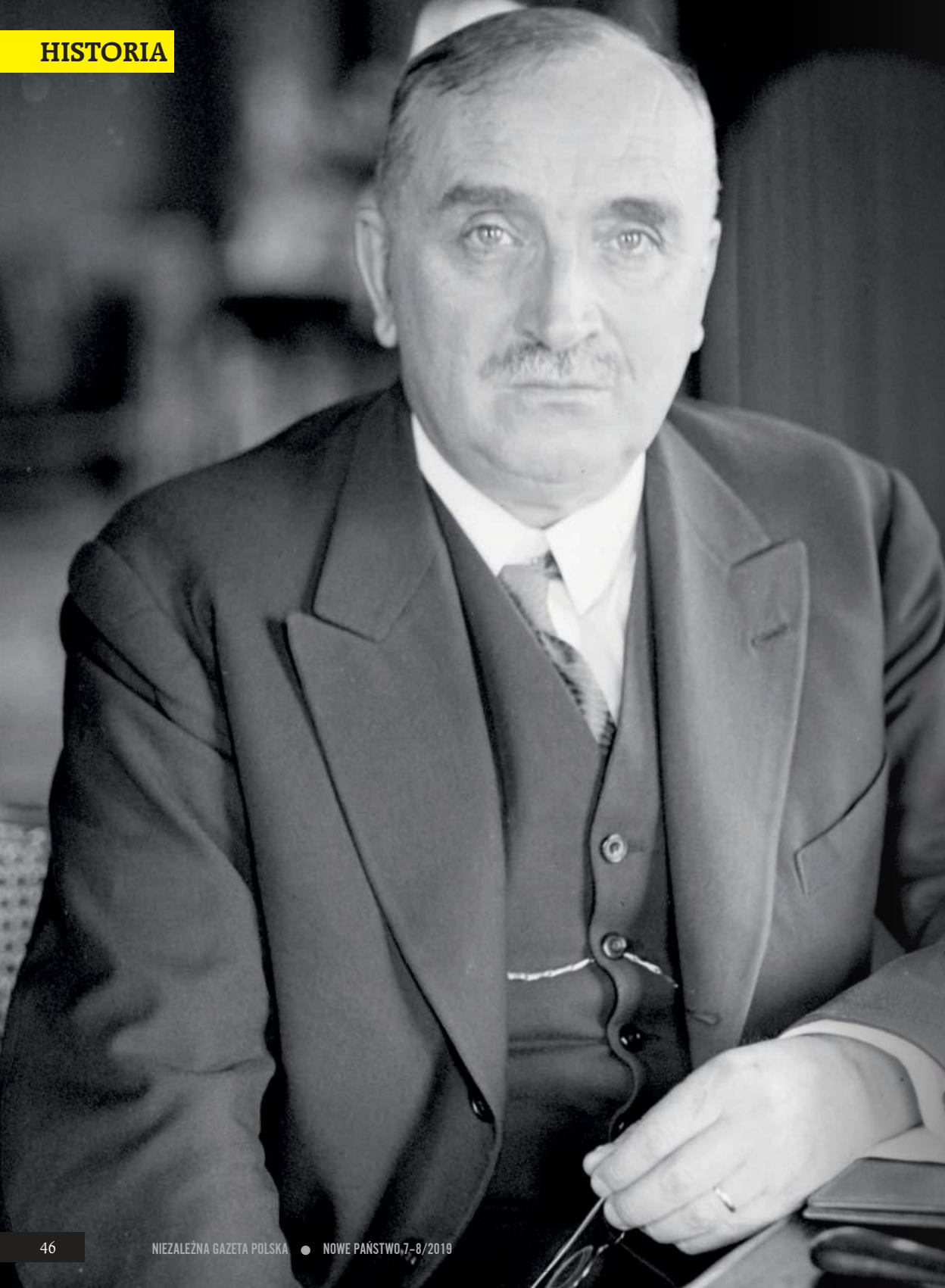

Ewa Polak-Pałkiewicz

Polonofil, co postępowcom w pas się nie kłaniał

„Od czasu rozbiorów Polski Europa jest w stanie grzechu śmiertelnego" – zapisał w swoim „Dzienniku" Paul Claudel (1868–1955) pod datą 15 listopada 1908 roku. Pisarz uważał, że dopóki ten grzech nie zostanie odpokutowany, kontynent nie zazna spokoju. Wydaje się, że ten twórca lepiej rozumiał duchowy dramat współczesnych losów Europy niż niejeden Polak.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl d6f3169021

Pius XII uznawał Claudela za największego pisarza chrześcijańskiej Francji. Po młodości pełnej buntu ten niezwykle płodny pisarz, autor dramatów granych na najlepszych scenach Europy, doznał nawrócenia – w dzień Bożego Narodzenia, w katedrze Notre Dame w Paryżu. Był wielkim przyjacielem Polski. Inspiracją jego najznakomitszych dzieł była miłość do córki oficera powstania styczniowego Władysława Ścibor-Rylskiego, Rosalie Vetch (poznał ją na statku płynącym do Chin). Claudel był ambasadorem Francji w Japonii, Stanach Zjednoczonych, Brazylii, konsulem w Chinach, Niemczech, Czechach; 44 lata spędził w podróży.

Polsce poświęca wiele uwagi m.in. w swoim „Dzienniku". Gdy był ambasadorem w Brazylii, pod datą 19 sierpnia 1918 roku zapisał z dumą: „Uzyskuję od rządu brazylijskiego uznanie niepodległości Polski". Nie zapomniał odnotować, że w Normandii spotkał się z kard. Hlondem, słuchał w Białym Domu koncertu Paderewskiego, wyprawił się z polskim posłem w Japonii, Stanisławem Patkiem, na Fudżijamę. W czasie okupacji niemieckiej w Paryżu, gdy był nękany przez gestapo, zawiesił w swoim gabinecie obrazek Matki Bożej Częstochowskiej.

„Piekło zajmuje się wyłącznie sprawdzaniem formuły Islamu" – zapisał w 1923 roku. Co to za formuła? Mówi ona: „Nie ma innego Boga niż Bóg radykalnie oddzielony od całej reszty. Islam ogłosił Boga nieprzekraczalnym. Piekło jest weryfikacją Niebytu (po trosze jak Sztuka)". Tak ten katolik nieznoszący mętnej nowoczesnej filozofii rozumiał całkowitą obcość religii islamskiej. Gruntownie poznał Niemcy. Jego intuicje i świadomość głębokiego powinowactwa między islamem a hitleryzmem znalazły odzwierciedlenie na kartach „Dziennika". „Doświadczenie przeprowadzane w nieskończoność nad tym wszystkim, co Bogiem nie jest" – kontynuował myśl o islamie. „Może cechować je beznadziejne piękno. W ten sposób dałoby się pogodzić dogmat o udręce Piekła ze Sprawiedliwością, która domaga się nagrody za cnoty przyrodzone. Dusza na wieczność zapatrzona w stworzenie, którego niewystarczalność wieczyście wyjaśnia Bogu".

Islam, czyli podbój

W 1925 roku Claudel był ambasadorem Japonii. Pod datą 12 listopada zapisał: „Widziałem się z L. Massignonem. Przypomina mi, co kiedyś napisałem mu o arabskich sufi [sufi – od arabskiego słowa suf, szorstka wełna, którą okrywali się muzułmańscy asceci – przyp. aut.]. Nie miłość, ale żądza, rodzaj żądzy bez miłosierdzia, żądza »ontologiczna«". W 1935 roku wszystko było już dla Claudela jasne. Islam był w ekspansji. Pod datą 25 maja zanotował: „Przemówienie Hitlera. Stwarza w centrum Europy rodzaj islamizmu, wspólnotę, która poczytuje sobie podbój za rodzaj obowiązku religijnego" (w przemówieniu wygłoszonym 21 maja 1935 roku Hitler wypowiedział klauzule Traktatu Wersalskiego dotyczące zbrojeń). 29 marca 1936 roku Claudel zanotował: „Hitler uzyskał jednogłośny aplauz Niemiec ogarniętych maligną radości. To islam". W 1947 roku, na marginesie dzieła Louisa Massignona „Troi Prières d`Abraham", Claudel notuje: „Mahomet: Otrzymałem rozkaz, by walczyć z ludźmi dopóki nie wyznają, że nie ma boskości prócz Boga. [...] Islam... jest jak afirmacja Jedności niepojętej, a zarazem nieprzekraczalnego rozdziału między Bogiem a człowiekiem. Negacja możliwości wszelkiego przymierza". Tak pisze katolik, który przyjmował naukę Kościoła o tym, że istnieją fałszywe religie. I postanowił zrozumieć, czym jest jedna z nich. Niemcy Hitlera uważał za jedyny europejski kraj, którego pogańskie pierwiastki, jakie w nim przetrwały z powodu nieukończonej chrystianizacji, spowodowały, że gwałtownie, wręcz z entuzjazmem przyjmowano tu ideologię zaszczepioną przez tchnienie islamu. Przerażały go wpływy hitleryzmu, mentalne i duchowe, w jego ojczyźnie podczas okupacji, zwłaszcza gdy wpływom tym ulegali biskupi Kościoła i wojskowi, którzy otwarcie kolaborowali z Niemcami, dając sobie narzucić prymitywny antysemityzm.

„Ażeby widzieć mamy oczy. Ażeby słyszeć – uszy. Ażeby poznawać Boga, który jest Bytem, mamy naszą egzystencję" – pisał w 1929 roku. „Otóż to stanowi cechę charakterystyczną naszego sposobu egzystowania, że jesteśmy stworzeni. Owo poznanie nie jest u nas odpowiedzią zastygłą w formę numeryczną, geometryczną, nieruchomą jak u minerałów i nie jest rozwojem krótkiej frazy melodycznej jak w królestwie roślin lub zwierząt... To jako skutek istota pierwotna poznaje swoją przyczynę. To jako synowie poznajemy naszego ojca... Jest w nas duch, który powiada: Abba! – to znaczy Ojcze! »Bezbożni opowiadali mi przeróżne historie, ale nic takiego, co byłoby jak twoje prawo!«". To prawo jest unikalne w świecie religii. Nie pozwala zabijać. Nie pozwala nienawidzić. Nie pozwala zniekształcać prawdy. Pozwala i nakazuje jej bronić. Nakazuje miłować. A to oznacza także – nie być naiwnym i nie być słabym. Być odważnym.

Poeta vs ideolog

„W historii nic nie zaczyna się na nowo i wszystko ma ciągłość" – powtarzał często Claudel. Ten artysta o absolutnym wręcz słuchu, jeśli chodzi o rozumienie duchowej treści wydarzeń historii, pojmował inaczej niż wielu współczesnych Europejczyków, artystów i myślicieli istotę dziejów Polski, państwa walczącego z wrogami w imię chrześcijańskich zasad i nieporzucającego ich dla politycznych czy ekonomicznych korzyści. Rozumiał dogłębnie losy Polski także przez świadomość pewnego, aż nazbyt do-

eprasa.pl d6f3169021

tkliwego kontrastu między jej bohaterską postawą a tym, co przeżywała Francja podczas ostatniej wojny: hańbą zdrady władz politycznych i wojskowych (również niemałej część hierarchii Kościoła). Wśród kolaborantów z hitlerowskimi Niemcami świecił przykładem Charles Maurras, ideolog nacjonalizmu integralnego. Claudel przez ponad 30 lat zmagał się z żywiołem o nazwie Action Française, na której czele stał Maurras. Action Française broniła – jak twierdziła – Francji (i Kościoła), czyniła to pod hasłami antysemickimi i nacjonalistycznymi. Claudel udowadniał w swoich publikacjach i wystąpieniach, że tego typu „obrona" jest teatrem. Nacjonalizm integralny głosił suwerenność nie narodu, lecz władzy politycznej, która reprezentuje naród. Naród zostaje zepchnięty do roli niewolników, niezależnie od tego, ile się wygłasza na jego temat wzniosłych słów. Władza świecka – dla Maurrasa i jego zwolenników władza królewska – staje się rodzajem świętości. Ucieleśnia się w niej pokusa bałwochwalstwa. Odrzucone zostają wszelkie instytucje obywatelskie, wszelkie naturalne struktury samorządowe, które miałyby prawo taką władzę kontrolować, a choćby zadawać pytania i oczekiwać odpowiedzi, podpowiadać lepsze rozwiązania, usprawniać styl rządzenia, pośredniczyć między obywatelami a rządzącymi. Władza w tej wizji znajduje się ponad wszystkim. Ale wtedy, wbrew napuszonym deklaracjom, nie istnieje naród, który mógłby powiedzieć o sobie, że jest narodem chrześcijańskim; nie istnieje wspólnota. Istnieje godny pogardy tłum.

Claudel zauważył, że w toku swojej działalności literackiej Maurras, prowadząc systematyczną kampanię ideologiczną, zdołał sfanatyzować znaczącą część klas wykształconych we Francji. „Maurras nie taił nigdy, że jego nadzieje na sukces opierają się nie na aprobacie woli narodowej, lecz bądź na przewrocie wewnętrznym, bądź na klęsce, która przyszłaby z zewnątrz... Nadzieje te o mało nie urzeczywistniły się w roku 1940 i straszna to rzecz stwierdzić, że sukces teorii Maurrasa o mało nie zbiegł się z upadkiem naszej ojczyzny...". W czasie wojny Maurras współpracował aktywnie z niemieckimi władzami okupacyjnymi; donosił też na Claudela do gestapo. Po wojnie został aresztowany i skazany na dożywocie. Usunięto go z Akademii Francuskiej.

Ideolodzy podobnej orientacji wiedzą o czymś, co być może uchodzi uwadze większości ludzi dobrej woli, przyłączających się – z najlepszymi intencjami – do tego rodzaju formacji: że zabić katolicki naród można tylko w jeden sposób – rozbudzając w nim nienawiść. Jakikolwiek rodzaj nienawiści. Zarażając go tym uczuciem na przykład do przeciwników politycznych, innowierców, innych narodów, cudzoziemców. Claudel widział tę skrywaną głęboko gotowość do nienawiści – czasem wybuchającą niepowstrzymanym strumieniem najcięższych oskarżeń wobec osób sfery publicznej – u ludzi z grupy Maurrasa. Nienawiść w masce uciśnionej niewinności. Nienawiść pod pozorem szukania jakiegoś nieistniejącego ideału, „czystości", w imię wyspekulowanego, odwiecznego (rzekomo) „porządku". To złudne dążenie musi rodzić nieufność i podejrzliwość wobec każdego. Depcze chrześcijańską miłość i miłosierdzie. Nie pozwala wybaczyć krzywd, prawdziwych czy domniemanych, każdego podejrzanego piętnuje jako „obcego". Wiara przekształca się w ideologię, gdy doczepi się do niej element „poprawiania świata", reformowania go, „oczyszczania". (Na przykład „likwidowania" elementów niepotrzebnych, zbędnych w tym królestwie ludzkiej pychy, przybytku silnej władzy i doskonale zorganizowanego społeczeństwa).

Gdy chce się „tymi rękami", bez łaski Boga, wybudować królestwo niebieskie, czyli raj na ziemi, popełnia się grzech przeciwko pierwszemu przykazaniu, popada się w bałwochwalstwo. Na tym polega obłęd ideologii, jakiej hołdował Maurras (u nas jego odbiciem byli w swoim czasie zwolennicy tradycjonalizmu narodowego, m.in. Jędrzej Giertych, choć w wersji nieco złagodzonej polską kulturą). Taką ideologię próbuje się zaaplikować Polakom jeszcze dziś, poprawioną kosmetycznie i uperfumowaną. „U każdej poszczególnej jednostki niedoskonałość jest doskonałością. Poszukiwanie doskonałości samej w sobie ma coś szatańskiego. Bądźcie doskonali, mówi Ewangelia, ale jak? »Jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski«" (wpis w „Dzienniku" Claudela z czasów wojny).

Nacjonaliści spod znaku Action Française opowiadali się za ścisłym społecznym porządkiem – wyspekulowanym, nienaturalnym, a zarazem w sposób przemyślny zarekomendowanym wyznawcom. Celem tego specyficznego uporządkowania nie była pomoc komukolwiek w doskonaleniu wewnętrznym, w dojściu do Boga. Celem była potęga świecka, silne państwo prężące muskuły. Silne, nowoczesne, ale... martwe. Bronić Kościoła, katolickości państwa – cokolwiek zwolennicy AF pod tym pojęciem rozumieli – także zamierzali „siłą" i bezwzględnością wobec każdego, kto by stanowił przeszkodę, choćby urojoną. Ci znajdujący się niżej w hierarchii tego ruchu, często szczerzy w swym zaangażowaniu, jakby nie pojmowali, że wszelka nienawiść wobec człowieka, kierowanie się lękiem i uprzedzeniami, wymierzone są przede wszystkim w Boga.

Dlatego „nienawidzić kogoś istniejącego to chcieć, żeby nie istniał, jeśli to możliwe" – mówił Claudel. A to znieważanie Boga. Plucie Bogu w twarz. „Sartre powiada: Piekło – to inni. A ja powiadam: Nasz Raj to nasi bliźni, oni bowiem trzymają dla nas klucze do Raju". Paul Claudel ukazywał ideologię Charlesa Maurrasa jako wykwit myśli antykatolickiej i antyfrancuskiej. Ostrzegał przed konsekwencjami, jak mówił, „rzekomej rewolucji narodowej", zainaugurowanej przez Vichy, której Maurras dostarczał podstaw

eprasa.pl d6f3169021

ideologicznych „i tego, co można by nazwać jej mistyką". Po II wojnie nie chciał objąć fotela w Akademii Francuskiej, o co go proszono, dokąd jej członkiem pozostawał Maurras. Za to wszystko szarpany był przez swego ideowego przeciwnika jeszcze kilka lat po wojnie. Maurras przed swoim uwięzieniem zdążył wytoczyć mu sprawę sądową. Po śmierci Maurrasa w 1952 roku kontynuował ją jego bratanek. Jeden z zarzutów tej rojalistycznej rodziny brzmiał: Claudel miał się kiedyś źle wyrazić o Ludwiku XIV.

Paul Claudel dostrzegał istotne powinowactwo ideowe między filozofami (jak ich nazywano) typu Jean-Paul Sartre i Charles Maurras. Podstawą tego powinowactwa jest ich pogarda dla dzieła Boga, dla stworzenia.

Zerwanie z apostatą

W grudniu 1950 roku Paul Claudel odnotowywał w „Dzienniku" gwałtowny zwrot w relacjach z księdzem Jeanem Massin, znanym duszpasterzem inteligencji paryskiej, z którym od wojny łączyła go serdeczna przyjaźń. Historia godna przypomnienia dziś, gdy szerzy się swoista moda na apostazję. Duchowni kuszeni są do wyparcia się wiary apanażami, popularnością, sławą. Każde odezwanie się, a już zwłaszcza osobiste zwierzenie kandydata na apostatę przyjmowane jest jako coś świeżego, oryginalnego i głębokiego. Ludzie, którzy porzucili wiarę, a szczególnie stan kapłański – samego kapłaństwa porzucić się nie da, jest ono niezatartym znamieniem na duszy człowieka – wystawiają się na sprzedaż i stają się bohaterami dnia. Żurnaliści polują na nich jak myśliwi na okazy szczególnie dorodnej fauny. Rzadko jednak słyszy się zdecydowane komentarze do tego typu żałosnych karier. Króluje pełna hipokryzji „delikatność". Bo dziś ważny jest „człowiek i jego godność".

Paul Claudel nie miał takich problemów. Właśnie zakończyła się wojna. Paryż ogarnięty był entuzjazmem odzyskanej wolności. 14 lipca 1946 roku Claudel zanotował w „Dzienniku": „Przepiękny list od księdza Jeana Massin, który chce, żeby go nazywać teraz Janem od Serca Jezusa Ukrzyżowanego. Cierpiał ohydnie, lekarze postawili diagnozę, że jest dotknięty gruźlicą kręgosłupa [...]. Pisze, że nigdy nie uzna słowa rezygnacja. Radość i tylko radość. U jego łoża wszelkie rodzaje nawróceń. Piszę do niego".

22 lipca 1947 roku: „Od trzynastego Jean Massin może już wstawać i odprawiać mszę, cały opancerzony ogromną skorupą gipsową. Nazywam go Lwem Judy". Pół roku później pisarz przeprowadza z ks. Massin ważną dla siebie rozmowę o swoim dziele „Punkt przecięcia". 14 czerwca 1951 roku zanotował: „Grom z jasnego nieba! List od ojca de Menasce donosi mi, że ksiądz Massin jakoby opuścił Kościół na czele mniej więcej pięćdziesięciu młodych ludzi, swoich uczniów. Jezus Chrystus ma już być tylko »Boskim prorokiem«. Piszę do niego natarczywy list".

29 czerwca 1951 roku: „[Jean Massin] powiada mi, że już od lipca 1950 roku (niedługo przed ogłoszeniem dogmatu o Wniebowzięciu) nie wierzy w Kościół rzymski. A 24, w dzień św. Jana, kardynał Feltin nakazał mu zaprzestać wszelkiej działalności eklezjastycznej. Powiada mi, że wszystkie Kościoły zdradziły Chrystusa. Odpowiadam mu z miejsca, że z księdzem apostatą zrywam wszelkie stosunki i wszelki kontakt". 15 września Paul Claudel odnotował, że od przeoryszy Institution de la Tour otrzymał „wyznanie nowej wiary", nazwane szumnie „manifestem Jeana Massina [...], w którym ów nieszczęśnik zrywa z Kościołem Rzymskim".

Zawsze ta sama ponura historia

W listopadzie 1951 roku Massin ogłosił we francuskiej prasie swój manifest i stał się z miejsca bohaterem jednodniówek, ulubieńcem ilustrowanych tygodników. Lewicowy Paryż był zachwycony, fetował go i świętował jego „odzyskanie". 2 stycznia 1952 roku Claudel zapisał: „Ksiądz Massin... Oglądamy go za stołem, we flanelowej kamizelce, nad butelką wina, towarzyszą mu zazous i cizie. Ma się ożenić z jedną z nich. Maska zezwierzęcona. »Trzeba mi religii dla dorosłych, a nie dla dzieci«. Kardynał Feltin ogłasza heretykami członków Wspólnoty Nadziei Chrześcijańskiej [tak się nazwala jego grupa – przyp. EPP]. Komunikat kardynała Feltin... ogłasza heretykiem, schizmatykiem i ekskomunikuje ipso facto każdą osobę, która należy do Wspólnoty Nadziei Chrześcijańskiej. [...] owa wspólnota „po dociekliwych studiach nad Biblią uznała za swój obowiązek wypowiedzieć posłuszeństwo Kościołowi Rzymskiemu, który jej zdaniem »skaził Objawienie«. Piszę do »Le Monde`u«, żeby odżegnać się od księdza Massin.

[...] »Panna Brigitte Toulemonde i pan Jean Massin z radością zawiadamiają o swoich zaręczynach«. W tym samym numerze »Le Monde`u« Jean Massin odpowiada mi. Zapomina powiedzieć, w jak ohydny sposób mnie zawiódł, nie budząc we mnie żadnych podejrzeń co do zmiany swoich przekonań, nawet kiedy z pełnym doń zaufaniem posyłałem mu młodych ludzi sądząc, że zdołałby im pomóc" (Paul Claudel ma na myśli młodych chłopców stawiających pierwsze kroki w pisarstwie, na których fatalny, deprawujący wpływ wywierała osobowość André Gide`a*, zdeklarowanego homoseksualisty, ówczesnego bożyszcza francuskiej młodzieży).

W tym samym dniu Claudel zauważył w „Dzienniku": „Żaden Anglik się nie dziwi, że ta poczciwa kobiecinka, Elżbieta, jest – tak zwaną – głową (head) Commonwealthu i »obrońcą wiary« (!?) z tytułu

eprasa.pl d6f3169021

nadanego niegdyś przez Papieża temu Neronowi, herezjarsze, Henrykowi VIII". 1 kwietnia tego samego roku Claudel poświęcił wpis w „Dzienniku" polskiej królowej Jadwidze. Nazywał ją świętą (pół wieku przed kanonizacją). Pokazał, jak wyrzeczenie się miłości do mężczyzny zaowocowało chrztem Litwy. 29 czerwca: „Rocznica apostazji nieszczęsnego Massina. Obecnie żonaty. Był kaleką, zwichnęła go możliwość miłości kobiety". 9 lutego 1954 roku 86-letni pisarz odnotowuje: „Jean Massin stał się agnostykiem, jego grupa się rozproszyła, on zaś trudni się tłumaczeniami, by zarobić na chleb... Diabeł nie musiał wysilać wyobraźni. Zawsze ta sama ponura historia".

Nie do zatarcia

Paul Claudel zareagował także z typową dla siebie bezkompromisowością na fakt ukazania się w wydawnictwie Gallimarda (z którego właścicielem łączyła go przyjaźń, przez lata wydawał tu swoje utwory) książek J. P. Sartre`a i Luisa-Férdinanda Céline`a zawierających bluźnierstwa. Claudel natychmiast wysłał do Gastona Gallimarda list: „Mój drogi Gastonie, Przeczytałem właśnie w »Les Nouvelles Littéraires« artykuł Roberta Kempa.... Znakomitego tego człowieka, który oświadcza przecież, iż świętoszkiem nie jest, zemdliło z przyczyny dwóch książek, jednej Céline`a, drugiej – Sartre`a. Ta ostatnia nosi tytuł »Saint Genet, comédien et martyr«, autor zaś przedstawiając nam to indywiduum do admiracji, aplikuje mu ze smakiem, który oceniasz zapewne, teksty św. Teresy i św. Jana od Krzyża. Oba te dziełka ukazały się ponoć u Ciebie. Chciałbym wierzyć, że przyniosą Ci pieniądze. Na nieszczęście nie długo będziesz radował się nimi i, czy to jest przyjemne czy nie, rychło nadejdzie moment, w którym będziesz musiał zdać z nich rachunek. Póki co, nie wiem, czy ucieszysz się na myśl, że kiedy te książki wpadną w ręce Twoim wnukom i prawnukom, zobaczą oni na okładce wielkimi literami wydrukowane nazwisko swego dziadka. Nie do zatarcia. Przesyłam Ci zasmucony ukłon".

W tym samym czasie sędziwy Claudel toczył ostre ideowe potyczki wokół przyznanej jego dwóm rodakom literackiej nagrody Nobla, wówczas jeszcze tak nie ośmieszonej jak dziś, uznawanej za wielki honor. Ukazywał drugie dno tych laurów. Choć nazwisko Claudel miało wielki blask, zawistnicy niezmiennie przypisywali mu niskie motywacje, szydzili z jego „zazdrości". 6 i 7 listopada 1952 roku to dni, w których Francja została zelektryzowana faktem przyznania nagrody Nobla pisarzowi Francoisowi Mauriacowi**. Dostojny laureat już następnego dnia, jak nie omieszkał zjadliwie zauważyć Claudel, „puszcza się na pochwały Gide`a – pisarza". Claudel został proszony przez prestiżową gazetę o artykuł o twórczości Mauriaka; odmówił, mówiąc, że nie może „zapomnieć wyboru, jakim Akademia szwedzka wyróżniła tamtą paskudną osobistość". [A. Gide otrzymał Nagrodę Nobla w 1947 roku] „Francois Mauriac oświadcza, że jest nad wyraz dumny, ponieważ otrzymał tę samą nagrodę co André Gide".

Claudel miał dane, jako najsłynniejszy wówczas pisarz francuski, by otrzymać Nagrodę Nobla; dla kręgów postępowych nie do strawienia był jego katolicyzm. Pisał do Mauriaka, prosząc, by nie czynił sobie żadnych wyrzutów w związku z utrąceniem jego kandydatury: „Jestem, by tak rzec, skreślony z fundacji. Powody są Ci znane". 5 listopada 1953 Claudel zanotował: „Pozycja ateistów jest mniej więcej taka sama jak owego więźnia, o którym opowiada Alphonse Allais: umarł z głodu i desperacji, ponieważ nie przyszło mu do głowy, żeby pociągnąć ku sobie drzwi celi, zamiast je pchać".

Paul Claudel – człowiek pełen prostoty, choć o potężnym umyśle. Zawodowy dyplomata, a niezdolny do posługiwania się sztuką uników i kłamstewek, umizgów wobec silniejszych i wyżej postawionych, czy też do rozsądnych kompromisów, gdy chodziło o prawdę. Narażał się politykom, biskupom i lewicującym prorokom postępu w Kościele, ryzykował, że przestanie się podobać prasie. Niemcy odmówiły rządowi Francji przyjęcia Claudela jako ambasadora, ponieważ nazwał kiedyś Goethego „wielkim uroczystym osłem". We własnej ojczyźnie rzucano na niego kalumnie, był zniesławiany, upokarzany i przemilczany wtedy, gdy wydawał swe największe dzieła. Zyskał sobie jednak miłość i szacunek tysięcy rodaków, nawrócił setki ludzi z protestantyzmu. Wśród nawróconych był Henri Bergson, z pochodzenia polski Żyd. ■

Cytaty za: Paul Claudel: „Dziennik 1904–1955", wybór, przekład i słowo wstępne Juliana Rogozińskiego, Warszawa 1977.

---

*André Gide – autor m.in. „Immoralisty", „Lochów Watykanu", prekursor ruchu homoseksualistów we Francji, sympatyzujący otwarcie przez pewien czas z komunizmem sowieckim. Komentarz Claudela nt. przyznania mu nagrody szwedzkiej Akademii: „André Gide otrzymuje literacką nagrodę Nobla. Oto hołd oddany moralności przez protestantyzm (po dyplomie doktora honoris causa uniwersytetu w Oxfordzie). 4 800 000 franków. (...) O szóstej herbata u pani Carasso. Szwedzki attaché kulturalny, wykrygowany i wesolutki, podchodzi do mnie i pyta, czy cieszę się z przyznania nagrody Nobla [Gide`owi]. Krew mnie zalewa i mówię mu, co myślę" („Dziennik", 1947 r.). I w innym miejscu „Dziennika": „Opaska na ohydnej książce, w której André Gide opowiada o swoich wyczynach pederasty: Nagroda Nobla, 1947".

**Francois Mauriac – pisarz bliski protestantyzmowi, po II wojnie światowej skłaniający się ku marksizmowi kulturowemu w ówczesnym, jeszcze soft wydaniu.

eprasa.pl d6f3169021

W domu Grażyny Kresowatej, która od lat przyjaźniła się z Marianną Bocian, zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się głos poetki, która zapytała, co u Kresowatej dziś na obiad. Kiedy dowiedziała się, że Grażyna i jej mąż Zbigniew – nawiasem mówiąc, też poeta – jedzą lubiane przez nią łazanki, stwierdziła krótko: „O, k...wa, to przyjeżdżam".

Magdalena Złotnicka

Marianna, czyli kamieniem w ZOMO

fot. Zbigniew Kresowaty/Wikipedia

eprasa.pl/6f3169021

Wspomnienie o łazankach znalazłam w tekście Barbary Soli („Poetka, która uwielbiała łazanki, kradła z klombów i paliła jak smok", „Gazeta Wrocławska" nr 72, 2010). Rozproszone po gazetach artykuły, wiersze, które dziś kojarzą naprawdę nieliczni (ale kto dziś w ogóle kojarzy poezję wychodzącą poza kanony lektur szkolnych?!), a przede wszystkim legenda i opowieść o ekscentryczce, wojowniczce i zarazie, która odcisnęła szczególne piętno na krajobrazie poetyckim Wrocławia – tyle zostało po poetce Mariannie Bocian. Sporo i zarazem niewiele.

Choć przez znaczną większość życia związana była z Wrocławiem, na świat przyszła we wsi Bełcząc, dziś znajdującej się w województwie lubelskim, w powiecie radzyńskim, w gminie Czemierniki. Do 1998 roku wieś należała do województwa białopodlaskiego. W biogramach Bocian często pojawiają się wzmianki, że przyszła na świat w „niezamożnej rodzinie na Podlasiu", 24 kwietnia 1942 roku, a więc – w czasie II wojny światowej. Podlasie było wówczas pod okupacją niemiecką, przypomnijmy bowiem, że w czerwcu 1941 roku III Rzesza zaatakowała Związek Sowiecki i zaanektowała te tereny. Na zajętych obszarach zapanował terror połączony z masową eksterminacją Żydów oraz brutalnym eksploatowaniem gospodarczym terenów. Latem 1944 roku wspomniane rejony zostały odbite Niemcom przez oddziały wojsk sowieckich. Jak wyglądało dzieciństwo dzieci urodzonych w czasie wojny? – biednie, głodno i w wiecznym strachu. Jednak koniec działań wojennych wcale nie oznaczał poprawy ich losu. Krzysztof Masłoń zaznaczał („Marianny Bocian ziemia zrozumienia", „Rzeczpospolita" (dodatek) nr 153, 2010), że rodzina poetki była prześladowana już w latach 40., co przyspieszyło śmierć ojca Marianny. Być może właśnie doświadczenia tamtego czasu, końca wojny, powojennej rzeczywistości i cementującego się stalinizmu – w roku śmierci Józefa Stalina Marianna Bocian miała 11 lat – zadecydowały o jej późniejszej postawie życiowej. Stefan Rusin przytacza jej wspomnienie dotyczące tych lat: „Ja nie musiałam czytać o okrucieństwie nieludzkiego okresu stalinowskiego, ja go doznawałam w społeczności wiejskiej, z rodziną, którą zaliczono do kułaków, owych »wrogów ludu«, w części wyzbytej praw. Jakich trzeba było cech charakteru, sił fizycznych i duchowych, aby społeczność Podlasia, po dotkliwych spustoszeniach wojny, przezwyciężyła ten stan, ocalając elementarną przyzwoitość i człowieczeństwo?!" („Marianna Bocian w kręgu ludzkich słabości", „Gazeta Kulturalna" nr 2 (198), 2013).

Mimo to – a może właśnie dlatego – kraj dzieciństwa był silnie odczuwalny w poezji Bocian. Cytowana już Sola zaznacza, że „we wspaniałych wczesnych utworach przyroda wnika do samego środka wierszy", i zaznacza, że doświadczenia najmłodszych lat pozwalają Bocian na „czucie i nazywanie" świata, ważne są postaci matki i ojca. Sola przypomina też wiersz „Podlasie! Podlasie!" z ostatniego okresu twórczości poetki. Bocian pisze: „Dziesiątkowane Podlasie niezłożone w rytmiczny sonet / Za dużo tu było rabunków i spalonych domostw / By tragedie zrymować choćby w rytm rozpaczy".

▶ Światła Wrocławia

Jakie perspektywy na rozwój mogła mieć młoda, niezamożna dziewczyna w jakiejś wioseczce na końcu świata? Marianna ukończyła technikum młynarstwa w Krajence, jednak nie było jej dane rozwijać kariery technika i technologa młynarstwa, choć może byłby to zawód bardziej przyszłościowy. Zdecydowała się studiować filologię polską oraz filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim. Naukę rozpoczęła w 1962 roku, udało jej się skończyć oba kierunki – polonistykę w roku 1964, filozofię – w 1967.

Z czasów jej studiów na polonistyce pochodzi opowieść o zapisach na seminaria. Przytacza ją we wspomnieniu o poetce Małgorzata Matuszewska („Nic prócz książek", „Gazeta Wyborcza" nr 91, 2003). Sytuacja wyglądała tak, że do różnych profesorów zapisywali się chętnie studenci, natomiast do niejakiego Mieczysława Inglota (niedawno zmarłego profesora i uznanego historyka literatury), wówczas docenta, który miał prowadzić swoje pierwsze w życiu seminarium magisterskie, nie chciał zapisać się nikt. Jeden z profesorów zwrócił wówczas uwagę studentom, że do Inglota też można się zapisać. Cisza jak makiem zasiał... I w tej niezręcznej ciszy młoda studentka Bocian łupie pięścią w stół i komunikuje, że ona się zapisze. Jak wspomina Matuszewska, Inglot był tak wzruszony, że podziękował przyszłej poetce.

Po studiach Bocian pracowała jako bibliotekarka oraz redaktor techniczny w oddziale wrocławskim Państwowego Wydawnictwa Naukowego (od 1967 roku). Jej debiut poetycki, tomik „Poszukiwanie przyczyny", ukazał się w 1968 roku, tym samym, który do historii Polski przeszedł jako rok studenckiego zrywu.. Chociaż tzw. wydarzenia marcowe rozpoczęły się w Warszawie, gorączka protestów szybko ogarnęła cały kraj. W biografii innego związanego z Wrocławiem poety, Lothara Herbsta, zatytułowanej „Nie tracić nadziei", Rafał Bubnicki pisze: „We Wrocławiu studencki protest miał burzliwy przebieg i objął większość środowiska akademickiego. [...] Kulminacją wrocławskiego Marca był czterdziestoośmiogo-

eprasa.pl d6f3169021

dzinny strajk okupacyjny na pięciu uczelniach wrocławskich".

Co robili wrocławscy studenci, akademicy i intelektualiści? Przeciwko zdjęciu z afisza „Dziadów" wystosowano list protestacyjny, pod którym podpisało się ponad 1200 osób. Rozpowszechniano ulotki i plakaty, wreszcie ulicami miasta przeszła ponadtysiącosobowa manifestacja. Jak czytamy na stronie „Encyklopedii Solidarności", Marianna Bocian uczestniczyła wówczas w licznych demonstracjach ulicznych. Nie były to zresztą jedyne demonstracje w jej życiu. Ale po kolei.

▶ Dlaczego nie warto pisać pod męskim pseudonimem

W cytowanym już artykule Matuszewskiej krytyk literacki Marek Garbala wspomina, że „Poszukiwanie przyczyny" ukazało się pod pseudonimem „Janusz Bełczęcki", wziętym od nazwy rodzinnej wsi poetki. Garbala zresztą ostro ją za to objechał, wyjaśniając, że przez męski pseudonim straciła połowę wartości książki. Tłumaczył, że tomik należało czytać w kontekście innych pisanych w owym okresie wierszy, których autorkami były kobiety, i że na tym tle twórczość Bocian była „naprawdę ostra".

Warto zarazem zaznaczyć, że wiersze Marianny Bocian nie są najłatwiejsze w odbiorze, krytycy wielokrotnie nazywali jej poezję intelektualną. Jednocześnie jednak było w niej dążenie do znalezienia istotnego sensu. Stefan Bednarek zauważa („Bliskie i konieczne", „Słowo Polskie" nr 86, 2003), że począwszy od tomu „Poszukiwanie przyczyny", aż do ostatniego zbioru jej wierszy „Bliskie i konieczne", Bocian „kroczy po drodze poszukiwania Prawdy, odkrywając, ale i ustawiając znaki, które – właściwie odczytane – uchronić mogą od zbłądzenia i popadnięcia w Ciemności. Niewielu było wędrowców, którzy tak pojmowali sens swej życiowej pielgrzymki". Bednarek dodaje, że w ten sposób misję poetki postrzegał jej przyjaciel Jan Drzeżdżon. Ów pisał we wstępie do jednego z wyborów wierszy Bocian: „Ciężar życia powoduje, że niektóre serca szlachetnieją, inne przepadają w Ciemności. Ale są takie, które zostawiają ślad na ziemi. Nieliczni dostępują przeistoczenia i zależy to pewnie od wyroków boskich, jak mówi Marianna Bocian".

Poezja była nadrzędnym i dominującym celem życia Marianny Bocian. Krzysztof Kucharski podkreśla wręcz („Poetessa nie milczy", „Gazeta Wrocławska" nr 60, 2010), że był to po prostu jej program na życie. Zaznacza zarazem, iż nie oznaczało to bynajmniej, że należy myśleć o niej jako o jakiejś zafiksowanej tylko na tym tle, nawiedzonej dziwaczce. Wręcz przeciwnie. Bocian kochała dyskusje, spory, nasiadówy i „nocne Polaków rozmowy". A do tego przecież trzeba bywać wśród ludzi. Dlatego też – jak pisze Kucharski – „niewysoką, szczupłą damę w za dużych okularach, czarnym kapeluszu i z nieodłączną długą lufką z dopalającym się papierosem paradoksalnie nazwanym przez producenta »sport«, można było spotkać najczęściej w dawnym Klubie Związków Twórczych, studenckim »Pałacyku« czy Klubie Dziennikarza".

Jaka była w kontaktach z ludźmi? „W obcowaniu z Marianną Bocian – tak zwyczajną i bliską wszelkich życiowych spraw – znikały błahe i miałkie doświadczenia potoczności, objawiała się intensywność intelektualnego i moralnego przeżycia spraw i problemów doniosłych, fundamentalnych. W dzisiejszym świecie bez autorytetów i wzorców Bocian była autorytetem, jakkolwiek chyba nie przyszłoby jej do głowy na autorytet pozować; skłonna była raczej przywoływać wzorce i wskazywać autorytety" – pisał o spotkaniach z poetką Stefan Bednarek („Na odejście Marianny Bocian", „Odra" nr 1, 2004).

Bliskimi jej twórcami byli Zbigniew Herbert i Cyprian Kamil Norwid, nawiasem mówiąc, samą poetkę czasem nazywano „Norwidem w spódnicy". O poezję potrafiła się kłócić zresztą jak mało kto. Z wielką radością przybliżała ją też młodzieży. Jan Hanc wspomina („Marianna Bocian. Pożegnanie", „Gazeta Wyborcza" nr 91, 2003), że chociaż Mariannie nie było dane poznać radości macierzyństwa, to wiele satysfakcji sprawiały jej spotkania z najmłodszymi, z którymi „bawiła się w poezję", zaszczepiając im w ten sposób miłość do dobrej literatury. Wiersze, ale także recenzje literackie, publikowała w takich tytułach jak „Odra", „Sygnały", „Akant", „Kontekst" i „Nadodrze".

Warto zarazem przypomnieć, że poetka kumplowała się z Rafałem Wojaczkiem, poetą wyklętym. Często rozmawiali o literaturze. Janusz Styczeń, inny związany z Wrocławiem poeta, opowiadał (przytaczam za cytowanym już tekstem Barbary Soli), że w maju 1969 roku Bocian i Wojaczek snuli się po mieście, gawędząc o przekraczaniu granic w sztuce. W pewnym momencie znany z ekscentrycznych wybryków Wojaczek jak gdyby nigdy nic rozbił szklaną witrynę sklepu kuśnierskiego i wlazł przez okno do środka, wyjaśniając zapewne nieco jednak zdziwionej koleżance, że przekraczanie granic polega właśnie na tym. Styczeń zaznacza, że nie wiadomo, kto za owo „przekraczanie granic" zapłacił, choć dodaje, że parę miesięcy wcześniej ta nigdy nienarzekająca na nadmiar gotówki poetka uregulowała rachunek za pobite w jakiejś knajpie przez Wojaczka szklanki.

▶ Bo mówiła głośno

Choć celem jej życia była poezja, nigdy nie pojawił się u Bocian ten mechanizm, który cechował

eprasa.pl d6f3169021

wielu naprawdę wybitnych twórców doby PRL-u, mechanizm, o którym wielokrotnie pisałam, a który najprościej można streścić w ten sposób: artysta, nie popierając systemu Polski Ludowej, zarazem otwarcie go nie krytykuje, pozostaje bierny, nawet jeśli w prywatnych rozmowach mówi, co myśli. W zamian za to może drukować swoją twórczość (oczywiście o ile system nie dopatrzy się w niej czegoś niewłaściwego) w oficjalnym obiegu. Wbrew pozorom także władzy ludowej opłacały się takie relacje – miała „listek figowy". Mogła wylegitymować się tym, że taki wybitny poeta czy inny szanowany prozaik przecież drukuje sobie spokojnie swoje utwory, więc jakie znów represjonowanie artystów? Jak to wyglądało w praktyce, wszyscy wiemy.

Marianną Bocian aparat władzy ludowej zaczął interesować się dosyć wcześnie. Marek Zygmunt przytacza („Nie wszyscy byli niezłomni", „Nasz Dziennik" nr 94 21. 04. 2007) informacje podane w referacie dra Roberta Klimentowskiego z wrocławskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Pojawiła się w nim wzmianka o tajnym współpracowniku SB, który w latach 70. pisał w swoich raportach o różnych osobach z wrocławskiego światka literackiego – wśród nich pojawiali się twórcy związani ze wspomnianym już miesięcznikiem „Odra". Przedstawiał w nich osoby ze środowiska literackiego, przekazywał informacje o ich życiu prywatnym, uczestniczył w działaniach operacyjnych SB dyskredytujących wrocławskich literatów. W kręgu jego zainteresowań byli twórcy związani z tzw. Grupą 66 (czy też raczej: Ugrupowaniem 66, jego członkowie odwoływali się do nurtu Awangardy Krakowskiej i twórczości takich poetów jak Tymoteusz Karpowicz, Julian Przyboś. Określani także mianem „lingwistów wrocławskich" – przyp. MZ) i miesięcznikiem „Odra". W ten właśnie sposób w kręgu wzmiankowanego TW pojawiły się takie osoby jak Urszula Kozioł, Zbigniew Kulikowski, Jacek Łukaszewicz, Ewa Szumańska czy właśnie Marianna Bocian. Współpracownik SB pisał o nich w swoich raportach jako o „niezbyt uzdolnionej grupie wzajemnej adoracji".

Czym Bocian zasłużyła sobie na zainteresowanie? Nie chodziło tylko o jej związki z „Odrą", lecz także o to, jaka była. Doktor Klementowski w wywiadzie udzielonym wrocławskiej „Gazecie Wyborczej" (19 kwietnia 2007) zaznacza, że poetka podpadła tym, iż o swoim krytycznym stosunku do władz mówiła podczas wieczorków poetyckich, a więc – publicznie. Opowiada także, że w 1976 roku potrafiła namawiać ludzi do smarowania pism protestacyjnych w związku ze zmianami w konstytucji. Przypomnijmy, że chodziło o zapisanie w ustawie zasadniczej informacji o socjalistycznym charakterze Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, podkreślenie, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza to „przewodnia siła polityczna społeczeństwa w budowie socjalizmu", a także o – chyba wywołujący największy sprzeciw – zapis dotyczący „nierozerwalnej przyjaźni polsko-radzieckiej".

Działania Bocian musiały mocno dopiec SB, ponieważ – jak wspomina w cytowanym wywiadzie dr Klementowski – nie dość, że załapała się na osobną sprawę (kryptonim „Warchoł"), to jeszcze ciągnięto ją przez cztery lata, do roku 1978. Celem było m.in. ograniczenie kontaktów Bocian z czytelnikami, zwłaszcza z młodzieżą, której mogłaby głosić swoje wywrotowe poglądy. Klementowski wspomina zarazem dość zabawną sytuację, pokazującą, że esbecy też czasem nie mieli łatwego życia. Na wieczór poetycki Bocian zawitał kiedyś esbek, który wcześniej usiłował zwerbować innego literata. Pech chciał, że ów literat przyszedł teraz posłuchać wierszy koleżanki po piórze. Skoro zobaczył funkcjonariusza SB, to natychmiast wszystkim ogłosił, co to za jeden i po co tu przyszedł. Biedny esbek musiał znosić uporczywe – i raczej nieżyczliwe – spojrzenia publiczności, na co skarżył się potem w raportach.

W cytowanym już artykule Krzysztofa Masłonia pojawia się z kolei wzmianka, że w 1975 roku poetkę pozbawiono prawa do pracy – okres niełaski trwał trzy lata, zakończył się po liście, jaki wystosowała do prokuratora generalnego PRL.

Ślady zainteresowania ze strony służb pojawiają się zresztą także w twórczości samej poetki:

[...] *na moje milczenie pracowano z największą dbałością*
[...] *na moje milczenie nie szczędzono czasu ni pieniędzy*
stracono więcej czasu niż zegar mojej krwi odmierzył [...]
zarobiono w donosach więcej niż warte były książki

▶ KOR i tajne wieczorki literackie

Jak wynika z notki na stronie „Encyklopedii Solidarności", od 1971 roku Bocian była członkiem redakcji literackiego tygodnika „Odrodzenie", a także redaktorem miesięcznika „Nowator", na którego łamach – jak wspomina cytowany już Stefan Rusin – recenzowała... prace naukowe. Wśród nich znalazły się choćby wszystkie dzieła twórcy bioelektroniki, Władysława Sedlaka.

Od 1972 roku zaś pracowała także jako bibliotekarka i koordynator spotkań autorskich organizowanych przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną we Wrocławiu. W tym kontekście zresztą wspomina Mariannę Bocian Stefan Kisielewski w swoich „Dziennikach", narzekając, że u niego „same pechy". Wśród owych „pechów" wymienia fakt, że we Wro-

eprasa.pl d6f3169021

cławiu odwołano mu odczyty. „Dzwoniła w tej sprawie kierowniczka biblioteki, p. Marianna Bocian, bardzo płacząc i jęcząc. Czyżby więc nowa niełaska?" – pisał 28 maja 1972 roku.

Między 1973 a 1981 rokiem Bocian należała do wrocławskiego oddziału Związku Literatów Polskich, mimo to jej tomik „Scalone z rozkładu" został wydany w 1978 roku na powielaczu, w tzw. drugim obiegu. Zaangażowała się w kolportowanie powiązanych z KSS KOR wydawnictw, w tym „Biuletynu Informacyjnego" i „Robotnika", a od 1980 roku publikowała na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego".

Później przyszedł rok 1981, a wraz z nim stan wojenny. Groza i represje nie przestraszyły Marianny. Wręcz przeciwnie – z głową rzuciła się w wir tajnego życia kulturalnego. Z informacji zamieszczonych na stronie „Encyklopedii Solidarności" wynika, że współorganizowała niezliczone spotkania poetyckie po prywatnych mieszkaniach, kościołach, duszpasterstwach akademickich i domach studenckich. W marcu 1982 roku weszła w skład redakcji podziemnego pisma „Wolna Kultura", od 1983 podziemnego kwartalnika „Obecność". Przed 1 maja 1983 roku, kiedy to w licznych polskich miastach odbywały się kontrmanifestacje wobec pochodów pierwszomajowych, została prewencyjnie zatrzymana na 48 godzin.

O tym zatrzymaniu pisała także Ewa Deglerowa, żona literaturoznawcy prof. Janusza Deglera, której wspomnienie cytuje we wzmiankowanym już tekście Krzysztof Masłoń. Z jej relacji wynika, że w stanie wojennym poetka rzucała kamieniami w pacyfikujące demonstracje oddziały ZOMO, a kiedy przyszli zatrzymać ją prewencyjnie na 48 godzin, to nieustraszenie urągała funkcjonariuszom.

▶ Nie wystarczy era Wodnika

Była wierna przyjaciołom. Co ciekawe, do tego grona zaliczali się także ludzie o skrajnie odmiennych od jej poglądach, m.in. wspomniany przez Matuszewską Marek Garbala. Zresztą ciekawą scenkę z udziałem tego krytyka opisuje we wspominanym tekście Barbara Sola. Otóż już po roku 1989 podczas jakiegoś wieczoru literackiego w „Kalamburze" rozgorzała zażarta dyskusja. W jej trakcie Garbala stwierdził: „Ja jestem bolszewik". Wówczas bardzo mocno zaczął go krytykować malarz Andrzej Urbanowicz. Sama Bocian chyba szczególnie zbulwersowana nie była, bo wyznanie Garbali skwitowała stwierdzeniem: „Jaki tam z niego bolszewik". Jednocześnie – jak zaznacza Kucharski – w latach 90., kiedy to Polska zachłysnęła się przemianami, poetkę oskarżano o czarnowidztwo. Pisała bowiem:

...przy ich żłobach władzy pełnych już objawień
rzesz bezdomnych, bezrobotnych, żebraków i chorych
których układa się na betonie lub na gołej ziemi
bo szpitale w kraju nad Wisłą są powoli zamykane
by otwierać burdele rozrywek
jako radosną przyszłość pokoleń...

Z kolei na łamach „Metafory" (nr 47–50/2001–2002) czytamy, że „Marianna Bocian wielokrotnie publicznie mówiła, że w epoce cwaniaków, wyszydzających uczciwość, dobroć, prawość, radość twórczego życia i hołubiących zwyrodniałe ideały, przełom duchowy nie nastąpi pod wpływem »samej ery wodnika«, lecz musi być w męce wypracowany!". Słowa te brzmią dziś podejrzanie współcześnie.

Po przemianach ustrojowych nadal była chętna do pracy z dziećmi. Prowadziła w kilku szkołach średnich warsztaty poetyckie i lekcje retoryki; jako wolontariusz prowadziła zajęcia psychoterapeutyczne na oddziale dziecięcym wrocławskiej Kliniki Onkologii. Co ciekawe, w 1996 roku wydała „Słownik wyrazów trudnych i obcych" dla młodego czytelnika.

Wielokrotnie zabierała też głos w sprawach dotyczących literatury. W wywiadzie udzielonym Ewie Gil-Kołakowskiej („Nowe podziemie! Rozmowa z poetką Marianną Bocian", „Gazeta Robotnicza" nr 279, 1990) zaznaczała, że choć nie ma już cenzury prewencyjnej, to istnieje cenzura kapitałowa. „Wydawnictwa nie chcą drukować poezji, ponieważ poezja nie przynosi zysku kapitałowego... Jeśli ktokolwiek uważa, że kryzys gospodarczy w Polsce można rozwiązać, żądając dochodowej poezji, to chyba wymaga leczenia klinicznego. Czyż to nie jest urojenie paranoidalne?! Znam pełne szuflady, ale znam również półki pełne tandety w kolorowych, lśniących okładkach" – mówiła. Pozostaje zastanowić się, jak skomentowałaby dzisiejszy los poezji i poetów.

Przez całe swoje dorosłe życie pomagała matce. Masłoń wspomina, że kończyła pracę redakcyjną, potem jechała do Lublina, stamtąd – do Bełcząca. Prosto z drogi szła w pole, bez wytchnienia zabierała się do ciężkiej pracy.

Podobnie wyglądał ostatni dzień jej życia. By pomóc schorowanej matce, pojechała do rodzinnej wsi, dosłownie zaraz miała wracać do Wrocławia. Podczas pracy w polu zasłabła. Trafiła do szpitala, gdzie – jak podaje Masłoń – nie chciano jej przyjąć, ponieważ zameldowana była we Wrocławiu. Zgodę wyrażono po kilku godzinach, jednak na nic się to zdało. Marianna Bocian zmarła 5 kwietnia 2007 roku. Spoczęła w grobowcu rodzinnym w Czemiernikach. Zostawiła po sobie wiersze, do których warto sięgnąć i – choć może to nie tak oczywiste – prawdę, że warto być odważnym. Nawet jeśli jedyna nagroda to ludzka pamięć. ■

Autorka jest pracownikiem POLSKIEGO RADIA SA.

eprasa.pl d6f3169021

Piotr Lisiewicz

Stojąc na czele podziemnej roboty, organizował pierwsze wystąpienia zbrojne przeciw potężnemu caratowi, kiedy własnymi rękami drukował »Robotnika«, z frazesu estradowego dając hasłu »Niepodległość« realne, groźne dla ciemiężców znaczenie" – pisał o Józefie Piłsudskim jego najbliższy współpracownik, Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Poniższy, całkowicie zapomniany tekst ukazał się w 1931 roku w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" i był skierowany do jego masowego – jak na owe czasy – czytelnika. Być może dlatego jest też zapomniany, bo historycy na temat postaci pomnikowej wolą cytować poważniejszego kalibru wspomnienia. Niemniej kto chce zrozumieć fenomen Marszałka, ale także jego popularności wśród zwykłych Polaków, może dowiedzieć się z tego fragmentu bardzo wiele.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski

Marszałek Piłsudski w życiu prywatnym i obozowym

Przy całej mojej awersji do gry w szachy, zdołałem wygrać jedną przeciw śp. majorowi Marjanowi Dąbrowskiemu [...]. Rozegraliśmy ją na skutek zakładu w ziemiance Komendanta pod Koszyszczami i w Jego obecności, a kiedy w dziewiętnastym pociągnięciu dałem memu osłupiałemu ze zdziwienia przeciwnikowi mata, wyjaśnił nam Komendant tajemnicę mego niespodziewanego zwycięstwa: „Wiecie, Wieniawa, obserwując waszą grę, zrobiłem zabawne spostrzeżenie. Przed każdym waszym ruchem mówiłem sobie w myśli: Wieniawa powinien zrobić to a to, i za każdym razem »bez pudła« wy zrobiliście posunięcie, które ja uważałem za właściwe i wskazane". Wspominam to drobne zdarzenie dlatego, że rzuca ono pewne światło na zdolności sugestywne Komendanta.

Nie miałem szczęścia być towarzyszem zabaw i psot małego Ziuka, który był na pewno niezwykłym chłopcem i swym charakterem upartym a przekornym, chęcią przewodzenia i komenderowania wszystkimi dokoła, utrudniał znacznie prywatne życie swoim rodzicom i swemu rodzeństwu.

▶ Ziuk i Mieczysław-Victor

Ten okres działalności Komendanta znam tylko z opowiadań jego braci, a zwłaszcza siostry, pani Zuli Kadenacowej. Z jej to ust słyszałem o takim epizodziku: Kilkunastoletni Ziuk, przechodząc pewnego razu w gronie rodzeństwa i kolegów koło pałacu biskupiego w Wilnie, zatrzymał nagle całą bandę i oznajmił im z niezłomną pewnością i patosem:

– Zobaczycie, przyjdzie czas, kiedy mnie stojącego na tym balkonie, będzie witał triumfalnie naród, ciżbiący się koło pałacu, i wiwatował bez końca na moją cześć.

Musiał to być zaiste niezwykły chłopak, skoro jego przepowiednia się spełniła, a ja osobiście byłem świadkiem, jak nieprzebrany tłum gromkimi, niemilknącymi okrzykami witał w dzień Wielkiejnocy 1919 r. pojawienie się Józefa Piłsudskiego na balkonie biskupiego pałacu.

eprasa.pl d6f3169021

Nie było mi dane pracować pod kierownictwem towarzysza Mieczysława w czasach, kiedy, stojąc na czele podziemnej roboty, organizował pierwsze wystąpienia zbrojne przeciw potężnemu caratowi, kiedy własnymi rękami drukował „Robotnika", z frazesu estradowego dając hasłu „Niepodległość" realne, groźne dla ciemiężców znaczenie. Nie trudno sobie wyobrazić, jak wówczas mogło wyglądać prywatne życie człowieka, tropionego przez żandarmerię, na którego głowę naznaczoną była cena 10.000 rubli, który nieraz całymi nocami kluczyć musiał po ulicach Warszawy, dla zmylenia śladów przed szpiclami lub nocował w wagonach pociągów krążących po Królestwie, albo na madejowych, z połamanymi sprężynami, kanapkach przygodnych sympatyków. Niemniej jednak przypuszczam, iż nie tylko umiejętność w wymykaniu się policyjnej nagonce i zdolność kierowania bojownikami w nierównej a śmiertelnej walce, lecz jakieś w konspiracyjnym życiu najbardziej zakonspirowane triumfy skłoniły jego towarzyszów i towarzyszki do nazwania go mianem „Victor" tzn. Zwycięzca.

▶ Początek epopei wojennej

[...] Miałem możność poznania wielu sławnych ludzi oraz bliskiego nieraz z nimi obcowania, przy czym, zgodnie z cytowanym poprzednio przysłowiem, nie jedna wielkość malała w mych oczach prawie do zera, zrozumiałem od razu, że znałem poprzednio wielu wielkich malarzy, pisarzy, tenorów, czy profesorów, ale na Wielkiego Człowieka natknąłem się po raz pierwszy.

Wybuchła wielka wojna, powstały przez niego wyczarowane legiony. Rodziną jego najbliższą byliśmy my, pierwsza brygada. Prowadząc nas do zwycięstw i chwały, dzielił z nami naszą żołnierską dolę i niedolę.

Jak sypiał wówczas? – Jak na wojnie. Raz w mniej lub więcej gościnnym dworze, raz w wójtowej chałupie, ale często w pustej, przewiewnej stodole jak w Kołkach, lub ciasnej ziemiance pod Koszyszczami.

Co jadał? Co Bóg dał za pośrednictwem intendentury, a co pitrasiły na sztucznych tłuszczach, zaprawianych piaskiem kuchty polowe ś.p. por. Sulistrowskiego, oficera gospodarczego sztabu brygady, zwanego przez nas „Ciocią Femcią", o którym dla jego funkcji śpiewaliśmy, że „za wolność naszą i waszą, robi kiepskie zrazy z kaszą".

▶ Wśród huku armat i na boisku

[...] Podczas przerw w działaniach wojennych, na postojach, podczas przemarszów, lub w czasie, kiedy zdarzyło nam się stać w rezerwie, a nie w pierwszej linii, brał Komendant niejednokrotnie udział w naszych zabawach, przypatrywał się chętnie, a czasem nawet sędziował naszym rozgrywkom w piłkę nożną i jako najmilszy i najłaskawszy amfitrion, brał udział w naszych skromnych, ale wesołych biesiadach, chwaląc nas nawet za to, że byliśmy – według jego własnych słów – najweselszym z wszystkich znanych mu sztabów.

Poza tym do najmilszych jego rozrywek należały pasjanse i szachy, przy czym mnie, odnoszącemu się z bałwochwalczą bez mała czcią do ludzi, grających w szachy i wyznających się w przewodniku kolejowym, imponował niezwykle umiejętnością grania w szachy na ślepo, bez patrzenia na szachownicę.

Przy całej mojej awersji do gry w szachy, zdołałem wygrać jedną przeciw śp. majorowi Marjanowi Dąbrowskiemu, jedyną zresztą, na jaką się zdobyłem przez cały czas trwania wojny.

Rozegraliśmy ją na skutek zakładu w ziemiance Komendanta pod Koszyszczami i w Jego obecności, a kiedy w dziewiętnastym pociągnięciu dałem memu osłupiałemu ze zdziwienia, przeciwnikowi mata, wyjaśnił nam Komendant tajemnicę mego niespodziewanego zwycięstwa rewelacyjnym oświadczeniem: – Wiecie, Wieniawa, obserwując waszą grę, zrobiłem zabawne spostrzeżenie. Przed każdym waszym ruchem mówiłem sobie w myśli: Wieniawa powinien zrobić to a to, i za każdym razem „bez pudła" wy zrobiliście posunięcie, które ja uważałem za właściwe i wskazane.

Wspominam to drobne zdarzenie dlatego, że rzuca ono pewne światło na zdolności sugestywne Komendanta, lub na nasze zdolności odgadywania Jego myśli, co wychodzi na jedno i co w sprawach nierównie ważniejszych miało dość często miejsce. [...]

▶ Tęsknota do samotności

Z biegiem czasu skutkiem nawału zajęć, na skutek nieustannego naporu różnych interesantów, polityków i wojskowych, którym musiał dawać rady nie zawsze rozumiane, i rozkazy, niejednokrotnie nie dobrze wykonywane, zaczął Komendant tęsknić do samotności, choć i ona nie była dlań spoczynkiem.

Pamiętam, jak pewnego razu skarżył się przede mną: „[...] Od rana do nocy ciągle konferencje, narady, odprawy, obowiązkowe przyjęcia. Gdzie się ruszę, mam za sobą jakiegoś adiutanta. Doszło do tego, iż najlepiej się czuję w wygódce, bo tam przynajmniej jestem sam".

▶ Wyjaśnienie „tajemnicy pasjansów"

Upodobanie Komendanta do pasjansów tłumaczyłem sobie dłuższy czas przyjemnością, jaką znaj-

eprasa.pl d6f3169021

dywał w grze, w której za jedynego partnera miał przypadek. Jeszcze za legionowych jednak czasów zwrócił moją uwagę fakt, że tej niewinnej rozrywce poświęcał Komendant względnie wiele czasu, niejednokrotnie w chwilach bardzo ważnych, w momentach, poprzedzających decyzję jego w zagadnieniach pierwszorzędnego znaczenia.

Dając folgę zaciekawieniu za belwederskich już czasów, zwróciłem się do Komendanta z zapytaniem i prośbą o wyjaśnienie mi tej sprawy. [...]

– Kochany ułanie i doktorze – odpowiedział mi wówczas – nie wiem, czy we dwóch zdołaliście zauważyć, że Pan Bóg obdarzył mnie dużą intuicją. Ja osobiście dawno już zdałem sobie z tego sprawę. Wiecie zapewne, iż między intuicją, między nad świadomymi zdolnościami człowieka a jego świadomym intelektem, istnieje pewne przeciwieństwo. Praca świadoma mózgu działa mianowicie hamująco na funkcje intuicyjne. Jest to fakt, znany od dawna wszystkim psychologom. Od dawna też ludzie chwytają się różnych sposobów i sztuczek dla wyzwolenia, dla puszczenia w ruch intuicji. Jedni osiągają pożądany skutek przez kontemplację, inni przez modlitwę. [...]

Mój umysł, mój intelekt jest nazbyt żywy, by takie sposoby mogły zatrzymać w pracy. Aby go więc usunąć od szkodliwej w pewnych chwilach interwencji, zajmuję go pasjansem i zmuszam go do rozwiązywania skomplikowanych nieraz w tej zabawie sytuacji. Podczas tego swobodnie i bez przeszkody pracuje moja intuicja. Kiedy zaś skończy się jej praca, kiedy dojrzały już we mnie pewne postanowienia, kiedy przychodzi pora do myślenia nad wykonaniem, nad techniką, nad szczegółami, wówczas odrzucam karty i powołuję do właściwej dla nich pracy, świadome funkcje mojego intelektu.

Mogę Panu w końcu tego wyjaśnienia zaręczyć, że nieraz zdobywałem się na czyny, przed którymi cofnąłby się niejeden, między innymi i dlatego, bo z góry miałem pewność lub prawie pewność powodzenia. [...]

▶ „Idziemy na odsiecz M. B. Ostrobramskiej"

Jak drogą sercu Komendanta jest stolica naszej Litwy, o tym wiedzą wszyscy, niewiele osób jednak wie, że kiedy na wiosnę r. 1919 szliśmy na odebranie bolszewikom Wilna, Komendant postanowił na intencję powodzenia wyprawy wstrzymać się na trzy dni od palenia papierosów. Wszystko byłoby w porządku, gdyby po powzięciu tego postanowienia nie wezwał mnie do siebie i w bardzo zresztą przyjacielskiej formie mi rozkazał:

– Chłopcze, wiesz Pan do czego my się zabieramy? Idziemy na odsiecz Matce Boskiej Ostrobramskiej. To nie fraszki. Na intencję powodzenia naszej wyprawy, postanowiłem nie palić przez trzy dni, a ponieważ „dulce est in dolore socium habere" – przeto przez solidarność ze mną, Pan także – mam nadzieję – palić nie będzie.

I przez trzy dni cierpieliśmy wspólnie, a moje próby obrócenia tej decyzji w żart spełzły na niczym.

▶ „Tak to bywa z tymi Litwinami"

Podczas naszego powrotu z wyprawy wileńskiej, w Białymstoku zameldowano Komendantowi, że przybyły z dalekiego zachodu batalion ochotników zaczął grasować w tym mieście w sposób nieco bandycki.

– Dawać mi tu dowódcę tego batalionu – rozkazał Komendant.

W kilka chwil potem zameldował się w wagonie Komendanta, stary, siwy, otyły jegomość, odziany w mundur z dystynkcjami pułkownika.

– Co Pan wyrabiasz w mieście? Ładnie się zachowujecie, Pan i pańscy ludzie! – huknął nań Komendant.

– Ja nic nie winien, Panie Naczelniku Państwa – usprawiedliwiał się drżącym głosem, drżącą rękę przykładając do daszka, wódz ochotników. – Ja nic nie winien. Ja nie znał tych żołnierzy. Toż oni słuchać mnie nie chcą.

– Proszę milczeć! – krzyknął na niego Komendant, a potem już pojechał na całego. – Co mi Pan tu o złych żołnierzach będziesz bajdurzył. Nie znam złych żołnierzy – do kroćset – a tylko złych lub dobrych oficerów. Jak jesteś Pan niedołęgą, to siedź Pan w domu i pilnuj, żeby kury na jajach siedziały, ale z wojska precz. Źli oficerowie, podobni do Pana, z dobrego żołnierza robią bandytę! Zdegradować każę, do więzienia zamknę!

Przerażony jegomość padł na kolana, kajając się i tłumacząc.

Komendant piorunował ciągle bez litości, aż nagle zapytał:

– Z jakich stron Pan pochodzi?

– Ja z Oszmiańskiego.

– To Pan z Litwy? – ze zdziwieniem zapytał Komendant, a głos Mu przy tym dziwnie złagodniał. – Proszę ja kogo, to Pan Litwin. Wstawaj Pan i gadaj, skąd się Pan wziąłeś na czele tego oddziału...

Skończyło się na poczęstunku herbatą i przyjacielskiej rozmowie o Święcianach, Burliszkach, Nowogródkach itd.

Tak to bywa z tymi Litwinami. ■

_____

Przedruk za: „Ilustrowany Kurier Codzienny", 02.01.1931, Kraków, Rok 22, Nr 2.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl d6f3169021

Krzysztof Karnkowski

POWRÓT DO CZARNOBYLA

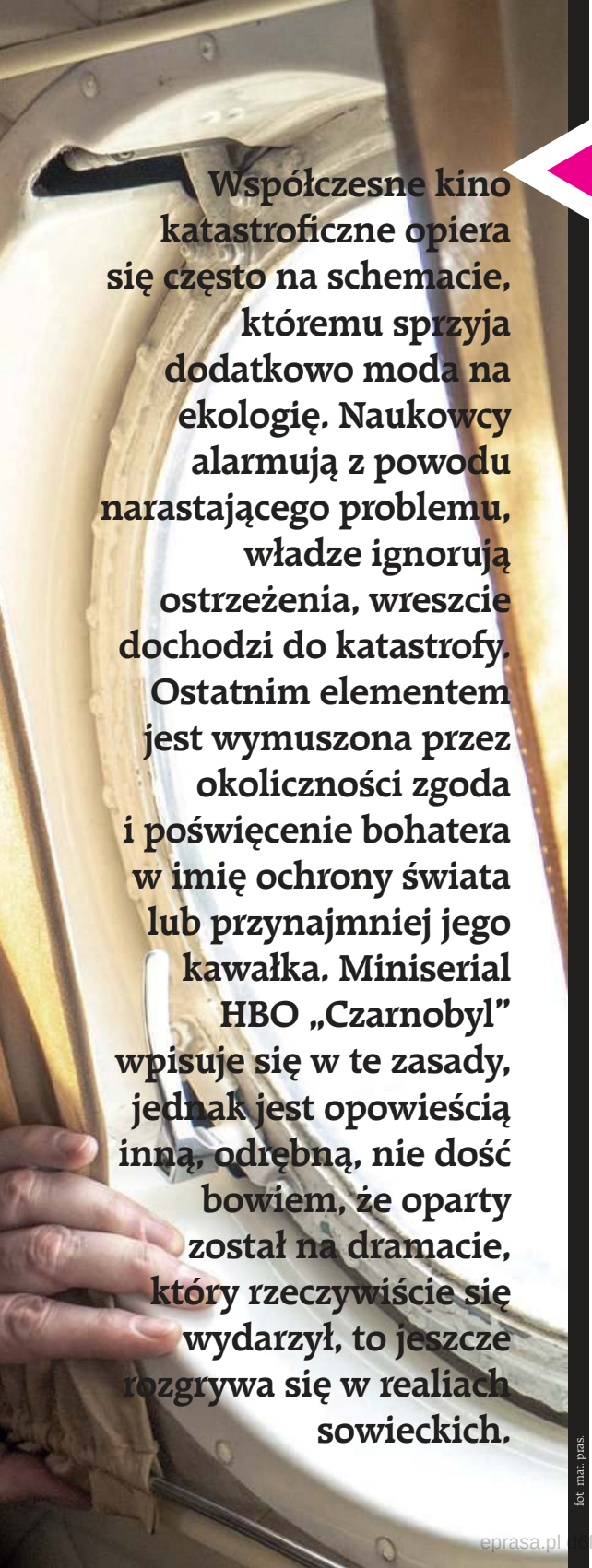

Współczesne kino katastroficzne opiera się często na schemacie, któremu sprzyja dodatkowo moda na ekologię. Naukowcy alarmują z powodu narastającego problemu, władze ignorują ostrzeżenia, wreszcie dochodzi do katastrofy. Ostatnim elementem jest wymuszona przez okoliczności zgoda i poświęcenie bohatera w imię ochrony świata lub przynajmniej jego kawałka. Miniserial HBO „Czarnobyl" wpisuje się w te zasady, jednak jest opowieścią inną, odrębną, nie dość bowiem, że oparty został na dramacie, który rzeczywiście się wydarzył, to jeszcze rozgrywa się w realiach sowieckich.

fot. mat. pras.

Niektórzy chcą widzieć w „Czarnobylu" oskarżenie komunizmu, co – o czym za chwilę – wzięła do siebie nawet współczesna Rosja. Prawdy jest w tym dużo – tyle, ile różnic między historią ukazaną w serialu a regułami katastroficznego schematu. Prześledźmy więc, w jaki sposób czarnobylska opowieść mu się wymyka, a jak wpycha go w ciasny, sowiecki gorset, mając ten komfort, że tym razem trudno mówić o spojlerach.

Komuniści żądają ukarania twórców

Naukowcy ostrzegający o zagrożeniu? Są. W klasycznym dramacie, rozgrywającym się w kapitalistycznych realiach, politycy nie chcieliby ich słuchać, bojąc się paniki i strat dla wielkiego biznesu, niekoniecznie w tej kolejności. Z tych samych przyczyn nie chciałby też słuchać ich sam wielki biznes. Przyczyną potencjalnej katastrofy mogłaby być jakaś niedoróbka, oszczędność, wynik chciwości, oszustwa, korupcji, względnie pośpiechu, mającego w tle pozostałe przyczyny. Co zmieniają realia komunistyczne? Zamiast chęci zysku mamy socjalistyczne współzawodnictwo, pośpiech, przymus wykonania planu, pokazania się przed władzami, który najpierw powoduje oddanie do użytku elektrowni, w której nie przeprowadzonego jednego z koniecznych testów, później zaś przeprowadzenie go w warunkach, które wykluczały wykonanie tego działania, co stało się główną przyczyną katastrofy, dość szczegółowo wyjaśnioną w ostatnim odcinku „Czarnobyla". Mamy też jednak przyczynę-matkę, użycie niewłaściwych surowców w kluczowych zabezpieczeniach, prętach bezpieczeństwa, które, by było taniej, zakończono grafitem, co spowodowało w chwili zastosowania procedur bezpieczeństwa reakcję odwrotną do oczekiwanej, jak to często tłumaczy się i w filmie, i w opracowaniach naukowych – efekt dodania gazu w chwili naciśnięcia hamulców. A co z ostrzeżeniami? Pojawiają się, owszem, na długo przed katastrofą, w postaci artykułu w branżowym czasopiśmie, który jednak zostaje ocenzurowany. Tak skutecznie, że zawarte w nim informacje zwyczajnie nie docierają do personelu elektrowni, w tym do głównego winnego – inżyniera Diatłowa. Ten szarżuje, naraża na szwank życie i zdrowie podkomendnych (że nie tylko ich, jeszcze nie wie), będzie więc zarazem głównym i sprawiedliwie oskarżonym i... kozłem ofiarnym. Podejmując bowiem tragiczne w skutkach działania, liczy na ostatnią procedurę bezpieczeństwa, która – nawet gdy jego upór

eprasa.pl ef3169021

i lekkomyślnie podjęte ryzyko doprowadzą na skraj tragedii – uratuje wszystkich dosłownie jednym wciśnięciem guzika. I to właśnie się nie dzieje, zaś pracownicy nie będą mogli uwierzyć własnym oczom, gdy dziać się będzie coś według ich fachowej wiedzy niemożliwego. Mamy więc element nowy: blokowanie informacji kluczowych dla ludzkiego życia i zdrowia w imię propagandy, obrazu siły komunistycznego Związku Sowieckiego. Tu nie może być oszczędności kosztem ludzi ani – choć od tego jednak uciec się nie da – awarii w elektrowni imienia Lenina. Nie może być nawet dziś. Władze Rosji protestują przeciwko filmowi i pokazanej wersji wydarzeń, zapowiadając kontrprodukcję z – jakże by inaczej – amerykańskim szpiegiem. Komuniści żądają wręcz ukarania twórców. Coś, co nawet 35 lat temu byłoby zbyt grubymi nićmi szyte, za Putina okazuje się możliwe.

Sceny horroru

Kolejny obowiązkowy element filmu katastroficznego to poświęcenie. Tego mamy pod dostatkiem. Pierwsi uczestnicy akcji ratunkowej, strażacy, nie wiedzą jeszcze, w co się pakują, czy raczej w co są pakowani, choć według niektórych naukowców prawdziwa wersja wydarzeń rozjeżdża się z tym, co widzimy na ekranie. W rzeczywistości gaszą pożar trochę innej części elektrowni, zaś moskiewski szpital, do którego trafiają, nie jest wcale biedny i obskurny, to jedna z nowocześniejszych i lepiej wyposażonych klinik w Związku Sowieckim. Jednak w tej serialowej fikcji znajduje się też prawdziwy, choć bardzo przecież filmowy, wątek, żony strażaka, towarzyszącej mu aż do końca, jeden z piękniejszych, choć przeraźliwie smutny fragment tej opowieści. W szpitalu doktor Uliana Chomiuk (postać stworzona w hołdzie licznym radzieckim naukowcom dążącym do prawdy) zbiera informacje od konających na chorobę popromienną pracowników elektrowni. To zresztą najstraszniejszy wizualnie, ocierający się o estetykę gore, choć oddający prawdziwy wymiar cierpienia i nieszczęścia tych pierwszych ofiar, element serialu. Te obrazy poruszają i nie chcą uciec z pamięci. Tu rozgrywa się prawdziwy horror. Wróćmy jednak do poświęcenia. Poświęcają się kolejni uczestnicy misji, nie zawsze dobrowolnie. Czasem nie mają wyjścia, czasem zgadzają się, choć nikt nie przewiduje możliwości odmowy. Nurkowie, górnicy, żołnierze... I tylko nikt nie może być pewien żadnej nagrody, specjalnie też na nią nie liczy. Chociaż kiedy już zaczyna się usuwanie następstw awarii, dla wojskowych likwidujących skażone zwierzęta z okolicy nie brakuje ani wódki, ani pieniędzy. To, co widać w serialu, potwierdzają świadkowie. Czymś trzeba było przyciągnąć ludzi, skoro wcześniej narosła panika. Skala skażenia, a więc i ryzyka, została bowiem przez ludzi, również w Polsce, mocno przeszacowana, w wyniku oficjalnego przemilczenia zostało dużo miejsca na mity. Eksperci zwracają często uwagę, że Czarnobyl nie był ani w stratach ludzkich, ani następstwach ekologicznych wydarzeniem bez precedensu, historia zna poważniejsze zdarzenia tego typu. Inaczej jednak został on zapamiętany i serial HBO niczego tutaj nie zmieni. Trzeba wziąć przy tym poprawkę na fakt, że naukowcy, w serialu tak bardzo docenieni, miewają swoje sympatie, niektórzy bardzo lubią Rosję, a jeszcze bardziej elektrownie atomowe, i to nie zostaje bez wpływu na ich ocenę Czarnobyla i... „Czarnobyla".

> WIDZ Z EUROPY WSCHODNIEJ MAJĄCY POJĘCIE, CZYM BYŁ KOMUNIZM, UCZESTNICZĄCY W TEJ WSPÓLNOCIE STRACHU, OGLĄDA SERIAL Z INNĄ WIEDZĄ WYJŚCIOWĄ.

Nie każdy zrozumie ten strach

Poświęcenie w filmie katastroficznym może skończyć się śmiercią lub nagrodą, a przekazanie ostrzeżenia, początkowo lekceważonego, przyznaniem racji, satysfakcją, uznaniem otoczenia. Nie w tym przypadku. Walery Legasow, ujawniający niewygodne fakty, zostaje skazany na śmierć cywilną. Kiedy podczas procesu do wątku Diatłowa i jego przełożonych dodaje ocenzurowanie mogącej naprawić ich błędy informacji i jej treść, nie zostaje to wzięte pod uwagę, a on sam kończy odcięty od świata. Dopiero ponowne poświęcenie, samobójstwo profesora, wymusza poważne spojrzenie na jego ana-

eprasa.pl d6f3169021

lizę przyczyn katastrofy. Po drodze widzimy zaś (w końcu, chciałoby się dodać, bo ten krytyczny obraz komunizmu najmocniej przedostaje się do świadomości widza w ostatnim odcinku, gdy śledzimy proces pracowników elektrowni i jego następstwa) atmosferę strachu, inwigilacji i wszechmocy służb. Przy czym serial całkowicie pomija inne wątki, takie jak zmuszanie ludzi do świętowania 1 maja tuż po katastrofie, zatajania skali zagrożenia tylko po to, by jak co roku spędzić tłum na quasi-religijne imprezy systemu, brak właściwie scen normalnego życia bez świadomości zagrożenia, nie licząc tych z pierwszych chwil dramatu – obserwacji pożaru z mostu w Prypeci czy zebrania partyjnego aktywu, na którym weteran-leninowiec poucza o potrzebie zaufania do państwa i jego działań. Tę sferę o wiele dokładniej pokazuje międzynarodowa (ukraińsko-francusko-niemiecko-polska) produkcja „Znieważona ziemia" w reżyserii Michale Boganim z 2011 roku. W filmie widzimy też, jak po latach swoje życie próbują ułożyć uczestnicy ewakuacji i jak im się to nie do końca udaje. Lukę zapełnia też przedstawienie polskiego Teatru Telewizji „Czarnobyl. Cztery dni w kwietniu" (reż. Janusz Dymek), dostępne na stronach TVP, w którym pokazano walkę polskich naukowców z blokadą informacji, tchórzostwem i lekkomyślnością władz. Polscy specjaliści początkowo nie mieli żadnych informacji z ZSRS, nie mogli też przebić się do czynników decyzyjnych. W sztuce pojawia się też wątek odbywającego się w tym czasie Wyścigu Pokoju, z którego Amerykanie wycofali zawodników, a polskie władze zmusiły do startu Ryszarda Szurkowskiego. Wracając do obrazu ustroju w serialu, trzeba pamiętać, że widz z Europy Wschodniej mający pojęcie, czym był komunizm, uczestniczący w tej wspólnocie strachu, a być może i wspólnocie pokoleniowej dzieci wymiotujących po płynie Lugola przed szkołami i przychodniami, ogląda go z inną wiedzą wyjściową. Różnicę mamy też przecież w sferze języka. Angielski widz (dialogi w filmie są wygłaszane po angielsku) nie wyłapie w ogóle zwracania się do siebie w liczbie mnogiej drugiej osoby, nieistniejącej w jego języku, stanowiącej element werbalnej przemocy ustroju.

Nawet banał nie razi

Kilka scen jest ukłonem w stronę filmowego banału. Staruszka, wygłaszająca patetyczny monolog w obliczu ewakuacji, literacko i podniośle opowiada o historii widzianej oczami prostej, ukraińskiej chłopki. Do historii wraca też minister Szczerbina, ze strony władz odpowiedzialny za akcję ratunkową, w innej, bardzo filmowej rozmowie z profesorem, który widzi w nim jedynego mądrego w obozie władzy. Tak zresztą pokazują go sami filmowcy. Początkowo twardogłowy komunista daje się przekonać nauce i temu, co widzi na własne oczy. Z kolei postapokaliptyczne sceny z udziałem wojska w oczywisty sposób przypominają współczesne filmy, w których przewijają się żołnierze rosyjscy czy szerzej – poradzieccy, takie jak „Pięć dni wojny", „Mandarynki" czy opowieści o wojnie jugosłowiańskiej z kina Tanovicia („Ziemia niczyja"). Śladami żołnierzy ruszają dziś turyści, zona staje się modnym celem wypraw.

Widać, jak obszerny jest temat, na jaki porwała się ekipa reżysera Johana Rencka i scenarzysty Craiga Massina. Dlatego trudno mieć pretensję o pominięcie wielu spraw czy przywiązanie do jednej, niepotwierdzonej i negowanej (również w dyskusji będącej pokłosiem serialu) przez wielu naukowców wersji przebiegu katastrofy. Warto natomiast samemu więcej na ten temat poczytać czy przypomnieć sobie inne wymienione tytuły. Jest to na pewno wydarzenie artystyczne i kulturowe, obraz mocny, unikający tanich efektów, będący owocem długoletniego zafascynowania twórców tematem. Renck to sprawny zawodowiec, pracujący przy wielu znanych serialach, a także autor teledysków, przed laty występujący też jako muzyk pod pseudonimem Stakka Bo. Międzynarodowa obsada aktorska (m.in. Jared Harris jako Legasow, Stellan Skarsgård w roli Szczerbiny, Emily Watson jako Chomiuk) dobrana jest znakomicie i niezależnie od faktycznego pochodzenia, aktorzy wyglądają tu jak wymęczeni ludzie radzieccy, grając robotników, naukowców czy nawet aparatczyków. I tylko Gorbaczow (David Dencik) nie jest do siebie zbyt podobny. ■

WŁADZE ROSJI PROTESTUJĄ PRZECIWKO FILMOWI I POKAZANEJ WERSJI WYDARZEŃ, ZAPOWIADAJĄC KONTRPRODUKCJĘ Z – JAKŻE BY INACZEJ – AMERYKAŃSKIM SZPIEGIEM.

eprasa.pl d6f3169021

Odwrócić bezlitosne wyroki historii

Pisanie historii pozwala poniżać zbrodniarzy, którzy w rzeczywistości uniknęli kary – z Andrzejem Pilipiukiem, pisarzem, autorem bestsellerowych opowiadań i powieści fantasy oraz science-fiction, rozmawia Grzegorz Wszołek.

▶ Wkrótce ukaże się Pańska kolejna książka poświęcona alternatywnej historii Polski.

Jestem członkiem zespołu, który przygotowuje pewną nietuzinkową publikację. To będzie książka ciekawa, ale raczej nie dla wszystkich. Jeden obśmieje się przy tym do łez, ktoś inny zamknie ją i odda się zadumie, będą i tacy, którzy zacisną zęby w bezsilnej złości. A niejeden popuka się palcem w czoło. I to chwilowo wszystko co mogę zdradzić.

▶ Co jest fascynującego w historii alternatywnej?

Dla mnie fascynujące jest przede wszystkim odwrócenie bezlitosnych wyroków historii. Napisanie jej na nowo, inaczej, lepiej. W „Atomowej ruletce" ukazałem alternatywną Polskę: kraj zwycięski, dostatni, dobrze urządzony – tyle tylko, że ukazałem ją okiem wroga. W luźnej kontynuacji „Samolot von Ribbentropa" charyzmatyczny polski generał przeprowadza rajd helikopterami bojowymi w głąb terytorium USA. W tle poznajemy świat odwrócony, w którym to my wygraliśmy wojnę, a rumuńska policja wyłapuje Anglików-żebraków w Bukareszcie... Z kolei w „Die Wunderwafen" dokopałem nazistom. Esesman z naszej rzeczywistości ląduje w świecie, gdzie generał Samsonow wygrał pod Tannenbergiem. Po Berlinie jeżdżą kozackie patrole. Hitler i Goering to menele, którzy w dodatku zalegają z czynszem w żydowskiej kamienicy, doktor Mengele jest dilerem morfiny, a Stangla (w naszym świecie komendanta Treblinki) likwiduje za długi żydowska mafia... Symbolicznie poniżyłem zbrodniarzy i poczułem się po tym lepiej! Trochę w tym zabawy, trochę pokrzepienia serc, ale i wymierzania sprawiedliwości.

▶ Komu jest łatwiej pisać historię alternatywną: historykom czy pisarzom?

Dobre pytanie! Historycy z pewnością znają masę faktów i wydarzeń, które mogły stać się przysłowio-

eprasa.pl d6f3169021

wym języczkiem u wagi. Z drugiej strony – nie bardzo im wypada się tak bawić. Chyba że pod pseudonimem, pilnując, by koledzy po fachu nigdy się nie dowiedzieli. Przede wszystkim historycy mają jedną, ogromną przewagę: pracują ze źródłami, znają ciekawe materiały. Nikt dla literatów nie prowadzi zajęć ze źródłoznawstwa. Z drugiej strony to pisarze mają większą swobodę twórczą.

▶ Z drugiej strony są zagrożenia ze strony takiej literatury. Nic nie stoi na przeszkodzie, by powstała fałszywa książka o masowym mordowaniu Żydów przez Polaków, współpracujących z Niemcami. Jak wtedy należałoby zareagować – przecież to „tylko" literatura.

Istnieją przypadki ludzi, którzy za kilka groszy wyselekcjonują źródła tak, by pasowały do ich tezy – nawet niektórzy historycy tak robią – dla pieniędzy albo kariery. Jeśli na każdym kroku podkreśla się, że autorem gniota jest naukowiec, to mało kto sprawdzi, że nie jest on historykiem, tylko na przykład socjologiem.

▶ W tle Pańskiej wypowiedzi pobrzmiewa nazwisko Jana Tomasza Grossa.

Mamy do pewnego stopnia efekt śnieżnej kuli – w ślad za ludźmi świadomymi własnego oszustwa poszło trochę pożytecznych idiotów, którzy uwierzyli w ich wizje i zaczęli je powielać. Literatura piękna czy fantastyka nie są tu zagrożone – ci, którzy wywalają garściami pieniądze na antypolską propagandę, nie są głupi. Jeden „marniuchny" film odwala im większą robotę niż 50 książek. Kupować będą filmowców – nie nas.

▶ Przykład pierwszy z brzegu – zdecydowanie antypolski film „Polish Holocaust" ze strony środowisk nacjonalistów żydowskich z 2018 roku. W dobie kryzysu w stosunkach polsko-izraelskich oskarżono wprost Polaków o współudział w Holokauście. W ciągu kilkunastu godzin prymitywna propagandówka uzyskała kilka milionów wyświetleń.

Żyjemy w czasach, gdy zdrada ma finansować się sama. Określone siły nie muszą sięgać do własnej skarbonki. Odpowiedni ludzie, poustawiani w urzędach i bogatych firmach zapewnią finansowanie „swojakom". Z czego? Ano z państwowego budżetu lub funduszy, które przeznacza się na budowę wizerunku przedsiębiorstwa. Ogromna masa wydarzeń kulturalnych, filmów i publikacji jest u nas dotowana. Wiele skandalicznych produkcji dostawało – również w ostatnich latach – dotacje ministerialne. Dlatego pierwszym sitem powinni być urzędnicy. Powinna być przeprowadzana regularnie surowa ocena wszystkich zrealizowanych projektów: na co wydaliśmy publiczne, społeczne pieniądze i co mamy w zamian. Ten i ów „reżyser" nakręcił paszkwil? No to trafia na czarną listę i pieniędzy więcej nie dostanie. Trzeba dokonać selekcji urzędników rozdzielających środki i odciąć „twórców" od źródeł finansowania. Z własnych środków nie dadzą rady. Drugim sitem powinni być odbiorcy. Ktoś cały ten chłam czyta czy ogląda. Zatem konieczna jest większa praca nad świadomością odbiorców – chodzi o szkoły i uczelnie wyższe.

▶ Brzmi dość radykalnie i raczej nierealnie. Wielu polityków i komentatorów uważa, że najlepszym procesem jest pozywanie twórców. Wszystko rozbija się o kwestię naruszenia uczuć religijnych, patriotycznych...

W drastyczniejszych przypadkach oczywiście należy wytaczać „twórcom" procesy sądowe i tłuc po łbach wysokimi grzywnami. Mój dziadek mawiał, że cham rozumie jeden język: bolesne uderzenie po kieszeni. Tylko trzeba zmienić prawo. Wyrzucić te wszystkie dopiski „nie popełnia przestępstwa ten, kto robi X i Y w ramach działalności artystycznej". Prawo powinno być konkretne. Nie wolno i kropka. Ja osobiście staram się pisać zgodnie ze swoją wiedzą i sumieniem. ■

W dniach 7–8 września 2019 r. na terenie kopalni Królowa Luiza w Zabrzu odbędzie się Festiwal Historii Alternatywnej, a miejsce to zmieni się w plan filmowy. Film krótkometrażowy powstający w ramach festiwalu będzie dotyczył kampanii wrześniowej. Tankietka TKS, ciężarówki, samochody z okresu II wojny światowej, rekonstruktorzy – to tylko niektóre z atrakcji. W kluczowym momencie filmu Wojsko Polskie zostanie wsparte w ataku przez TKS-a! To pierwsze w historii użycie tak dużego sprzętu w podziemnych sztolniach. Wykorzystanie przedwojennych planów, wiążące się z przeniesieniem akcji do mrocznych podziemnych chodników kopalni, odróżnia produkcję od wszystkich pozostałych filmów i rekonstrukcji z okresu Kampanii Wrześniowej.

Patronami medialnymi wydarzenia są „Nowe Państwo", „Gazeta Polska", Niezalezna.pl i TV Republika.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl d6f3169021

Marek Kalinowski

Boss szuka celu

Rozpędzony koń z przepięknej okładki może być nieco mylący. Na najnowszym albumie Bruce Springsteen mocno zwolnił. Tym razem zamiast porywających tłumy protest-songów, usłyszymy garść pogrążonych w goryczy, melancholijnych opowieści.

Sprane dżinsy, koszulka w kratę, w ręku elektryczna gitara i ten charakterystyczny nieco zachrypnięty głos śpiewający „Born To Run". Był rok 1975, a utwór pochodził z trzeciej już płyty Bossa. Jednak to dopiero wówczas zaczęła się jego oszałamiająca kariera, otwierająca drzwi na listy przebojów i kolejne kontrakty. To również wtedy ostatecznie ułożył się jego E Street Band, z którym zagrał później swoje największe piosenki. Jaką to miało mieć siłę rażenia, wszyscy mogli się o tym przekonać już pięć lat potem, po wydaniu najbardziej zgranego albumu „Born In The U.S.A".

Dlaczego Boss? To zawsze on był liderem, do niego należało pierwsze i ostatnie zdanie, a także wyłącznie swoim nazwiskiem firmował kolejne projekty. Po latach jego przydomek dorobił się znacznie szerszego kontekstu. Wielokrotnie stawał się przecież liderem głośnych inicjatyw społecznych, co przynosiło legendarne już dzisiaj utwory, jak choćby „Streets Of Philadelphia".

Po 46 latach od rozpoczęcia kariery ukazuje się dziewiętnasta już płyta Springsteena. Nie sposób oderwać oka od okładki. Skąpana w słońcu, rozległa przestrzeń amerykańskiej prerii, nad nią nasycone granatem niebo, z nisko zawieszonymi chmurami, a w centrum niespokojny koń z rozwianą grzywą. Proszę koniecznie obejrzeć tytułowy teledysk „Western Stars", 70-letni dziś Springsteen znowu siedzi za kierownicą swojego pick-upa i ponownie przemierza amerykańską prowincję, zatrzymując się w przydrożnych barach. Z głośników nie dochodzi jednak mocny gitarowy riff, nie słychać rozszalałych dźwięków perkusji – chłopcy z E Street Band od kilku dobrych lat mają wolne. Bruce już nie wykrzykuje zachrypniętym głosem swoich protest-songów, lecz delikatnie nuci kolejne historie, przy wtórze akustycznych gitar i smyczków.

Bruce Springsteen, „Western Stars", Columbia

Płyta jest powrotem do przeszłości, do lat 60. i 70., do słonecznej Kalifornii, do chwil, gdy rozpoczynał karierę, a z radia dobiegały poporkiestrowe przeboje Bacharacha i Campbella. Muzyk pochyla się nad losem rówieśników, ich młodości i przegranego życia. Wśród nich znajdziemy aktora („Western Stars"), któremu zdarzyło się zagrać u boku samego Johna Wayne'a, lecz szczęścia starczyło zaledwie na tysiąc szklaneczek whisky. Jest też włóczęga („Hitch Hikin") i kierowca ciężarówki („The Wayfarer"), którzy nigdy nie zaznali bliskości rodziny, a także były operator dźwigu („Tucson Train") z tęsknotą wypatrujący pociągu. Gdzie jest cel tych życiowych zmagań? – dopytuje Springsteen, a album wymownie współgra z niedawno wydaną biografią i osobistymi występami Bossa na Broadwayu. Jeśli nie dość zasmuciły poprzednie historie, ostatni z utworów, ballada „Moonlight Motel", zostawi nas z morzem łez, choć także z nutą nadziei.

A co z drapieżnym rock'n'rollem? Plotki niosą, że pomysły na nową płytę z E Street Band są już zebrane. Może zatem w przyszłym roku niespokojny rumak z okładki „Western Stars" ponownie ruszy galopem przez amerykańskie bezdroża, a Boss zagra nam pełnią sił? Czas pokaże, na szczęście wiele wskazuje na to, że mimo melancholijnego nastroju Springsteen nie zamierza kończyć kariery. ■

eprasa.pl d6f3169021

Rawa Blues

RAWA BLUES FESTIVAL 39 EDYCJA

THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 11.10.2019 GODZ. 19.30

RICK ESTRIN & THE NIGHTCATS
IREK DUDEK

SPODEK 12.10.2019

JAMES BLOOD ULMER
MEMPHIS BLOOD BLUES BAND FEAT.
VERNON REID

VICTOR WAINWRIGHT
& THE TRAIN

THE DANIEL CASTRO BAND

LINDSAY BEAVER

HANNAH WICKLUND
& THE STEPPIN' STONES

CHRISTINE & THE BLUE DRAGS ★ WILLIE MAE UNIT
BLACKBERRY BROTHERS ★ BLUES JUNKERS

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

Adam Zalewski Trio, Magda Hanausek, Lublin Street Band, Roxana Tutaj & Good Omen
Black Job, Blues Menu, Diapositive, Silesian Hammond Group, Tipsy Drivers, The Storks

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety:www.ticketmaster.pl

KATOWICE · KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

Jedynka Polskie Radio · Trójka Polskie Radio · TVP3 Katowice · NOSPR · Novotel · Business Consulting · Gazeta Polska · Gazeta Polska Katowice · Nowe Państwo · Republika · Blues Blues · jazz forum · Polskie Radio Katowice · eM · onet

eprasa.pl do:5169021

Olga Doleśniak-Harczuk

Życie towarzyskie i uczuciowe Angeli M.

Ona nie wie, czym jest miłość. Jej żywiołem jest polityka. Mężczyzna parający się polityką jest odrażający, ale kobieta ją uprawiająca jest koszmarna. I ten koszmar chciałem ukazać – tak o naturze Ortrudy, postaci z opery „Lohengrin", Richard Wagner pisał w 1852 roku do Ferenca Liszta. 25 lipca ruszy kolejny festiwal wagnerowski w Bayreuth i jak co roku w piątym rzędzie na widowni zasiądzie Angela Merkel. Merkel, która polityką oddycha, polityką się żywi i politykę na swój sposób zrewolucjonizowała. Koszmar Wagnera wygodnie usadowiony w samym sercu jego muzycznej świątyni. Czy Angela Merkel wie, czym jest miłość?

eprasa.pl d6f3169021

FOT. CLEMENS BILAN/PAP, EPA

eprasa.pl d6f3169021

To raczej pytanie do Joachima Sauera niż do biografów kanclerz Niemiec. Żaden z nich nie poświęcił szczególnej uwagi Merkel jako kobiecie. I żaden nie odważył się pójść wagnerowskim tropem, co akurat nie dziwi. Wagner to ciężki temat, chadzanie tropem jego myśli bywa dla Niemców niebezpieczne.

Zaślubiona Bundesrepublice

Abstrahując jednak od pewnych fiksacji najbardziej niemieckiego z Niemców, można odnieść wrażenie, że dla autorów wszelkich publikacji, którzy kiedykolwiek na poważnie zajmowali się Merkel, jej istnienie sprowadza się wyłącznie do roli zwierzęcia politycznego. W przeciwieństwie do Gerharda Schrödera, którego życie osobiste bywało tematem tabloidów, Merkel cieszy się względnym spokojem. Jej biedermeierowski sznyt wyrażający się w każdym geście, stylu, sposobie komunikowania się, w pewnym sensie wymógł na opinii publicznej przekonanie, że Merkel jest zaślubiona wyłącznie polityce, a poza Kanzleramtem i Bundestagiem istnieje połowicznie. Jak ryba wyrzucona na brzeg. I chyba jedynie przez jakieś niebywałe przeoczenie Merkel nigdy nie wyszła do ludu i nie sparafrazowała mowy Elżbiety I Tudor z lutego 1559 roku: „Zaprawdę, aby was zadowolić, połączyłam się już ślubem z jednym małżonkiem, a zwie się on Republiką Federalną Niemiec".

Jej prywatność to chwile rozpięte między posiedzeniami, wizytami, negocjacjami, wakacje gdzieś w Południowym Tyrolu czy w Zatoce Neapolitańskiej, gdzie w końcu może zrzucić garniturek i paradować w ulubionej czapce z daszkiem.

Nawet Gertrud Höhler nieczyniąca tajemnicy ze swojej niechęci do Merkel, elegancko pominęła w swoich książkach wątki osobiste, koncentrując się na Merkel jako polityku i na fenomenie skuteczności jej systemu (tzw. System M), amalgamu politycznego kłusownictwa i abstynencji od wartości. W oczach Höhler (ale nie tylko jej) Merkel jest maszyną do uprawiania polityki, pozbawioną właściwości, zdolną do adaptacji w każdych warunkach, napędzaną żądzą władzy. Jej płeć zdaje się nie grać żadnej roli. O wagnerowskim psychologizowaniu nie ma jednak mowy. Sama Höhler nie należy do kobiet pozbawionych ambicji, do głowy by jej nie przyszło rozliczać Merkel z jej apetytu na władzę i metod jego zaspokajania, posiłkując się argumentem płci.

Dziewczyna za barem

I jest jeszcze książka Ralfa Reutha i Günthera Lachmanna, po której kilka lat temu wielu obiecywało sobie demaskację Merkel. Książka zatytułowana „Pierwsze życie Angeli M." owszem, zrobiła trochę zamieszania, ale jeżeli ktoś oczekiwał rewelacji odsłaniających jakieś nadzwyczajne tajemnice kanclerz, mógł się poczuć rozczarowany. Jest tam zdarty do granic możliwości mit dziewczyny z Ostu, która wychodzi z NRD-owskiej sauny i czując ducha rewolucji, daje się ponieść wichrom historii, a te gnają ją aż do stopni Kanzleramtu. Taka uwspółcześniona wersja Dorotki porwanej przez trąbę powietrzną do krainy Manczkinów. Jest u Reutha i Lachmanna garść informacji o pierwszym, trwającym zaledwie 5 lat małżeństwie młodziutkiej Angeli Kasner (dla przyjaciół „Kasi") z rok starszym kolegą, studentem fizyki Ulrichem Merklem, o którym po latach powie m.in.: „wyszłam za niego, bo małżeństwa szybciej dostawały mieszkania, a poza tym wtedy wszyscy się pobierali". Pierwsze dwa lata tego małżeństwa musiały być całkiem ciekawe. Angela dwa razy w tygodniu stawała za barem klubu fizyka podczas imprez organizowanych przez Ulricha. On dbał o lokalizację i pewnie nagłośnienie, ona sprzedawała drinki własnego pomysłu na bazie moszczu z wiśni i whisky. Dyskotekowa muzyka, rozluźniona atmosfera, pląsający na prowizorycznym parkiecie chłopcy z FDJ, a za barem miksująca wiśnie z cudem zdobytą whisky przyszła kanclerz Niemiec – tych, które dopiero nastaną, a o których na razie nikomu na tej sali się nie śni. Reuth i Lachmann nie wyczerpują tematu, ograniczając się do kilku obrazków ze wspólnych wypadów na wakacje i wyjazdy uczelniane.

O Ulrichu zdecydowanie więcej można się dowiedzieć z wywiadów prasowych, których udzielił. Jedenaście lat temu w rozmowie z „Focusem" Ulrich Merkel zapytany przez dziennikarza, co czuje, widząc na mieście plakaty z byłą żoną, odparł: „Angela żyje dziś w innym świecie a ja pozostałem zwykłym obywatelem. Te plakaty z jej wizerunkiem przed wyborami do Parlamentu Europejskiego nie były szczególnie oryginalne. Ja zresztą nie jestem nawet wyborcą CDU". Opowiadając o życiu z Merkel, Ulrich potwierdził jej słowa o lepszych widokach na mieszkanie dla małżeństw, ale już nie zgodził się z tym, że pobrali się, „bo wszyscy tak robili". A dlaczego się rozstali? „Nie było chemii. Życie, które ona dziś wiedzie, nie byłoby dla mnie. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, mogę tylko powiedzieć: dobrze, że to się rozpadło. Pewnie, że to bolesne zostać opuszczonym. Zwłaszcza że rozstanie przyszło niespodziewanie. Pewnego dnia po prostu spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się z naszego mieszkania. To była jej decyzja i pozostała w niej konsekwentna. Rozstaliśmy się

eprasa.pl d6f3169021

jednak w pokojowy sposób. [...] Nie było czego dzielić. Ona wzięła pralkę, ja zatrzymałem meble. Część z nich mam do dziś". „Odchodząc, zabierz mnie" – śpiewał w 1998 roku w bardzo nastrojowym utworze niezapomniany Grzegorz Ciechowski. Angela nie zabrała Ulricha. Ale wyszła z pralką. Pragmatyczka.

▶ Krótko i konkretnie

U Reutha i Lachmanna poza wątkiem Ulricha pojawiła się wzmianka o tym, że Merkel uwielbia kolor niebieski, że jako nastolatka w towarzystwie uchodziła za typ dobrego kumpla i „od zawsze należała do CDU", czyli do „Klubu Niepocałowanych"(niem. Club der Ungeküssten). Później, już za czasów bujnej kariery politycznej, autorzy książki przypominają, jak kardynał Meisner publicznie krytykował Merkel i jej wybranka, Joachima Sauera, za życie na kocią łapę. Ślub tych dwojga miał miejsce w 1998 roku, w osiemnastym roku związku. Podobno sam Wolfgang Schäuble doradził Merkel ten krok. Reuth i Lachmann między wierszami sprowadzają decyzję o ślubie do pragmatyzmu Merkel, zalegalizowanie związku z Sauerem miało być podyktowane względami wizerunkowymi. CDU jeszcze wtedy zachowywała pozory partii konserwatywnej. Ceremonia była skromna. Tylko Merkel, Sauer i urzędnik stanu cywilnego Berlin-Mitte. A już po wszystkim zawiadomienie na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung": „Pobraliśmy się. Angela Merkel i Joachim Sauer – Berlin, grudzień 1998". Krótko i konkretnie.

▶ Władzoholiczka

Lunatyczka, która się budzi – tak o wspinaniu się Merkel po szczeblach kariery politycznej pisze Gertrud Höhler. O ile jednak u Reutha i Lachmanna Merkel występuje w kostiumie szarej myszki przypadkiem rzuconej w wir politycznych koterii, u Höhler od początku kariery przejawia skłonności autorytarne, z konsekwencją budując pozycję matki chrzestnej. I trzeba przyznać, że ten wizerunek Merkel nawet jeszcze funkcjonował w kręgach jej nieprzychylnych do czasu kryzysu imigracyjnego przełomu lat 2015/2016. Wraz z erozją Systemu M, postępowało zwątpienie w przywódcze zdolności Merkel, z wyrachowanej czcicielki Katarzyny II stała się niepewną siebie Angelą z Templina. Kimś, kto podejmuje decyzje pod wpływem emocji. Po wyborach do Bundestagu we wrześniu 2017 roku i impasie rozmów koalicyjnych, zaczęto spekulować coraz śmielej o schyłku ery Merkel. Oddanie sterów CDU w ręce Annegret Kramp-Karrenbauer pod koniec 2018 roku miało wyciszyć nastroje w samej partii, ale i zasygnalizować niemieckiemu społeczeństwu gotowość do zmian. Jakich? Na to pytanie do dziś nie ma odpowiedzi, ale i nikt nie potrafił sprecyzować oczekiwań. Faktem jest natomiast, że mizerne wyniki partii ludowych w wyborach przy jednoczesnym sukcesie AfD zapaliły czerwone lampki w głowach chadeków i socjaldemokratów. Niemcy dojrzeli do zmian. Scena polityczna stała się areną, na której zastały porządek starych partii ścierał się z głodnymi sukcesu lwami Alternatywy dla Niemiec. Zabieg z wyborem nowej szefowej CDU był natury kosmetycznej, a nie decydującej, tak kupuje się czas. Przez kilka pierwszych miesięcy po hamburskim zjeździe chadeków zakończonym zmianą obsady najważniejszego stanowiska w partii, media i naród zamiast błędami polityki Merkel zajmowali się nową liderką CDU. AKK zbierała dobre recenzje, chwalono ją z lewa i z prawa. A Merkel mogła odpocząć. Odprężenie trwało do połowy 2018 roku, postępujące kłopoty w wielkiej koalicji, spadek zaufania do CDU, zielona fala niebezpiecznie podmywająca fundament Kanzleramtu z jednej strony i rosnąca w siłę Alternatywa dla Niemiec z drugiej zrobiły swoje. Dziś to AKK zbiera cięgi za lata zaniedbań i błędów rządów wielkiej koalicji, przeprasza za stare grzechy CDU, czasem za lapsusy, które jej samej się od czasu do czasu zdarzają. Mówiąc wprost: Annegret przydzielono rolę ofiary dla potwora.

Niemcy zapytani w sondzie w połowie czerwca tego roku o to, czy woleliby kanclerza z Partii Zielonych (Roberta Habecka) czy z CDU (AKK), wskazali w 52 proc. na Zielonych, AKK wylądowała na drugim miejscu z 24 proc. Euforia ustąpiła miejsca zniecierpliwieniu, ale nie tylko o to chodzi. W marcu 2018 roku dwie trzecie Niemców zażyczyło sobie kolejnej kadencji Merkel w Kanzleramcie, w maju zaś ARD podało wyniki sondażu poparcia dla polityków rządu federalnego, Merkel zdobyła w nim 55 proc., zajmując pierwsze miejsce. Jak widać ani rezygnacja z szefowania CDU, ani liczne porażki w polityce wewnętrznej i zewnętrznej nie ostudziły sympatii sporej części niemieckiego społeczeństwa dla Merkel.

Dziewczyna z Ostu, podopieczna Kohla, ojcobójczyni, liderka, „Pani Europa", matka, dobra samarytanka – każde z jej wcieleń mocno przeorało mentalność samych Niemców. Jeżeli Merkel wychodzi drzwiami, to można być pewnym, że za chwilę wróci silniejsza oknem. I ten numer za każdym razem się udaje. Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Wagnerowi łatwo było diagnozować germańskie heroiny i intrygantki, żadnej nie spotkał w realnym życiu. Żył wyobrażeniem o nich. Merkel jest z krwi i kości, doprowadziłaby go do szału. A potem zajęła jego miejsce. ■

eprasa.pl d6f3169021

Avigdor Lieberman (z lewej) i Benjamin Netanjahu

Antoni Rybczyński

Brutus z Kiszyniowa, czyli „gra o tron" po izraelsku

Kim jest polityk, który wywołał największy od lat kryzys polityczny w Państwie Żydowskim i wbił nóż w plecy Benjaminowi Netanjahu? To jego wieloletni sojusznik, lider partii Yisrael Beitenu, Avigdor Lieberman. Wszystko wskazuje na to, że podjął grę o wyższą stawkę niż tylko bycie jednym z mniejszych koalicjantów Bibiego.

Netanjahu już po raz piąty miał stanąć na czele rządu, mimo kierowanych pod jego adresem trzech poważnych zarzutów o korupcję. W wyborach 9 kwietnia Likud dostał 35 ze 120 miejsc w Knesecie. Tyle samo dostał opozycyjny centrowy blok Kahol Lavan (Niebiesko-Biali). Ale to Netanjahu miał większe możliwości koalicyjne. Prawica, czyli Likud, wraz z sojuszniczymi, prawicowymi i ultraortodoksyjnymi formacjami dysponowały w parlamencie łącznie 65 miejscami w 120-osobowym Knesecie. Więc prezydent misję sformowania rządu powierzył Netanjahu. Ku zaskoczeniu wszystkich, a najbardziej chyba jego własnemu, szef Likudu nie zdołał znaleźć większości. Okazało się bowiem, że nie może liczyć na kluczowe pięć mandatów należące do odwołującej się do imigrantów z byłego ZSRS partii Yisrael Beitenu (Nasz Dom Izrael). Człowiekiem, który wbił nóż w plecy Netanjahu, okazał się jego wieloletni sojusznik, lider partii Yisrael Beitenu, Avigdor Lieberman. Wszystko wskazuje na to, że od początku nie planował on wejścia do rządu z ultraortodoksami, że podjął grę o wyższą stawkę niż tylko bycie jednym z mniejszych koalicjantów Netanjahu.

W efekcie pierwszy raz w 71-letniej historii Państwa Żydowskiego, po wyborach do Knesetu nie udało się powołać rządu. 9 kwietnia Izraelczycy wybrali nowy parlament, a już pięć miesięcy później, 17 września, znów pójdą do urn. Gdy bowiem pojawiło się zagrożenie, że prezydent powierzy misję budowy rządu liderowi opozycji Benny'emu Gantzowi, Netanjahu zdecydował się na ucieczkę do przodu. W nocy ze środy na czwartek (29/30 maja) Kneset przyjął uchwałę o samorozwiązaniu (za 74, przeciwko 45). Ta nowa kampania będzie inna niż wszystkie wcześniejsze. Dotąd główna partia prawicy walczyła z główną partią lewicy. Tym razem jednak premier, który stoi na czele Likudu (35 mandatów), głównego rywala widzi w szefie małej partii, i to na prawicy, która ma siedem razy mniej miejsc w Knesecie. Dlaczego wszystko sprowadza się do wyniku Yisrael Beitenu, a Netanjahu nawet nie przejmuje się Niebiesko-Białymi? Bo wie, że z tymi ostatnimi wygra, a partią decydującą o tym, kto ma większość, jest formacja Liebermana, potencjalnego koalicjanta Niebiesko-Białych. Jednocześnie ważne dla Bibiego jest, żeby dobry wynik uzyskali prawicowi drobni koalicjanci. Co najważniejsze, okazuje się, że języczkiem u wagi będą wyborcy wywodzący się z byłego Związku Sowieckiego. Netanjahu chce ich odbić najbardziej prorosyjskiemu politykowi w Izraelu, czyli Liebermanowi. Ale to oznaczać może ustępstwa Netanjahu wobec Rosji. Władimir Putin może na to wszystko patrzeć z satysfakcją. Jeśli wygra mimo wszystko Netanjahu i uzyska większość, zachowane zostaną dobre relacje Moskwy z Izraelem. Jeśli znów okaże się, że Netanjahu jest zależny od Liebermana, otworzy się droga do jeszcze większych wpływów rosyjskich w Państwie Żydowskim.

▶ Krótka droga od triumfu do klęski

29 maja Benjamin Netanjahu, 50 dni po wygłoszeniu najbardziej triumfalnej mowy w karierze, po pokonaniu Niebiesko-Białych dowodzonych przez trzech byłych szefów sztabu, po zdobyciu komfortowej liczby 35 mandatów, musiał podjąć decyzję o kolejnych, przedterminowych wyborach. Po powierzeniu mu misji stworzenia rządu przez prezydenta Reuvena Rivlina, Bibi miał czas do 29 maja. Ostatnie trzy doby przed upłynięciem tego terminu lider Likudu zapamięta pewnie jako najgorszy moment kariery, od przegranej w wyborach 1999 roku. Największym zagrożeniem było to, że Rivlin powierzy misję budowy rządu innemu członkowi Knesetu. Zagrożeniem nie był nawet lider Niebiesko-Białych Benny Gantz, lecz raczej inny polityk Likudu. Taki rząd powstałby błyskawicznie, bo Niebiesko-Biali od początku mówili, że mogą wejść w koalicję z Likudem, ale tylko pod warunkiem odsunięcia od władzy Netanjahu. Kiedy ten zrozumiał, że nie da się połączyć w jednej koalicji ultraortodoksów z Liebermanem, pozostały mu tylko dwie opcje: rząd mniejszościowy lub rozwiązanie parlamentu.

Do ostatniej chwili ludzie Bibiego próbowali kupić deputowanych z innych partii, żeby zastosować wariant awaryjny i zamiast przegłosować samorozwiązanie, zdobyć jednorazowo większość dla powołania rządu mniejszościowego – Netanjahu zgromadził 60 mandatów w 120-osobowym Knesecie. Tak naprawdę wystarczyłoby, żeby jeden deputowany wstrzymał się od głosu i rząd zostałby powołany stosunkiem 60:59. Ale nawet tego jednego głosu ludzie Bibiego nie znaleźli. W nocy z 29 na 30 maja Kneset podjął bezprecedensową decyzję i rozwiązał się zaledwie miesiąc po zaprzysiężeniu. To akurat był taktyczny triumf Netanjahu. Za głosowało 74 deputowanych, w tym 16 z ultraortodoksyjnych partii Shas i Yahadut HaTorah, które wcześniej obiecały Netanjahu, że poprą samorozwiązanie.

Zaraz po głosowaniu szef Shas, Aryeh Deri, wygłosił emocjonalne przemówienie, w którym przeprosił Netanjahu. Za co? Za to, że przekonywał wciąż premiera, iż Lieberman ostatecznie zgodzi się wejść do koalicji. „Myliłem się w tym, a premier miał rację. Wygląda na to, że nie znam Liebermana wystarczająco dobrze" – powiedział Deri. Tej samej nocy zacieśnił się sojusz Netanjahu z ultraortodoksami. Premier i lider Likudu nie zapomni im tego, że choć w wyborach zdobyli bardzo duże jak na nich poparcie (16 mandatów), to jednak dotrzymali słowa, i gdy okazało się, że Lieberman

FOT. JIM HOLLANDER/PAP/EPA

eprasa.pl d6f3169021

nie zapewni większości parlamentarnej koalicji prawicy, zagłosowali za rozwiązaniem Knesetu. Uratowali fotel premiera (na razie) Bibiemu, choć ryzykują straty w przedterminowych wyborach.

W obecnej sytuacji, gdy Liberman odrzuca sojusz z ultraortodoksami, zaś Niebiesko-Biali nie chcą słyszeć o rozmowach z Likudem, dopóki partią kieruje Netanjahu, sojusz Bibiego ze skrajną prawicą jest nieunikniony. Ultraortodoksi nie mogą bowiem rządzić z Liebermanem ani z Niebiesko-Białymi, dopóki wiceszefem jest tam Yair Lapid, od lat czołowy orędownik walki o świeckość państwa. Szefowie Shas i Yahadut HaTorah uważnie obserwują każdy krok Liebermana i koordynują działania wyborcze z Netanjahu. Ultraortodoksi uważają, że Lieberman chce ich wykorzystać jedynie w celu osłabienia Netanjahu. 11 czerwca partia Shas wydała oświadczenie: „Lieberman przez dekady był uważany za bliskiego przyjaciela ultraortodoksyjnych frakcji, głównie Shas, współpracując w setkach politycznych zagadnień, na szczeblu lokalnym i narodowym. Lieberman nie jest przeciwko ultraortodoksom. On po prostu jest człowiekiem bez zasad". Szykuje się krwawa polityczna wojna Likudu i jego religijnych sojuszników z Naszym Domem Izrael.

„Seryjny morderca prawicowych rządów"

Podczas koalicyjnych rozmów Lieberman żądał przyjęcia ustawy kładącej kres zwolnieniu uczniów szkół religijnych z obowiązku służby wojskowej. Netanjahu nie mógł się na to zgodzić, bo straciłby wsparcie partii religijnych (16 mandatów). Ale bez partii Liebermana (5 miejsc) też nie miał większości. Zaraz po rozwiązaniu Knesetu Netanjahu w transmitowanym przez telewizję wystąpieniu ostro zaatakował Liebermana: „Naruszył obietnicę daną swym wyborcom. Przez niego nie powstał prawicowy i stabilny rząd. Podczas rozmów dostał wszystko, co chciał [...]. To już drugi raz w ostatnim czasie, jak Lieberman niszczy prawicowy rząd. To seryjny morderca prawicowych rządów". Bibi ma prawo być wściekły i zdradzony. Przed kwietniowymi wyborami Lieberman stał na skraju przepaści i gdyby nie Netanjahu, zapewne spadłby w otchłań politycznego niebytu. Likud jednak popierał Yisrael Beitenu – nic dziwnego, skoro Lieberman zaklinał się, że wejdzie w koalicję. Po wyborach jednak uzależnił wejście do rządu od przyjęcia ustawy przewidującej powoływanie do wojska ortodoksyjnych Żydów. Bibi nie mógł się na to zgodzić.

Trzy dni przed samorozwiązaniem Knesetu, 27 maja Netanjahu ostatecznie pogodził się z tym, że Lieberman nie wejdzie do koalicji. W tym właśnie dniu członkowie parlamentarnej frakcji Likudu dostali SMS z jasnym przesłaniem: „Rusza sezon na Liebermana". To inna sytuacja niż podczas ostatniej kampanii, gdy Likud starał się nie wkraczać na terytorium Yisrael Beitenu. Teraz wygląda to zupełnie inaczej. Netanjahu wyznaczył członka Komitetu Centralnego Likudu, mecenasa Ariela Bulshteina na swego „specjalnego doradcę do spraw rosyjskich imigrantów". Partia zaczęła też wydawać komunikaty i umieszczać w mediach społecznościowych wpisy w języku rosyjskim. Początek dał syn premiera, Yair Netanjahu, który 29 maja napisał po rosyjsku tweeta: „Moi bracia ze Związku Sowieckiego, Liberman pluje na was. Likud jest waszym domem".

Koordynator koalicji z ramienia Likudu, Miki Zohar, zapowiedział, że partia będzie prowadziła intensywną kampanię skierowaną do rosyjskojęzycznego elektoratu. „Imigranci, którzy przyjechali z krajów byłego Związku Sowieckiego, to mądra, inteligentna społeczność. Wiedzą, że naprawdę liczy się to, kto będzie premierem, a nie ta czy inna partia. Lieberman poszedł w lewo, podczas gdy my pracujemy nad tym, żeby premierem był Benjamin Netanjahu. Jest on bardzo popularny wśród rosyjskojęzycznych, więc jestem pewien, że podejmą słuszną decyzję i przyjdą do nas. Nasza partia już ma kilku przedstawicieli tej społeczności, takich jak spiker Knesetu Yuli Edelstein czy minister Ze'ev Elkin, i możliwe że jeden lub nawet dwóch więcej się do nas przyłączy". Eli Hazan, dyrektor departamentu spraw zagranicznych Likudu, jest pewien, że kampania skierowana do rosyjskojęzycznych wyborców odniesie sukces: „Ważne, żeby pamiętać, iż Likud zrobił bardzo dużo dla tych

LIEBERMAN UCHODZI ZA NAJWIĘKSZEGO PRZYJACIELA MOSKWY. PO SFAŁSZOWANYCH WYBORACH DO DUMY W 2011 ROKU BYŁ PIERWSZYM ZAGRANICZNYM POLITYKIEM, KTÓRY POSPIESZYŁ Z OCENĄ, ŻE BYŁY ONE „ABSOLUTNIE UCZCIWE, WOLNE I DEMOKRATYCZNE".

eprasa.pl d6f3169021

imigrantów, poczynając od czasów premiera Menachema Begina po dzień dzisiejszy".

Elementem strategii Likudu jest podkreślanie, że apel Liebermana z 16 czerwca o sformowanie rządu jedności narodowej przez Likud i Niebiesko-Białych to jasny dowód, że jest „lewicowcem". Taką narrację przyjęły wszystkie sprzyjające Netanjahu media i profile w mediach społecznościowych. Z otoczenia premiera dobiegają głosy, że jest on przekonany, iż Lieberman od początku spiskował, nie chciał tak naprawdę koalicji, bo chciał doprowadzić do utraty stanowiska szefa rządu przez Netanjahu. Lider Likudu jest też przekonany, że gdyby nie doprowadził do rozwiązania parlamentu, misję sformowania rządu dostałby ktoś z opozycji – i miałby wtedy wsparcie Liebermana. Teraz Netanjahu zrobi wszystko, by zniszczyć Liebermana. Tak jak to zrobił przed wyborami kwietniowymi z Naftalim Bennettem, który powołał własną partię Nowa Prawica, ale ku wielkiemu zaskoczeniu nie przekroczył progu wyborczego. Teraz Likud wyda fortunę na pozyskanie głosów imigrantów z byłego ZSRS, aby osłabić Liebermana, a nawet uniemożliwić mu wejście do Knesetu. Netanjahu planuje zainwestowanie co najmniej 15 mln szekli (4 mld dolarów) z partyjnej kasy Likudu w zniszczenie Liebermana – poprzez przejęcie głosów imigrantów. Netanjahu wie, że jeśli zniszczy Liebermana, jego jedynymi potencjalnymi koalicjantami po 17 września będą partie ultraortodoksyjne i skrajnie prawicowe. Musi więc zadbać o to, by obóz ultraortodoksyjny zachował stan posiadania (16 mandatów), a nawet go powiększył. Również inny koalicjant, czyli Zjednoczona Prawica, powinna utrzymać co najmniej 5 mandatów. To łącznie 21 mandatów sojuszników. Więc Likud musi zdobyć gdzieś brakujące 5 mandatów. Akurat tyle ma Yisrael Beitenu.

▶ Nasz Dom Izrael. A może Rosja?

Póki co Lieberman niespecjalnie się tego obawia. Broniąc sprawy powoływania ortodoksów do armii, zyskał w oczach rodaków. Zaraz po rozwiązaniu Knesetu sondaże poszły ostro w górę i dają Yisrael Beitenu nawet 9 mandatów (w kwietniu zdobyli 5). Ostatni zwrot Netanjahu ku religijnym radykałom i rasistom nie spodobał się wielu „Rosjanom", jak określa się w Izraelu społeczność imigrantów z byłego Związku Sowieckiego. W całym kraju wisiały plakaty, na których Netanjahu towarzyszy lider partii Shas, Aryeh Deri, znany z ataków na rosyjskojęzycznych Izraelczyków. Oburzenie wywołało jego stwierdzenie, że imigranci z byłego ZSRS przyjeżdżają do Izraela, „żeby jeździć w soboty samochodami i jeść wieprzowinę". Tymczasem Lieberman jest pewny swego. 15 czerwca w wywiadzie dla telewizji Channel 13 oskarżył Netanjahu i Gantza o układanie się z partiami religijnej prawicy. I ogłosił, że zrobi wszystko, by powstał rząd bez udziału ultraortodoksów. Lieberman wie, co robi. Wielu prawicowych wyborców ma dość specjalnego traktowania ultraortodoksów, a sondaże pokazują, że większość elektoratu z zadowoleniem przyjęłaby rząd jedności narodowej. 17 czerwca rosyjskojęzyczna strona partii Yisrael Beitenu zamieściła wskazujący na wzrost poparcia dla Yisrael Beitenu sondaż przeprowadzony przez portal Newsru po tym, jak Lieberman ogłosił, że po najbliższych wyborach jego partia będzie dążyła do zbudowania rządu jedności Likudu i Niebiesko-Białych bez ultraortodoksów. To jednak jest wyzwanie rzucone Netanjahu – wszak Kahol Lavan jasno mówią: „Likud tak, Bibi nie". Lieberman już zdecydował, że w tej kampanii skupi się na kwestiach religii i państwa, na eskalacji konfliktu z ultraortodoksami. Z wewnętrznych sondaży wynika, że Yisrael Beitenu zyskuje na takim temacie walki politycznej, mobilizując zupełnie nowych wyborców. Zyskuje też w starciu z Netanjahu, którego opinia publiczna postrzega jako polityka dającego ultraortodoksom przywileje i władzę, jakich jeszcze religijna prawica w Izraelu nie posiadała. Lieberman wie, że wielu Izraelczyków na lewicy i na prawicy jednoczy wrogość do ultraortodoksów i jest to warte nawet co najmniej 10 miejsc w Knesecie.

Kim jest polityk, który wywołał największy od lat kryzys polityczny w Państwie Żydowskim? Avigdor Lieberman urodził się w sowieckim Kiszyniowie. Jego ojciec Lew był pisarzem, czerwonoarmistą, zesłańcem (7 lat na Syberii za Stalina). Do Izraela 20-letni Lieberman przyjechał w 1978 roku. Na wczesnym etapie politycznej działalności był związany z partią Kach założoną przez znanego radykała religijnego i żydowskiego rasistę rabina Meira Kahane (ugrupowanie uznano później za terrorystyczne). Od 1988 roku Lieberman zaczął współpracować z Netanjahu, był szefem jego biura premiera (1996–1997). W 1999 roku założył własną partię Yisrael Beiteinu (Nasz Dom Izrael), której prawicowy program szybko zyskał poparcie wśród rosyjskojęzycznych Żydów. Ugrupowanie skupiało się na kwestiach narodowych i przyjęło twardy kurs wobec palestyńskich i izraelskich Arabów, wspierając za to osadnictwo żydowskie. W wyborach 1999 roku Yisrael Beitenu zdobyła 4 mandaty. W 2003 roku partia Liebermana poszła do wyborów w ramach nacjonalistycznej koalicji Związek Narodowy. Lista zdobyła 5,5 proc. głosów i 7 mandatów (5. miejsce w wyborach). W 2006 roku partia Liebermana startowała samodzielnie. To był dobry ruch – dostała

eprasa.pl d6f3169021

11 mandatów, stając się drugą po Likudzie partią na prawicy. Trzy lata później było jeszcze lepiej. W 2009 roku partia ta uzyskała najlepszy wynik w historii: 11,7 proc. głosów, 15 mandatów. Po wyborach 2013 roku Yisrael Beitenu była trzecią siłą w parlamencie i kluczowym członkiem rządzącej prawicowej koalicji. Co ważne, właściwie w każdej politycznej konfiguracji Yisrael Beitenu uczestniczył w rządach. Wystarczy zresztą spojrzeć na rządową karierę jego lidera. Lieberman był już ministrem infrastruktury (2001–2002), ministrem transportu (2003–2004), wicepremierem (2006–2008, 2009–2012), ministrem spraw strategicznych (2006–2008), ministrem spraw zagranicznych (2009–2012, 2013–2015) i ministrem obrony (2016–2018). Szczególnym osiągnięciem było uzyskanie tego ostatniego stanowiska, biorąc pod uwagę, że na ogół dostaje się ono doświadczonym generałom z IDF. Podał się do dymisji 14 listopada 2018 roku z powodu rozejmu w Gazie, który nazwał „kapitulacją przed terrorem". Wydawało się, że może mieć kłopot z wejściem do Knesetu – jednak w kwietniu jego partia zdobyła 5 mandatów. Jak się okazało – najcenniejsze pięć mandatów.

Kreml może tylko zyskać

Lieberman uchodzi za największego przyjaciela Moskwy. Po sfałszowanych wyborach do Dumy w 2011 roku był pierwszym zagranicznym politykiem, który pospieszył z oceną, że były one „absolutnie uczciwe, wolne i demokratyczne". Lieberman i jego partia akceptują aneksję Krymu. Jako minister obrony Lieberman powiedział rosyjskim mediom w maju 2018 roku, że nie zgadza się z zachodnią dezaprobatą dla rosyjskich działań w Syrii czy z zachodnimi sankcjami przeciwko Rosji. Krytycy Liebermana mówią wręcz, że powinien zmienić nazwę swojej partii na Russia Beitenu, czyli Naszym Domem jest Rosja. Biorąc pod uwagę, że partia Liebermana opiera się głównie na poparciu rosyjskojęzycznych wyborców (mimo obecnego wyjścia Liebermana do szerszego elektoratu z hasłem walki z przywilejami ultraortodoksów), we wrześniowych wyborach to właśnie imigranci z byłego ZSRS mogą okazać się przysłowiowym języczkiem u wagi i rozstrzygnąć o losach Izraela. Jest ich około 1,2 mln i stanowią 16 proc. elektoratu. Wzmocnili nowy typ izraelskiego nacjonalizmu: świecki nacjonalizm. Ma on inny charakter niż ultraortodoksyjny nacjonalizm religijny. Choć rosyjskojęzyczni są liberałami w takich kwestiach, jak na przykład relacje państwo–religia, nie głosują na lewicę. Najważniejszym kryterium politycznego wyboru stał się bowiem dla nich stosunek do kwestii palestyńskiej i ogólnie arabskiej.

Rosyjskojęzyczna społeczność w Izraelu odgrywa ważną rolę w polityce Moskwy wobec tego państwa. Rosyjski jest trzecim, po hebrajskim i arabskim, językiem w Izraelu. To trzecia pod względem wielkości mniejszość rosyjskojęzyczna poza byłym ZSRS. Co ważne, wielu mieszkańców Izraela pochodzenia rosyjskiego nadal utrzymuje relacje z byłą ojczyzną, choćby posiadając krewnych w Rosji i korzystając z rosyjskojęzycznych mediów, także tych kontrolowanych przez rosyjskie władze. Zresztą znacząca część tych imigrantów (ponad 100 tys.) głosuje w wyborach rosyjskich, w lokalach wyborczych w Izraelu. Moskwa postrzega rosyjskojęzyczną społeczność jako narzędzie wpływu na politykę izraelską. W czerwcu 2016 roku rozszerzyła przyznawanie emerytur na 100 tys. Żydów, którzy opuścili Związek Sowiecki przed 1992 rokiem, tracąc przy tym rosyjskie (sowieckie) obywatelstwo. Mimo symbolicznego wymiaru tej decyzji (średnio 200 dolarów miesięcznie) rosyjskojęzyczni Izraelczycy byli bardzo zadowoleni z tej decyzji. W styczniu 2018 roku Putin podpisał dekret prezydencki o przyznaniu emerytur (wychodzi średnio co prawda zaledwie 17 dolarów miesięcznie) wojennym weteranom sowieckim żyjącym w Izraelu. Zresztą warto pamiętać, że w lipcu 2017 roku Kneset przyjął prawo deklarujące, że Izrael, podobnie jak Rosja, Dzień Zwycięstwa będzie obchodzić 9 maja, a nie 8 maja, jak zdecydowana większość innych państw na świecie (w tym USA).

Władimir Putin, z którym zresztą Bibi ma naprawdę serdeczne relacje, jest wśród Izraelczyków popularny i postrzegany jako przyjaciel Państwa Żydowskiego – nawet mimo współpracy Rosji z Iranem w wojnie syryjskiej. Rosja wchodząc otwarcie do wojny syryjskiej jesienią 2015 roku, zadbała o to, by nie mieć tu z Państwem Żydowskim żadnych problemów. Moskwa ze zrozumieniem przyjęła politykę izraelską, która polega na powstrzymywaniu ekspansji militarnej Iranu i Hezbollahu w Syrii. W grudniu 2017 roku Avi Dichter, członek rządzącego Likudu, szef komisji spraw zagranicznych i obrony Knesetu, mówił agencji Interfax: „Rosja nie jest naszym wrogiem i nie mamy problemu z jej stałą obecnością wojskową w Syrii". Ten były dyrektor Szin Bet określił Rosję jako „supermocarstwo i sojusznika" chcącego zająć strategiczną pozycję w regionie – co Izrael przyjmuje z zadowoleniem. Jeśli Netanjahu chce zdobyć poparcie społeczności „Rosjan" dla Likudu, musi okazać się bardziej prokremlowski niż Lieberman. Jak bardzo wyborcze kalkulacje Netanjahu przełożą się na politykę zagraniczną Izraela, relacje z Rosją, a co za tym idzie, sytuację geopolityczną na Bliskim Wschodzie? ■

eprasa.pl d6f3169021

Hanna Shen

Hongkończycy walczą o wolność

Kontrowersyjna ustawa o ekstradycji, którą chciały wprowadzić władze w Hongkongu, doprowadziła do największych w historii byłej kolonii brytyjskiej protestów na całym świecie. Młodzi rozumieją, że nowe prawo mogłoby umożliwić wydawanie Pekinowi osób o opozycyjnych poglądach wobec ChRL, i pokazali światu niesamowitą odwagę i determinację w walce o wolność. To jednak nie koniec tej batalii młodych, antykomunistycznie nastawionych i wierzących w Boga Hongkończyków.

Pretekstem do wprowadzenia w Hongkongu ustawy o ekstradycji była zbrodnia sprzed ponad roku popełniona na Tajwanie. Z podróży po wyspie nie wróciła w lutym 2018 roku 21-letnia mieszkanka Hongkongu. Powrócił za to jej chłopak, 20-letni Chan Tong-kai. Zatrzymany już w Hongkongu przyznał, że zamordował dziewczynę, a walizkę z ciałem porzucił blisko jednej stacji metra w Tajpej. Chan nie mógł być sprowadzony na Tajwan, bo wyspa i Hongkong nie mają podpisanej umowy o ekstradycji. Władze Hongkongu ogłosiły, że aby taka sytuacja się nie powtórzyła, powstanie prawo, które ułatwi ekstradycje na Tajwan, do Makao i Chin. I właśnie możliwość wydawania przestępców do tego ostatniego państwa wywołała ogromne kontrowersje. Hongkończycy bardzo dobrze rozumieją, że ChRL to kraj, w którym dochodzi do arbitralnych aresztowań, nie ma niezależnych sądów i stosowane są tortury podczas śledztw.

Carrie Lam, szefowa administracji Hongkongu, zapewniała obywateli, że sądy w Hongkongu nie będę automatycznie wydawały każdej osoby wskazanej przez władze chińskie, będą rozpatrywać wszystkie zgłoszenia osobno i że chodzi wyłącznie o przestępstwa kryminalne. Jednak Hongkończycy wiedzą, że Pekin może bardzo łatwo spreparować dowody

FOT. HANNA SHEN

eprasa.pl d6f3169021

świadczące o występkach kryminalnych osób, które KPCh uznaje za swoich przeciwników politycznych. Nowe prawo byłoby ogromnym zagrożeniem dla hongkońskiej opozycji często krytykującej Pekin. Ale o niebezpieczeństwie mówią też cudzoziemcy, m.in. dziennikarze, którzy krytykują KPCh za łamanie praw człowieka. Po uchwaleniu ustawy o ekstradycji również oni, gdyby znaleźli się na terytorium Hongkongu, mogliby być narażeni na wydalenie do komunistycznych Chin.

W sprawie nowego prawa zabrały głos inne państwa. „Stany Zjednoczone podzielają obawy wielu osób w Hongkongu, że brak zabezpieczeń proceduralnych w proponowanych zmianach może podważyć autonomię Hongkongu i negatywnie wpłynąć na długotrwałą ochronę praw człowieka, podstawowych wolności i wartości demokratycznych na tym terytorium" – stwierdziła rzeczniczka Departament Stanu USA, Morgan Ortagus. A w wydanym wspólnie oświadczeniu rządów Wielkiej Brytanii i Kanady czytamy m.in.: „Jesteśmy zaniepokojeni potencjalnym wpływem tej propozycji na dużą liczbę obywateli brytyjskich i kanadyjskich w Hongkongu, na zaufanie przedsiębiorców i międzynarodową reputację Hongkongu". Londyn i Ottawa uznały propozycje nowego prawa jako przykład „dalszej erozji" doktryny „jedno państwo, dwa systemy", której Pekin zobowiązał się przestrzegać w byłej kolonii brytyjskiej.

▶ Chiński Hongkong – coraz mniej wolności

Od 1997 roku Hongkong jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Przejmując byłą kolonię brytyjską, Pekin obiecał utrzymanie swobód „kapitalistycznych" do 2047 roku, pod hasłem „Jeden kraj, dwa systemy". Jednak z roku na roku Hongkończycy odczuwają, jak ich autonomia słabnie i coraz częściej okazują na ulicach swoje niezadowolenie z rządów komunistów, które przyniosły korupcję na najwyższych szczeblach władzy, powiększające się koszty utrzymania, rosnącą (a niechcianą) emigrację i ograniczenia swobód obywatelskich. Równocześnie coraz więcej obywateli Hongkongu sprzeciwiających się rosnącej kontroli komunistycznych władz Chin trafia do więzień, i to nie tylko na terenie Hongkongu.

W 2016 roku bardzo głośna była sprawa zaginięcia pięciu hongkońskich wydawców publikujących książki krytykujące komunistyczne władze w Pekinie. Z czasem okazało się, że zostali porwani przez służby bezpieczeństwa Chin. Na terenie ChRL zmuszano ich do publicznego przyznania się do winy, a nagrania wyemitowała chińska telewizja.

Jednym z porwanych wydawców był urodzony w Chinach Gui Minhai, który posiada także obywatelstwo Szwecji. Na nagraniu widać, jak przyznaje się do spowodowania 12 lat temu w chińskim mieście Ningbo wypadku samochodowego. Zginęła studentka, a winny tragedii Gui miał uciec z ChRL-u do Hongkongu. Po latach wydawcę miały ruszyć wyrzuty sumienia i oddał się w ręce władz chińskich. Zrobił to, o dziwo, będąc na wakacjach w Tajlandii i nie zostawiając żadnego śladu przekroczenia granicy z Chinami. Rodzina, znajomi Gui Minhaia, a także relacje świadków zdarzeń w Tajlandii nie pozostawiają złudzeń, że było to porwanie. Rodzina Guia nie jest w stanie zweryfikować autentyczności historii o wypadku.

W momencie gdy Gui Minhai został porwany, pracował nad książką poświęconą chińskiemu prezydentowi Xi Jinpingowi i sześciu kobietom, z którymi Xi był związany. Do tej pory wszystkie pozycje poświęcone komunistycznym elitom w Chinach i wydane przez Guia cieszyły się popularnością nie tylko w Hongkongu. Kupowali je także chińscy turyści odwiedzający byłą brytyjską kolonię.

Gui cały czas jest więziony w Chinach, a o jego uwolnienie walczy jego córka Angela Gui.

▶ Hongkończycy są źli, bo nie lubią komunizmu

W listopadzie 2018 roku na konferencji dla nauczycieli w mieście Chengdu chiński generał Xu Yan szczerze powiedział, jaki problem z Hongkongiem mają komuniści.

Stwierdził m.in., że Pekin popełnił błąd, obiecując Hongkongowi, że po 1997 roku system w byłej brytyjskiej kolonii nie ulegnie zmianie. Krótko mówiąc – „jedno państwo dwa systemy" trzeba było rozmontować dawno temu. Generał przyznał, że on i inni wojskowi z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW) jeszcze przed 1997 rokiem dokładnie badali społeczeństwo Hongkongu i doszli do wniosku, że „jego podwaliny są duże gorsze niż te w Chinach i na Tajwanie", a za chaos (chodzi o protesty), jaki wprowadzają młodzi w Hongkongu, odpowiedzialni są ich rodzice, bo są źli. Źli są natomiast dlatego, że wielu ze starszego pokolenia obywateli Hongkongu uciekło przed komunistami z Chin i nienawidzą komunizmu. Według generała zły jest także system edukacji w Hongkongu, bo doprowadził do tego, że coraz więcej młodych Hongkończyków chce niepodległości dla swojego regionu.

▶ Wolni, antykomunistyczni, wierzący w Boga

Generał Xu Yan mówił o nienawidzącym komunizmu starszym pokoleniu Hongkończyków, ale to do-

eprasa.pl d6f3169021

piero młode pokolenie wyszło na ulice, protestując przeciwko zapędom chińskich komunistów.

A KPCh okłamała Hongkończyków na przykład w kwestii wyborów. W 2014 roku mieszkańcy Hongkongu domagali się powszechnych i wolnych wyborów szefa administracji regionu. Do tej pory był on wskazywany przez Komitet Elekcyjny, około 1200 osób związanych z takimi sferami, jak biznes, przemysł, związki zawodowe, organizacje pozarządowe czy przedstawicieli organizacji religijnych. W rzeczywistości najsilniejsi w tej grupie byli magnaci biznesowi. Wskazany lider miał chronić ich interesy, ale przede wszystkim musiał być zaakceptowany przez Pekin. Władze Chin sugerowały, że powszechne i wolne wybory przywódcy Hongkongu mogłyby nastąpić w 2017 roku. Gdy więc we wrześniu 2014 roku Pekin ogłosił, że wybory będą, ale tylko spośród kandydatów zaakceptowanych przez komunistyczne władze ChRL, młodzi Hongkończycy rozpoczęli „rewolucję parasoli" – trwający ponad 80 dni zryw obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Mimo że hongkońska młodzież nie osiągnęła wtedy swego celu i w grudniu 2014 roku została usunięta z ulic, to trudno mówić o zwycięstwie strony rządowej. Protest obudził świadomość polityczną wśród młodego pokolenia Hongkończyków. „Obywatele Hongkongu nauczyli się, jak należy się mobilizować, aby wywierać nacisk na rządzących" – twierdzi bloger Edward Kursk, członek Stowarzyszenia Niezależnych Komentatorów w Hongkongu.

I tę niesamowitą mobilizację Hongkończycy pokazali w czerwcu tego roku, gdy władze Hongkongu postanowiły wprowadzić nowe prawo o ekstradycji. W proteście przeciwko niemu (ostatni brytyjski gubernator kolonii Chris Patten powiedział, że to „usunie granicę między rządami prawa, którymi cieszy się była kolonia, a pojęciem prawa w komunistycznych Chinach") młodzi Hongkończycy wyszli na ulicę. Najpierw 9 czerwca w liczącym około 7,5 mln mieszkańców Hongkongu odbyła się ponadmilionowa demonstracja. Policja użyła pałek i gazu. Byli ranni. Jeszcze przed zakończeniem protestu władze Hongkongu ogłosiły, że nie zamierzają wycofać nowej ustawy i że będzie ona procedowana zgodnie z planem na posiedzeniu Rady Legislacyjnej (hongkońskiego parlamentu) 12 czerwca. Młodzi Hongkończycy bardzo negatywnie przyjęli to stanowisko. Było wiadomo, że 12 czerwca pod parlamentem także będą gromadzić się protestujący. I zaczęli już w nocy 11 czerwca. Ale tego, co dzięki relacjom na żywo z Hongkongu zobaczył cały świat (poza Chinami, gdzie nawet w oddzielonym tylko granicą z Hongkongiem chińskim mieście Shenzehn media i internet milczały na temat ogromnego protestu), nikt się nie spodziewał. Zbierający się na hongkońskich ulicach tłum młodych ludzi intonował: „Śpiewajmy Alleluja Panu" i przez długi czas było słychać modlitwy. Obserwująca to wydarzenie chińska społeczność mieszkająca w USA i Kanadzie pisała w komentarzach na portalach internetowych, że widok modlących się Hongkończyków pokazał im, jak mocna jest siła wiary.

12 czerwca rano parlament zadecydował, że debata nad nową ustawą nie odbędzie się w tym tygodniu. To było już małe zwycięstwo młodych protestujących w Hongkongu. Ale cel – rezygnacja z ustawy – nie został osiągnięty, więc Hongkończycy przygotowali kolejny protest. 16 czerwca na ulice byłej kolonii brytyjskiej wyszło prawie 2 mln ubranych na czarno ludzi domagających się bezwzględnego wycofania się z prawa o ekstradycji i rezygnacji szefowej administracji Hongkongu.

Do protestujących w Hongkongu dołączyli Hongkończycy mieszkający na całym świecie, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Niemczech. Także w Warszawie na pl. Zamkowym mieszkający w Polsce Hongkończycy zorganizowali pikietę przeciwko ustawie. Demonstrujących wsparł warszawski klub chrześcijańskiej telewizji internetowej Idź Pod Prąd.

Jeszcze przed demonstracją Pekin wysłał swoją delegację do Shenzhen na spotkanie z Carrie Lam. Po nim Lam ogłosiła zawieszenie prac nad ustawą i przeprosiła mieszkańców Hongkongu za „niedoskonałość pracy rządu" w sprawie nowej ustawy i obiecała, że „szczerze i pokornie przyjmie wszelką krytykę oraz poprawi się, by służyć społeczeństwu".

Prawie 2-milionowa demonstracja 16 czerwca pokazała, że przeprosiny i odłożenie prac nad ustawą nie zadowalają Hongkończyków. Młodzi wygrali bitwę z chińskimi komunistami i podporządkowanym mu rządem Hongkongu, ale wojna trwa. Wszyscy w Hongkongu pamiętają, jak niedawno Xi Jinping ostrzegł byłą kolonię brytyjską, by nie ważyła się buntować przeciwko Pekinowi. Chiny nie pozwolą na rozwój separatyzmu i nie dadzą „żadnej jednostce, ugrupowaniu czy partii politycznej" podzielić kraju. Pekin na moment odpuścił w sprawie ekstradycji, ale Hongkończycy nie zostawią tak tej sprawy i w najbliższym czasie z pewnością wrócą na ulice.

Wydaje się, że młodzież z Hongkongu podobnie jak amerykański prezydent Donald Trump wyczuła, że nadszedł czas, by stawić czoła chińskim komunistom. Kontynuowanie walki przez młodych Hongkończyków popiera emerytowany biskup Hongkongu kardynał Joseph Zen, a jeden z lokalnych księży Cyril Cheung powiedział magazynowi „Time", że „naszym obowiązkiem jest stanąć i walczyć o całe społeczeństwo". ■

eprasa.pl d6f3169021

Jacek Plisak

Cień apartheidu

System segregacji rasowej jest nierozerwalnie złączony z RPA. Chociaż minęło już ćwierć wieku od upadku apartheidu, wciąż straszy widmo rasizmu, a nienawiść tli się w sercach. Najwyraźniej w demokratycznej rewolucji coś się nie udało.

eprasa.pl d6f3109021

Kiedy w 1994 roku pierwsze wolne wybory wyniosły do władzy Afrykański Kongres Narodowy (ANC), wydawało się, że apartheid odszedł do lamusa. Autorów porozumienia – Nelsona Mandelę i Frederika Willema de Klerka – uhonorowano Pokojową Nagrodą Nobla. Odtąd Republikę Południowej Afryki miał zamieszkiwać „jeden tęczowy naród" – złożony oczywiście z dotychczas skłóconych nacji i plemion. Niestety rzeczywistość dość boleśnie zweryfikowała te marzenia.

Ćwierć wieku po upadku apartheidu rasizm w RPA ma się świetnie, ba – wydaje się narastać. Rządy „czarnej większości" (jak to kiedyś określano) nie przyniosły ani powszechnego pojednania, ani zwiększenia dobrobytu warstw najbiedniejszych. Jedno jest powiązane z drugim, bowiem biedota winą za swój opłakany stan wciąż obarcza miniony system i jego beneficjentów. Co poszło nie tak?

Trudne początki

Żeby zrozumieć, czym był apartheid, trzeba się cofnąć do początków kolonizacji Afryki Południowej. W XVI i XVII wieku był to rejon niezwykle rzadko zaludniony, zamieszkały głównie przez ludy Khoisan (Hotentotów), trudniące się wędrownym pasterstwem. Od północy i wschodu na tereny dzisiejszego RPA napływały niezwykle wojownicze ludy Bantu (m.in. Zulusi) oraz uciekające przed nimi pomniejsze szczepy. Natomiast od zachodu i południa zaczęli się pojawiać Europejczycy. Początkowo statki płynące do Indii i na Daleki Wschód jedynie zaopatrywały się u tych wybrzeży w wodę i świeżą żywność, pozyskiwaną w drodze polowań i handlu z tubylcami. W 1652 roku pod auspicjami holenderskiej Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej (Vereenigde Oostindische Compagnie, w skrócie VOC) założono Kapsztad i niebawem powstała Kolonia Przylądkowa.

Koloniści pochodzili głównie z Holandii i Niemiec, ale było też kilku Polaków. Rolnictwo miało uczynić kolonię samowystarczalną i umożliwić regularne zaopatrywanie przepływających statków. Już na tym etapie objawił się niespokojny duch przyszłych Burów – wobec ograniczeń w nadziałach ziemi i... braku europejskich kobiet niektórzy brali sobie żony z ludu Khoisan i wraz z rodzinami spędzali życie w wozie, podążając za swym stadem. Tak narodzili się trekburowie, w dodatku w większości Mulaci (czyli wedle przyjętej w RPA systematyki – Koloredzi).

Przejęcie Kolonii Przylądkowej przez Anglików w wyniku wojen napoleońskich spowodowało napływ kolonistów z Wielkiej Brytanii i zmianę systemu rządów na znacznie bardziej autorytarny. Tego spora część republikańsko nastawionych Burów znieść nie mogła, więc po prostu się spakowali i ruszyli w głąb lądu, szukać miejsca, gdzie mogliby żyć po swojemu. Ta „wielka wędrówka" (Grote Trek) stała się mitem założycielskim narodu Burów, czyli Afrykanerów (w RPA „boer" pisane małą literą oznacza po prostu farmera, rolnika; pisane „Boer" oznacza naród). Swoje miejsce na ziemi znaleźli pomiędzy rzeką Pomarańczową (Oranje) i rzeką Ciemną (Vaal), a także na wyżynie za tą drugą. Tak powstały Wolne Państwo Orania oraz Transwal (Transvaal), czyli Republika Południowoafrykańska; powstałą równolegle Republikę Natalu Brytyjczycy natychmiast podbili.

Podczas formowania się tych państw doszło do wielu starć z różnymi plemionami Murzynów, głównie Bantu. Nie tubylców – oni też dopiero na te ziemie przyszli. W toku walk i negocjacji, a głównie handlu około roku 1854 ustaliły się granice burskiej wolności. Nie na długo jednak.

Przekleństwo złota

W 1867 roku w Transwalu odkryto diamenty, a w 1886 roku złoto. Spowodowało to duży napływ białych poszukiwaczy bogactwa – uitlanderów (jak ich zwali Burowie). W ślad za nimi przyszły brytyjskie oddziały, by w toku trzech wojen ostatecznie zjednoczyć całą Afrykę Południową pod berłem Albionu. Równocześnie Anglicy podbili lokalne państwa Murzynów, ale – podobnie jak u Burów – zostawili im pewną autonomię i własne władze. Kiedy więc w 1910 roku powstał Związek Południowoafrykański jako dominium brytyjskie, w jego skład weszły ziemie zamieszkane przez różne ludy, z różnym systemem rządów i na różnym poziomie cywilizacji. W dodatku akurat ziemie Burów były najbogatsze, oferując przedsiębiorczym najwięcej możliwości.

Brytyjczycy pozostawili rządy w nowo utworzonej prowincji w rękach Afrykanerów, a ci zaprowadzili swoje porządki prawne. Uitlandrzy nie byli mile widziani, podobnie jak Murzyni – ale ktoś w końcu musiał pracować, bo samych Burów było po prostu zbyt mało. Wtedy właśnie zrodził się system segregacji rasowej, który swoje apogeum miał w latach 1948–1992. Pomyślany był jako próba obrony własnego stylu życia nielicznego, dumnego narodu przed zalewem obcych. Początkowo przybysze – niezależnie od rasy – mogli żyć i pracować, ale nie mieli praw wyborczych. Stopniowo jednak, na bazie popularnych wówczas teorii antropologicznych, które dzisiaj nazywamy wprost rasistowskimi, system za-

fot. Jacek Plisak

eprasa.pl d6f3169021

ostrzono. Wprowadzone w 1948 roku prawo nie tylko na przykład zakazywało małżeństw mieszanych, lecz karało nawet za stosunek seksualny osób różnych ras. Co charakterystyczne, karani za to byli wyłącznie biali.

Biali stali się rasą uprzywilejowaną – jako jedyni mieli pełnię praw obywatelskich. Jednakże – przynajmniej w założeniu – system nie miał być opresyjny dla innych ras, lecz miał je zniechęcać do osiedlania się na ziemi białych. Zarówno Murzyni, jak i Koloredzi mieli mieć własne, wydzielone rejony, w których mieli żyć wedle własnych reguł i tradycji. Docelowo chciano owe bantustany (czyli państwa ludów Bantu) uczynić niepodległymi. Wbrew pozorom państwo dbało o swoich obywateli drugiej i trzeciej kategorii, zapewniając im edukację i opiekę medyczną. W samym RPA było pięć uniwersytetów dla Murzynów, a drugie tyle – w bantustanach; pomiędzy nimi renomowana uczelnia medyczna Medunsa. Zadbano też o szkolnictwo podstawowe i średnie, w wyniku czego odsetek analfabetów był (i jest) w RPA najniższy w całej Afryce. W latach 1955 –1984 liczba Murzynów uczęszczających do szkół wzrosła 31-krotnie: z 35 tys. do ponad miliona rocznie. Od 1970 roku nakłady na ich edukację rosły lawinowo, około 30 proc. rok do roku. W efekcie w 1985 roku w bantustanach i RPA było około 84 tys. czarnych studentów.

Warto przy tym nadmienić, że wedle danych z 1987 roku 77 proc. wpływów podatkowych pochodziło od białych, zaś 15 proc. od czarnych, przy 4,8 mln białych i 18,2 mln czarnych podatników. Nic w sumie dziwnego, skoro do białych należał cały przemysł – ale wydatki z budżetu w 56 proc. kierowane były na potrzeby czarnych. Swoją drogą, około 3,3 tys. zarejestrowanych przedsiębiorstw, w tym wiele firm taksówkowych, należało do czarnych przedsiębiorców. Obliczano, że w 1978 roku czarna ludność RPA (około 20 mln) miała więcej samochodów niż cała ludność w ZSRS (260 mln).

Jednakże utrzymywano wysokie bezrobocie poprzez sprowadzanie tanich pracowników z innych krajów Afryki i z Azji. Więc jeśli ktoś miał pracę, to żyło mu się nawet nieźle – ale jeśli jej nie miał, to wegetował w bantustanie. Taka sytuacja budziła zrozumiałą frustrację i chęć zmiany stanu rzeczy. W dodatku po II wojnie światowej rozpoczęła się dekolonizacja, a ZSRS szukała wpływów w Afryce. Bardzo szybko ANC, która początkowo wzorowała się na metodach Mahatmy Gandhiego, stała się partią *stricte* komunistyczną i utworzywszy bojówki zwane „Włócznią Narodu" (Umkhoto we Sizwe), rozpoczęła kampanię terroru. Kiedy po fali aresztowań ataki osłabły, włączono do akcji komunistyczne partyzantki z krajów ościennych. Równocześnie na forum ONZ rozpętano kampanię przeciwko polityce apartheidu, doprowadzając do nałożenia na RPA międzynarodowych sankcji. Ostatecznie pogarszająca się sytuacja ekonomiczna oraz demograficzna (dużo szybszy przyrost liczby ludności czarnej niż białej) wymusiły demontaż systemu. W referendum 1992 roku ogromna większość białej ludności RPA (tylko oni mogli głosować) opowiedziała się za kontynuowaniem reform, czyli zakończeniem apartheidu. Ukoronowaniem procesu było przejęcie władzy przez ANC w 1994 roku.

ZA CZASÓW APARTHEIDU GOSPODARKA RPA DYNAMICZNIE SIĘ ROZWIJAŁA. PO DEMOKRATYCZNEJ REWOLUCJI TEMPO ROZWOJU STOPNIOWO SPADAŁO, AŻ DO KOMPLETNEJ STAGNACJI OBECNIE; RÓWNOCZEŚNIE ROSŁY WYDATKI NA CELE SOCJALNE.

Marzenia a rzeczywistość

Nelson Mandela i Frederik Willem de Klerk wypracowali system pokojowego współistnienia, który miał doprowadzić do wykształcenia się jednego, wielokulturowego narodu. Zagwarantowano białym zachowanie stanu posiadania (70 proc. ziemi), a czarnym – wyrównanie szans. Spodziewano się, że w efekcie licznych programów socjalnych uda się ograniczyć obszary ubóstwa i zaktywizować czarną ludność zawodowo poprzez dalsze zwiększanie nakładów na edukację. Konstytucyjnie zakazano dyskryminacji rasowej.

Rzeczywistość jednak nie okazała się tak kolorowa. Aby „wyrównać szanse", wprowadzono BBBEE (Broad Based Black Economic and Equity Empowerment) – czyli po prostu punkty za pochodzenie (skąd my to znamy?). Działa to na kilku poziomach, ale generalnie firma dostaje wyższy ranking za czarnego

eprasa.pl d6f3169021

współwłaściciela albo osoby na stanowiskach kierowniczych (na stanowiskach szeregowych ma to dużo mniejsze znaczenie). Promowane są również kobiety, więc kolejność przyjmowania do pracy wygląda następująco (to nie żart): 1. czarna lub kolorowa kobieta; 2. czarny lub kolorowy mężczyzna; 3. biała kobieta; 4. biały mężczyzna lub cudzoziemiec. Oczywiście nie ma żadnych sankcji za niestosowanie się do tego systemu, ale w praktyce uniemożliwia na przykład wygrywanie przetargów, zwłaszcza w sferze publiczno-prywatnej. Dlatego niestety dość popularne jest fikcyjne zatrudnianie osób bez kompetencji, ale o właściwym pochodzeniu.

Nowoczesne państwo i nowoczesna gospodarka potrzebują jednak pracowników wysoko wykwalifikowanych, tymczasem do miast ruszyła masowo biedota z bantustanów, tworząc slumsy i podnosząc przestępczość, bo policja jest przeżarta korupcją i nieskuteczna. Bezrobocie utrzymuje się na bardzo wysokim poziomie (około 30 proc.), a równocześnie firmy kompetentnych pracowników muszą sprowadzać zza granicy – bo na miejscu ich nie ma. Poziom edukacji, zwłaszcza państwowej, uznawany jest za tragiczny, co poniekąd wiele wyjaśnia. Dlatego zapewne wciąż powszechne są resentymenty po poprzednim systemie, co zresztą działa w obie strony.

Za przykład niech posłuży szeroko komentowane wydarzenie z 2017 roku. Oto czarna kobieta w ciąży ze wsi potrzebowała dostać się do lekarza do miasta, więc poprosiła o podwiezienie lokalnego farmera (białego), który właśnie przywiózł do wsi pickupem owcę. Ten zgodził się, a kobieta wsiadła nie do kabiny (choć proponował), ale na pakę – tak się powszechnie podróżuje w całej Afryce, zwłaszcza kiedy jest gorąco. Pech chciał, że miejsce na pace zajęła klatka na zwierzęta, więc żeby usiąść wygodnie, kobieta weszła do niej. Ktoś to zobaczył na drodze, zrobił zdjęcie i wrzucił w media społecznościowe, opatrując ostrym komentarzem. I nie pomogło już nic – nawet późniejsze wyjaśnienia owej kobiety, że sama tak chciała. Posypały się oskarżenia o rasizm i groźby wobec farmera. Sprawę od razu zbadały lokalne media oraz policja, ale nie uspokoiło to gorących głów; w końcu dopiero po dłuższym czasie sprawa ucichła.

Z wysokiego konia

Za czasów apartheidu gospodarka RPA dynamicznie się rozwijała. Po demokratycznej rewolucji tempo rozwoju stopniowo spadało, aż do kompletnej stagnacji obecnie; równocześnie rosły wydatki na cele socjalne. Po śmierci Nelsona Mandeli do głosu doszli różni radykałowie, postulujący wywłaszczenie czy wręcz eksterminację białych, którzy mają być odpowiedzialni za biedę – chociaż od 25 lat już nie mają władzy. Rządzący z ANC postrzegani są jako skorumpowani i nieudolni, ale jako „zwycięzcy nad apartheidem" mają wciąż duży kredyt zaufania społecznego.

W parlamencie RPA od lutego tego roku trwają prace nad zmianą konstytucji. Specjalna komisja ma ocenić, czy można w taki sposób zmienić ustawę zasadniczą, żeby umożliwić wywłaszczenie białych farmerów bez odszkodowań. Motorem tych działań jest partia Bojownicy o Wolność Ekonomiczną (Economic Freedom Fighters – EFF), którą założył były przywódca młodzieżówki rządzącego ANC Julius Malema. Najlepiej charakteryzuje go zdanie, które wygłosił w listopadzie 2016 roku: „Nie nawołujemy do zabijania białych ludzi – przynajmniej nie teraz." Oczywiście nikt się w tym nie odważył dopatrywać rasizmu. Prace komisji zakończą się w sierpniu; ANC wraz z komunizującymi koalicjantami ma wystarczającą większość – los farmerów wydaje się przesądzony. Pozostaje jednak iskierka nadziei.

Otóż nie tylko Burowie zajmują się uprawą roli – spory udział w tym mają również Zulusi. Ich król, Goodwill Zwelithini kaBhekuzulu, od dawna już krytykuje rządy ANC za zmarnowanie dorobku Burów. Zapowiedział też obronę białych farmerów, wskazując, że podobne wywłaszczenie przeprowadzono niedawno w sąsiednim Zimbabwe, co skończyło się klęską głodu. Współczesne wysokowydajne rolnictwo wymaga bowiem nie tylko specjalistycznej wiedzy, lecz także sporych nakładów. Jednak mimo że Zulusi są najliczniejszą nacją w RPA, ich partia Inkatha ma niewielką reprezentację w parlamencie.

Narastanie czarnego rasizmu i ciche (jak na razie) sankcjonowanie go przez państwo powoduje reakcję. Burowie organizują się, odwołują do społeczności międzynarodowej oraz znajdują sojuszników wśród sąsiadów. Pojawiają się nawet głosy o konieczności nowego „wielkiego treku" – tylko nie za bardzo jest dokąd pójść. Pozostaje trwać i mieć nadzieję, że rozsądek i umiar zwyciężą. Ewentualne zmiany w prawie można zablokować lub przynajmniej opóźnić poprzez skierowanie sprawy do sądu, ale na razie dominuje niepewność. Z tego powodu produkcja rolna już spada, chociaż na razie do zagrożenia głodem daleko.

Ćwierć wieku po demokratycznych przemianach RPA znów wchodzi w kolejny trudny zakręt w swych dziejach. Wahadło historii odchyliło się w drugą stronę i jeśli ta tendencja nie zostanie powstrzymana, znów poleje się krew. Apartheid bowiem to nie tyle system prawny, ile stan umysłu. Jak widać, nie wystarczy jednego pokolenia, aby wykorzenić uprzedzenia. O ile to w ogóle możliwe. ■

eprasa.pl d6f3169021

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Rewelacje KGB: finlandyzacja, szpiedzy i ślepe lustro

W krajach Zachodu wciąż nie wyjaśniono wielu spraw i powiązań lokalnych polityków z sowieckim wywiadem. Przykładem takich prób zamiatania problemu pod dywan jest Finlandia. Profesor Alpo Rusi jest jednym z najlepszych specjalistów zajmujących się historią działalności sowieckich służb w Finlandii oraz konsekwencji tych powiązań dla współczesnej polityki. Ten były doradca prezydenta do spraw polityki zagranicznej w artykule zamieszczonym na portalu UpNorth.eu 31 maja 2019 roku przypomina pewną przełomową publikację, którą chciano w Finlandii przemilczeć, a która z perspektywy lat okazuje się cennym źródłem informacji.

W sierpniu 1997 roku w Finlandii ukazała się książka „Ślepe zwierciadło" napisana przez byłego pułkownika KGB Olega Gordijewskiego i dziennikarkę Innę Rogatchi. Oprócz informacji z pierwszej ręki od Gordijewskiego, Inna Rogatchi na potrzeby publikacji rozmawiała z weteranami KGB. Pozycja odkrywała sieci i metody sowieckiego szpiegostwa i „środków aktywnych" zarówno w Finlandii, jak i w Szwecji, i Norwegii podczas zimnej wojny i po niej. Zawierała też nowe rewelacje i doniesienia na temat losów Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomaty, który stracił życie w stalinowskiej izbie tortur. Ponadto autorzy nie wahali się ujawnić, że wielu polityków, w szczególności fińskich, współpracowało z KGB i Komunistyczną Partią Związku Sowieckiego. Można powiedzieć, że „Ślepe zwierciadło" było opisem „finlandyzacji" w skali całej Skandynawii. Zajmowało się sowiecką „cichą wojną", porównywalną ze współczesną wojną hybrydową Władimira Putina. Jednakże wiarygodność autorów została zakwestionowana, a wydawca zniszczył ostateczny rękopis, który zawierał dodatki i uzupełnienia. Wydrukowana książka opierała się na wcześniejszej wersji rękopisu.

Jelcyn zamyka archiwa

Oleg Gordijewski (ur. 1938) został podwójnym agentem brytyjskiej MI6 podczas jego drugiej służby w roli oficera KGB pod dyplomatycznym przykryciem w Kopenhadze w latach 1972–1978. Później był radcą i wiceszefem rezydentury KGB w Londynie od 1982 roku. MI6 wydostała go ze Związku Sowieckiego poprzez Finlandię po tym, jak Gordijewskiego zdemaskował w 1985 roku Aldrich Ames, wysoki rangą pracownik CIA pracujący dla KGB. W Wielkiej Brytanii Gordijewski dzielił się swoją wiedzą z kilkoma służbami zachodnimi, w tym ze szwedzką SÄPO, której ujawnił listę interesujących nazwisk. Wspólnie z brytyjskim profesorem Christopherem Andrew z Cambridge, Gordijewski opublikował kilka ważnych książek

eprasa.pl d6f3169021

o KGB i jego operacjach w różnych krajach. Ucieczka Gordijewskiego na Zachód doprowadziła do ujawnienia kilku sowieckich agentów i szpiegów oraz do rozbicia siatek szpiegowskich w wielu krajach, ale nie w Finlandii. Mężczyzna przekazał MI6 listę fińskich obywateli z powiązaniami w KGB, która następnie została przekazana fińskiej Policji Bezpieczeństwa (SUPO) w kwietniu 1986 roku. Jednakże lista ta została zagrzebana w archiwach SUPO, bo tak zdecydował prezydent, socjaldemokrata Mauno Koivisto. Wiarygodność Gordijewskiego jednakże jest mocna, choć w jego relacjach mogą pojawiać się jakieś poważne luki. Jednakże to, co powiedział zachodnim wywiadom na temat KGB i GRU – jak się okazało – było bardzo trafne.

„Ślepe zwierciadło" było wyjątkowo niekorzystne dla byłego premiera i przewodniczącego fińskich socjaldemokratów (SDP) Kaleviego Sorsy (1930–2004). Tu warto dodać, że archiwa byłego pracownika KGB Wasilija Mitrochina, a także ustalenia byłego sowieckiego dysydenta Władimira Bukowskiego zawierają dodatkowe dokumenty dotyczące Sorsy. W styczniu 2019 roku „The Washington Post" opublikował tekst Władimira Kara-Murzy, rosyjskiego historyka i wiceszefa Otwartej Rosji, o tym, że postać Kaleviego Sorsy to dobry pretekst do tego, by kremlowskie archiwa zostały otwarte. Kara-Murza upierał się, że niektórzy zachodni przywódcy obawiali się zawartości tych archiwów, więc „Jelcyn znalazł się pod ogromną presją ze strony Zachodu, żeby ich nie otwierać. Zachodni przywódcy mieli zbyt wiele powiązań z sowieckim reżimem; zbyt wiele tajnych porozumień zawarli z Kremlem, które nie powinny być nigdy ujawnione". Toteż prezydent Jelcyn zamknął archiwa KGB i KPZS. [...]

[Wracając do Gordijewskiego – przyp. Red.] bez wątpienia potraktowano go poważnie na Zachodzie, ale nie w Finlandii czy w Szwecji. Fińska SUPO otrzymała informację z MI6 już w 1986 roku i później, na początku lat 90. W tym nazwiska 40 Finów powiązanych z KGB. Nazwiska te ujawniono we wrześniu 2014 roku na łamach „Verkkouutiset". Autorem artykułów był dziennikarz Juha-Pekka Tikka, ekspert od spraw szpiegowskich. Książka „Ślepe zwierciadło" ujawniała niektóre z tych nazwisk i dokumentów już w 1997 roku.

▶ Bez procesów, bez wyroków

„Ślepe zwierciadło" zawiera wiele informacji o metodach i technikach operacyjnych KGB i GRU. W 1980 roku KGB uruchomiła 350 „środków aktywnych", zaś Moskwa otrzymała 600 tajnych lub poufnych depesz z rezydentury KGB w Finlandii. Organy sowieckiego bezpieczeństwa miały 216 fińskich agentów i „operatorów" w trzech kategoriach: 88 zwerbowanych agentów, 73 zaufanych współpracowników, 15 oficerów prowadzących „nielegałów". Sowiecki wywiad wojskowy GRU miał dodatkowe zasoby wśród fińskich współpracowników. W 1987 roku sowiecki konsulat na Wyspach Alandzkich (autonomiczny archipelag pomiędzy Finlandią a Szwecją) pomagał w operacji tajnego przewiezienia Stiga Berlinga, szwedzkiego agenta GRU, który odsiadywał karę dożywocia od 1979 roku, ale zdołał zbiec podczas wakacyjnego weekendu via Finlandia do ZSRS (i wrócił do Szwecji w 1995 roku). Kiedy powrócił do Szwecji, utrzymywał, że SUPO specjalnie nie chciała przeszkadzać KGB w operacji transportu uciekiniera. Oczywiście SUPO zaprzeczyła tym twierdzeniom.

SUPO dostała też w 1992 roku wrażliwe dokumenty z byłych sowieckich archiwów od Władimira Bukowskiego, byłego dysydenta. W jednym z nich Kalevi Sorsa został zidentyfikowany jako „zaufany współpracownik" sowieckiej partii komunistycznej (i KGB) w latach 70. i 80. Materiał ten dostała też w styczniu 1993 roku duża fińska gazeta „Ilta-Sanomat". Informacje te uderzały w reputację Sorsy, który był czołowym kandydatem w prawyborach swej partii przed wyborami prezydenckimi w maju 1993 roku. Mężczyzna wiedział o pojawieniu się obciążających materiałów, jednak media niczego nie opublikowały, co bardzo zaskoczyło Bukowskiego. Tymczasem Sorsa zdecydowanie przegrał walkę o partyjną nominację z weteranem dyplomacji fińskiej Marttim Ahtisaarim (socjaldemokrata), który następnie został wybrany na prezydenta Finlandii w lutym 1994 roku.

W Finlandii nie było żadnych poważnych spraw szpiegowskich zakończonych procesem i wyrokiem skazującym, takich jak choćby sprawa szwedzkiego oficera Stiga Berlinga, który szpiegował przez 10 lat dla GRU i został skazany w 1979 roku na dożywocie czy też sprawa wysokiego rangą norweskiego dyplomaty Arne Treholta, który pracował przez dekadę dla KGB i został skazany na więzienie w 1984 roku. Gordijewski przekazał wiele informacji na temat obu tych szpiegów brytyjskiemu MI6, jak twierdzi w książce. „Ślepe zwierciadło" zawiera też rewelacje, które stawiają w dość nieciekawym świetle SUPO. Pytanie brzmi, czy SUPO znajdowała się pod wpływem KGB w latach 70. i 80. Szef SUPO Arvo Pentti (1972–1978) w archiwach Mitrochina został zidentyfikowany jako „zaufany współpracownik" KGB o kryptonimie

eprasa.pl d6f3169021

„Mauri" – od 1972 roku. Co więcej, szef kontrwywiadu w latach 80. i 90. zdobył wykształcenie na Uniwersytecie Humboldta w NRD pod koniec lat 70. W 2018 roku ujawniono, że osłaniał członka zarządu Nokii zwerbowanego przez wywiad wojskowy PRL w 1976 roku. Dochodzenie w tej sprawie prowadzi teraz SUPO.

Obdukcja zjawiska finlandyzacji

Choć publiczna debata na temat książki zakończyła się, zanim tak naprawdę na dobre się zaczęła, wywołała burzę w środowisku politycznym. W pamiętnikach wydanych w 2016 roku fiński parlamentarzysta i szef MSW w latach 2000–2007 i 2011–2015 Erkki Tuomioja (SDP) napisał 20 i 25 sierpnia 1997 roku, że „Ślepe zwierciadło" zawiera „uproszczone i nieudokumentowane twierdzenia na temat powiązań fińskich obywateli z KGB i KPZS". W rozmowie z „Ydin Magazine" (2/1998) Tuomioja narzekał, że „Ślepe zwierciadło" to mniej lub bardziej szpiegowska historia w hollywoodzkim stylu. Tuomioja się mylił. Tuomioja pisze też o spotkaniu z Seppo Tiitinenem, sekretarzem generalnym parlamentu, który stał na czele SUPO w latach 1978–1990. „Tiitinen żałował, że »Ślepe zwierciadło« się ukazało". Tuomioja ze swej strony komentował, że „Tiitinen nie widział żadnego problemu w utrzymywaniu tych kontaktów (z KGB) w ramach relacji z Sowietami". Ten komentarz jest kluczem do zrozumienia prawnej i politycznej kultury towarzyszącej współpracy Finów z sowieckimi organami bezpieczeństwa podczas zimnej wojny. Sowieci mogli penetrować kluczowe instytucje pod przykryciem współpracy i przyjaznych stosunków, co demaskuje „Ślepe zwierciadło". Finlandyzacja w swej istocie odnosiła się do takiej współpracy prowadzącej do niepotrzebnych wpływów Związku Sowieckiego podczas zimnej wojny. W efekcie książka brzmi jak obdukcja zjawiska finlandyzacji. Gordijewski twierdzi, że Finlandia wydaliła 40 sowieckich dyplomatów w latach 1975–1995. Może on posiadać tajne informacje, że rząd Finlandii wydalił 11 rosyjskich dyplomatów, których wcześniej wyrzucono z krajów zachodnich, ale potem mogli pracować w Helsinkach aż do czerwca 1992 roku. Ta masowa ekstradycja w 1992 roku była trzymana w tajemnicy aż do 2017 roku. Konkretnie była to publikacja specjalnego wydawcy „Iltalehti" Olliego Ainoili, który 7 stycznia 2017 roku ujawnił tę niezwykłą ekstradycję. Były szef SUPO (1990–1995) Eero Kekomäki w artykule Ainoli powiedział, że „zdecydowano wtedy, że Helsinki nie mogą być dłużej miejscem dla emerytury dla byłych sowieckich agentów, których wcześniej wydalono z jednego z zachodnich krajów". Ainola pisał, że poprzedni szef SUPO Tiitinen inaczej do tego podchodził. „Tiitinen był miękki". Dlaczego? Brakowało mu profesjonalizmu, czy może był pod presją? A może i jedno, i drugie?

„ŚLEPE ZWIERCIADŁO" ZAWIERA WIELE INFORMACJI O METODACH I TECHNIKACH OPERACYJNYCH KGB I GRU.

W lipcu 1990 roku Tiitinen nie zgodził się na uruchomienie dochodzenia dotyczącego 20 Finów, którzy mieli powiązania z enerdowskim wywiadem HVA (Hauptverwaltung Aufklärung), opartego na liście ostatniego rezydenta Stasi w Helsinkach (1986–1989) pułkownika Ingolfa Freyera. Freyer pracował w Finlandii pod fałszywym nazwiskiem Hans Pfailer, jako pierwszy sekretarz ambasady NRD. Uciekł do RFN w listopadzie 1989 roku i przekazał zachodnioniemieckiemu wywiadowi BND (Bundesnachrichtendienst) listę z nazwiskami. SUPO dostała tę listę od BND w marcu lub kwietniu 1990 roku. Tiitinen potwierdził jej istnienie w wywiadzie prasowym we wrześniu 2002 roku. Później podkreślał, że nie było tam ważnych nazwisk. Jest często krytykowany za wybiórczą pamięć, bo wszyscy wiedzą, że pamięć ma fenomenalną, nawet jak na służby specjalne. W ostatnich latach grupa ważnych polityków i biznesmenów została zidentyfikowana jako zaufane kontakty czy też agenci zarówno Stasi, jak i KGB. Byli oni wszyscy *de facto* osłaniani przez SUPO przed działaniami fińskiej prokuratury.

Tuomioja w swoich pamiętnikach ujawnia, że we wrześniu 1993 roku jego „stary kontakt", Walerij Mariejew, umówił się z nim na lunch, ponie-

eprasa.pl d6f3169021

waż „wrócił do Helsinek". Dwa tygodnie później, podczas lunchu, Mariejew „ostrzegał przed NATO". Mariejew to były oficer KGB pod przykryciem wicedyrektora sowieckiej agencji prasowej APN w Helsinkach w latach 70. i 80. XX wieku. Wiadomo, że 14 maja 1983 roku towarzyszył Giennadijowi Titowowi, oficerowi prowadzącemu Arne Treholta, podczas ich spotkania w Helsinkach. Nawet szef rezydentury KGB w stolicy Finlandii nie wiedział o tym spotkaniu. Według Gordijewskiego, Mariejew był rezydentem wywiadu rosyjskiego SWR w Helsinkach w latach 1994–1997. Później był tłumaczem książki Tuomioji, opublikowanej w Rosji w czasie, gdy Tuomioja był szefem MSZ Finlandii.

Egzotyczna piękność w służbie NKWD

Były szwedzki dyplomata i ekspert w dziedzinie prawa międzynarodowego, ambasador Bo Theutenberg pisze w swej książce „Pamiętniki z MSZ", że grupa robocza Kaleviego Sorsy, zajmująca się rozbrojeniem w ramach socjalistycznej międzynarodówki, założona w 1978 roku, była zarządzana przez KPZS w celu wywoływania podziałów pomiędzy krajami Zachodu i NATO. Theutenberg poświęcił wiele czasu i wysiłku, aby badać działalność KGB i Stasi w Szwecji, by wzmocnić swe argumenty. Okazało się na przykład, że szpieg Stasi był we władzach SIPRI (Stockholm International Peace Research Institute). Theutenberg jest krytyczny wobec socjaldemokratów zarówno szwedzkich, jak i fińskich za ich politykę rozbrojeniową w latach 80. XX wieku i za „podążanie za rozkazami z Moskwy", co udowodnił, przedstawiając wyciągi z różnych archiwów. Wśród „inicjowanych przez Sowietów projektów" wymienia on powołaną w 1980 roku „komisję Palmego", za której powstaniem stał tak naprawdę Borys Ponomariow, szef zarządu międzynarodowego Komitetu Centralnego KPZS, ze specjalnym udziałem Kaleviego Sorsy. Olof Palme jest wspomniany na trzech stronach „Ślepego zwierciadła". Gordijewski twierdzi, że Palme był od 1972 roku celem oficera KGB Nikołaja Neilanda działającego pod przykryciem dyrektora APN. Neiland był skutecznym oficerem KGB z łotewskim backgroundem. Zdołał skłonić Palmego do wizyty w Rydze, utrzymywanej w tajemnicy. Gordijewski twierdzi, że „Palme z pewnością znajdował się pod wpływem KGB". Równie interesujące są rewelacje Gordijewskiego o tym, że bliski współpracownik Palmego, sekretarz generalny socjalistycznej międzynarodówki Bernt Carlsson (Kalevi Sorsa była wiceprzewodniczącym tej organizacji), „był specjalnym zaufanym kontaktem KGB i został wyznaczony na przedstawiciela ONZ w Namibii w 1988, zginął w katastrofie nad Lockerbie w 1989". Bent Carlsson był kontaktem Gordijewskiego w Londynie. Może ta informacja rzuca nowe, interesujące światło na zamach nad Lockerbie? Śledztwo dotyczące roli pięciu byłych oficerów Stasi w związku z katastrofą zostało wszczęte w 2019 roku, jak donosił 20 marca 2019 „The Guardian".

Jednakże najbardziej sensacyjne ustalenia „Ślepego zwierciadła" dotyczą tajemnicy Raoula Wallenberga i jego krewnego, dyrektora banku Marcusa Wallenberga. Podczas II wojny światowej oficer NKWD Zoja Woskriesenskaja-Rybkina kierowała komórką NKWD w Sztokholmie pod przykryciem „attaché prasowego". Gordijewski opisuje kolacje z nią w Moskwie zimą 1980 roku. „Zoja była egzotyczną pięknością, której atrakcyjność była używana przez NKWD w strategicznych operacjach". Gordijewski dodaje: „Weźmy na przykład osiągnięcia Zoi w uwodzeniu Marcusa Wallenberga w pewnym hotelu w Saltsjöbaden podczas upojnych weekendów. Te weekendy doprowadziły do korzystnej umowy handlowej pomiędzy Związkiem Sowieckim a Finlandią, która wiele dała kapitałowi Wallenberga". Gordijewski twierdzi, że Zoja „przede wszystkim była twarda i skuteczna i została awansowana do rangi pułkownika kierującego zarządem dotyczącym Austrii i Niemiec po zakończeniu wojny". Po tej sprawie, wystawiającej Marcusa Wallenberga i jego Enskilda Banken Sowietom i NKWD, jak Gordijewski twierdzi, Raoul Wallenberg stał się ofiarą próby werbunku przez NKWD. Coś jednak poszło nie tak i Szwed został otruty w 1947 roku. Zoja informowała Moskwę o aktywności Wallenberga w Budapeszcie i możliwych związkach z biurem amerykańskiego wywiadu OSS. Żeby sprawa była bardziej skomplikowana, okazuje się, że mająca romans z Marcusem Wallenbergiem Zoja, wyszła za mąż za innego agenta NKWD w Sztokholmie, Borysa Rybkina, który odegrał ważną rolę w Helsinkach w 1938 roku jako specjalny nieoficjalny kontakt Stalina. Agent NKWD Paweł Sudopłatow, bezpośredni przełożony Zoi, jeden z najważniejszych oficerów sowieckiego wywiadu w operacji pozyskania broni atomowej (Projekt Manhattan), który zmarł w 1995 roku, mówił o otruciu Wallenberga w lipcu 1947 roku w swej książce „Zadania specjalne". ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl d6f3169021

Olga Doleśniak-Harczuk

A po nabożeństwie coś ci narysuję

Mam na imię Merle i co piątek wagaruję – rzuca w eter 17-letni aktywista „Piątków dla Przyszłości". Jego słowa porywają kilkutysięczny tłum. LSD to przeszłość, dziś wystarczy ekozblazowanie i jakiś cytat z Grety Thunberg. W innym miejscu trwa warsztat rysowania genitaliów. Dla kobiet, by wyzwoliły się z więzów spętanej seksualności. Bo Niemki są straszliwie spętane. Nastolatki Nele i Johanna rysują żeńskie narządy kredą na chodniku. Ktoś jednak uprawia tu dywersję i domalował elementy męskie, symbol opresji. Nele i Johanna i tak się cieszą. „W końcu coś fajnego, zamiast suchej gadki można zadziałać abstrakcyjnie".

eprasa.pl d6f3169021

Nele i Johanna to szczęściary. Tylko 25 chętnych załapało się na warsztaty, które miały ponoć moc aktu wyzwolenia. Pozostałe amatorki anatomii tęsknie zebrane pod dortmundzkim teatrem mogły sobie co najwyżej poszkicować w bloku rysunkowym. Może i lepiej, nikt im tam nie dorysuje nadprogramowych symboli ucisku. W końcu chodzi o wyzwolenie. Spod męskiej tyranii. Tej symbolicznej też. I o wprowadzenie parytetu płciowego w świecie, gdzie drzwi i ściany szkolnych toalet cierpią ucisk fallicznych bazgrołów (tak, właśnie dominacją tego typu rysunków organizatorka warsztatów tłumaczyła ich zasadność). A nie ma lepszego miejsca i czasu na takie boje niż Zjazd Ewangelików. Przecież nie po to co dwa lata Kościół ewangelicki zaprasza na wielkie spotkanie w którymś z niemieckich miast, by tylko się modlić i odprawiać nabożeństwa. Kościół ewangelicki jest różnorodny, z elementami egzotyki, to jego siła, a nie słabość – głosi przekaz. Koniec z pruderią! – postulują pastorki. Jesteśmy z wami! – odpowiadają pastorzy. Każdy jest tu z każdym i wszyscy stoją za sobą murem. Zieloni i Czarni, uchodźcy, imigranci, queer i hetero, liberałowie i lewicowcy, wszyscy poza neonazistami i członkami AfD, którym w tym roku zakazano wstępu na imprezę. I są jeszcze oni. Dwaj chłopcy, którzy przybyli na zjazd z dziewczętami. Takimi dziewczętami, którym nie udało się załapać na warsztaty rysunku antydyskryminacyjnego. I chłopcy ci w akcie solidarności wyciągnęli z piórników kredki i podali smutnym towarzyszkom, by mogły choćby na odległość poczuć się częścią wielkiego chodnikowego zrywu. I oni też chwycili za kredki i namalowali na asfalcie falliczne bazgroły. Właśnie takie, które zdaniem organizatorki akcji rujnują równowagę w damsko-męskim kosmosie. Naiwni chłopcy. Muszą się dużo nauczyć. Jeszcze nie pojęli, że prawdziwa solidarność nie opiera się na dialogu: ja rysuję, ty rysujesz, my rysujemy. Tylko na: ja rysuję, a ty siedź cicho, bo to przez ciebie (ty okrutny ciemiężycielu) rysuję. Proste. Jak chłopiec nie chce awantury, niech sobie weźmie tę radę do serca.

Fontane, nieszczęsny Fontane

Swoją drogą ewolucja wyzwolenia Niemek osiągnęła frapujący etap. Feministki walczą z pornografią i ze stereotypami każącymi sprowadzać istotę kobiecości do funkcji seksualno-fizjologicznej, pastorki i aktywistki ewangelickie bawią się tymczasem w redukowanie siebie samych do roli rysunkowych narządów płciowych. Po co Theodor Fontane zmarnował tyle papieru w imię obrony uciśnionych Niemek? Po co te wszystkie smutne historie typu Effie Briest, Quitt, Cécile? Po co intelektualny akt sprzeciwu wobec krzywdy kobiecej, stygmatyzowania wizerunku kobiety jako istoty nierozumnej i niezdolnej do abstrakcyjnego myślenia i tym samym skazanej na męskie, silne ramię, które nawet kiedy bywa cięższe niż potrzeba, jest kobiecie do przeżycia absolutnie niezbędne? Przecież wystarczyło chwycić za pędzel i... No właśnie.

Parafrazując Hamiltona: „Dziś jest taka sytuacja, że nie ma takiego głupstwa, którego by nie można przeszmuglować pod szyldem walki z dyskryminacją".

Zbudujemy łódź, uratujemy klimat

Siedemnastoletni Merle nie był jedynym przedstawicielem „Piątków dla Przyszłości" na zjeździe ewangelików. Zielona młodzież zdominowała imprezę, tak samo zresztą jak zieloni politycy. Korespondent „Neue Zürcher Zeitung" wspomina o 14-latku, który z grobową miną opowiadał dorosłym słuchaczom o rychłej katastrofie klimatycznej i o tym, że „on na pewno za 30 lat już nie będzie żył", ponieważ nadciąga klimatyczna apokalipsa. „Nikt się nie ruszył, nikt nie polemizował z tym chłopakiem, wszyscy siedzieli w skupieniu jak zamurowani" – zauważa dziennikarz. Po czym pisze o zielonym deputowanym do Parlamentu Europejskiego, Svenie Giegoldzie, pomysłodawcy wysłania na Morze Śródziemne statku ratunkowego pływającego pod banderą Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego. Giegold należy do prezydium Ewangelickich Dni Kościoła, jego pomysł został zapisany w rezolucji końcowej zjazdu. W internecie opublikowano petycję do Kościoła ewangelickiego, w której poseł Zielonych i kilku pastorów domagają się statku ratunkowego dla imigrantów. 24 czerwca pod petycją podpisało się 6,8 tys. osób, aby została rozpatrzona, potrzeba 7,5 tys. podpisów, spokojnie się tyle znajdzie. Choć biorąc pod uwagę 112 tys. uczestników zjazdu, tempo zbierania poparcia dla ratunkowej inicjatywy nie poraża. Zdecydowanie większym poparciem w Sieci od statku cieszy się petycja dwóch kanadyjskich uczennic podstawówki, które domagają się od jednej z kawiarnianych sieciówek rezygnacji z jednorazowych kubków. Dziewczyny zebrały już ponad 300 tys. podpisów. Kubki są bardziej na topie, tak jak plastikowe słomki i jednorazowe torebki. W pewnym kanadyjskim supermarkecie walka z foliowymi torebkami przypomina nawet bój wytoczony tytoniowi. Na jednorazówkach wydrukowano loga sex-shopów i poradni chorób zakaźnych, kto przy zdrowych zmysłach chciałby paradować z zakupami zapakowanymi w coś takiego? Szantaż działa. A pokolenie „Piątków dla Klimatu" wyprzedziło w ekosocjotechnice doświadczonych polityków. Jak tak dalej pójdzie, niebawem zabraknie chodników i kredek. Tym razem dla sfrustrowanych ofiar zielonego ageizmu. ■

eprasa.pl d6f3169021

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan–Polska

17 czerwca pomiędzy Polską a Tajwanem podpisane zostało porozumienie o współpracy prawnej w sprawach karnych. Okazją do zawarcia umowy była wizyta wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka w Tajpej, stolicy Tajwanu. Porozumienie przyspieszy i uprości wzajemną pomoc prawną, ekstradycję, przekazywanie skazanych, wymianę informacji o treści przepisów prawnych i praktyce ich stosowania, a także umożliwi zgodnie z zastosowaniem prawa krajowego przekazywanie informacji niezbędnych do ścigania i zapobiegania przestępstwom, w tym o charakterze terrorystycznym. Dokument umożliwi też wykorzystanie nowoczesnych technologii (na przykład przesłuchanie świadków w formie wideokonferencji), upraszczanie procedury doręczania wezwań sądowych, przyspieszenie wydawania zbiegłych przestępców, odbywanie kary w Polsce Polakom skazanym przez tajwański sąd, a na Tajwanie Tajwańczykom skazanym przez sąd polski.

Polska jest pierwszym krajem w Europie, który podpisał taką umowę z Tajwanem. Jest to zarazem jedna z długiej listy dwustronnych umów i protokołów podpisanych przez oba państwa w ostatnich latach. Do tej pory zawarto m.in. porozumienie w sprawie programu wymiany kulturalno-edukacyjnej dla osób młodych (umowa typu Work and Holiday Scheme), porozumienie o transporcie lotniczym, umowę o unikaniu podwójnego opodatkowania i porozumienie o wzajemnym uznawaniu prawa jazdy.

We wrześniu 2018 roku w Tajpej otwarto biuro handlowe Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, którego zadaniem jest wspieranie eksportu oraz inwestycji polskich przedsiębiorstw na Tajwanie oraz przyciąganie inwestorów tajwańskich do Polski.

Korea Północna–Chiny–Rosja

Przed szczytem G-20 w Osace w Japonii, na którym chiński prezydent Xi Jinping odbędzie rozmowę z prezydentem USA Donaldem Trumpem, przywódca ChRL spotkał się z liderami Rosji i Korei Płn. Podczas obu spotkań Xi mocno podkreślał przyjacielskie relacje z rządzącymi w Moskwie i Pjongjangu przywódcami.

Podczas spotkania Xi Jingpinga i Władimira Putina w Rosji doszło do podpisania umowy, w ramach której chiński koncern Huawei będzie odpowiedzialny za budowę sieci 5G na terytorium Federacji Rosyjskiej. Uzgodniono też powołanie nowego funduszu inwestycyjnego, który będzie początkowo dysponował 1,5 mld juanów (850 mln zł), a docelowo jego kapitał wyniesie 5 mld juanów (2,8 mld zł). Obydwa państwa chcą też dokonywać więcej wzajemnych transakcji w narodowych walutach.

Podczas wycieczki po moskiewskim ZOO Xi Jinping powiedział, że w ciągu ostatnich sześciu lat spotkał się prawie 30 razy z prezydentem Rosji. „Putin jest moim najlepszym przyjacielem i dobrym kolegą" – zapewniał Xi.

Kilka dni po podróży do Rosji Xi Jinping odwiedził Koreę Płn. Była to pierwsza od ponad 10 lat wizyta chińskiego przywódcy do Pjongjangu. Tymczasem Kim Dzong Un w ciągu ostatniego roku podróżował do Chin aż cztery razy, by spotykać się z Xi. Wizyta w drugą stronę ma podkreślić wagę 70. rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych między Chinami i Koreą Płn. Przed wizytą w rządowym „Dzienniku Robotniczym" („Rodong Sinmun") prezydent Xi zamieścił artykuł skierowany do Koreańczyków z Północy. Stwierdził w nim m.in.: „Wspólnie napiszmy nowy rozdział w historii przyjaźni odziedziczonej w relacjach między Chinami i Koreą Północną". Chiń-

eprasa.pl d6f3169021

ski prezydent dodał też, że jego kraj i KRLD łączy „przyjaźń nie do zastąpienia".

Chiny–Polska

18 czerwca w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w ramach imprezy „Maj na Foksal" odbyła się polska premiera filmu o Chinach pt. „List Masanjia". To dokument o wstrząsającej historii chińskiego więźnia politycznego Suna Yi, który był przetrzymywany i torturowany w obozie pracy w Masanjia (obóz znajduje się w płn.-wsch. prowincji Liaoning, trafiają tam głównie członkowie ruchu Falun Gong i chrześcijanie; obóz uważany jest za jeden z najokrutniejszych w Chinach).

Sun napisał list i wrzucił go do pudełka z dekoracjami na Halloween, które więźniowie muszą produkować w obozie. Opisał tortury i pranie mózgów, jakim poddawani są więźniowie, i jednocześnie zwrócił się z apelem o to, aby czytający opowiedział o tym światu. Tak też się stało – list trafił do gazety w Oregonie, a potem się rozprzestrzenił. W międzyczasie Sun Yi został zwolniony z więzienia i odnalazł go reżyser filmu Leon Lee. Sun ukrytą kamerą sfilmował chińskie realia dla Lee i tak powstał dokument o tym, jak łamane są swobody obywatelskie w Chinach. Jest to także przejmująca opowieść o wytrwałości, zachowaniu własnych przekonań mimo represji i walce o sprawiedliwość dla siebie i innych. To historia rebelianta, który ujawnił światu ciemną stronę chińskiego reżimu.

Reżyser filmu, Leon Lee, to 37-letni kanadyjski filmowiec chińskiego pochodzenia cieszący się już dużą renomą w świecie kinematografii. W 2014 roku za film dokumentalny „Human Harvest" otrzymał Peabody Award, amerykańską nagrodę medialną wręczaną za wybitne dokonania w przemyśle radiowym, telewizyjnym i internetowym, a w 2016 roku – Gabriel Award, nagrodę przyznawaną przez Catholic Press Association, amerykańsko-kanadyjską organizację zrzeszającą dziennikarzy katolickich, za film fabularny „The Bleeding Egde", w którym główną rolę grała Anastasia Lin. Lin w 2015 roku była jednym z zagranicznych obserwatorów wyborów parlamentarnych w Polsce. O swoich wrażeniach dotyczących tej wizyty opowiedziała „Gazecie Polskiej Codziennie", stwierdzając m.in.: „Przekonałam się, że wy, Polacy, jesteście narodem odważnym, dzielnym i zdeterminowanym. Cały czas kładziecie nacisk na poszanowanie polskiej tradycji i kultury, pielęgnując tożsamość narodową. To postawy bliskie memu sercu, dlatego też Polska stała mi się bardzo bliska".

Leon Lee i Anastasia Lin to przedstawiciele artystów chińskiego pochodzenia mieszkający za granicą i zdobywający coraz większe uznanie na Zachodzie m.in. swoimi filmami o sytuacji w Chinach.

Indie

Ewangelizujący chrześcijanie w Indiach narażeni są na prześladowania. Choć w stanie Tamil Nadu działalność prozelityzująca [nawracanie innych na swoją wiarę – przyp. red.] jest legalna, to chrześcijanie głoszący Słowo Boże są oskarżani o „zakłócanie spokoju publicznego". Z takimi zarzutami spotkała się 12 czerwca grupa ewangelicznych chrześcijan podróżujących pociągiem na linii Chennai–Tiruchirapalli. Niektórzy z pasażerów donieśli policji, że zirytowały ich próby chrześcijan głoszenia Ewangelii w pociągu.

Sajan K. George, przewodniczący Światowej Rady Chrześcijan Indii (GCIC), w wypowiedzi dla katolickiej agencji Asia News mówił o „wzroście nietolerancji wobec wiary chrześcijańskiej" w Indiach. Podał też inne podobne przykłady takiej postawy: w 2017 roku zakonnica została aresztowana i oskarżona o porwanie dzieci, podczas gdy po prostu towarzyszyła ona grupie dziewcząt na obozie letnim; wcześniej władze Madhya Pradesh, stanu w Środkowych Chinach, zatrzymały grupę dzieci w drodze na rekolekcje. Według Sajana K. George'a „głos większości staje się coraz głośniejszy i stara się uciszyć głos malutkiej wspólnoty chrześcijańskiej".

Prześladowania chrześcijan w Indiach potwierdzają także raporty United Christian Forum oraz ADF India (Alliance Defending Freedom – Sojuszu na rzecz Obrony Swobód). W większości przypadków represje przybierają formę ataku tłumu na ośrodki religijne chrześcijan. Częścią ofensywy są wyzywanie i pobicia wiernych, w tym kobiet i dzieci. Często też prześladowani są wykluczani z danej społeczności. Do takiej sytuacji doszło na przykład w stanie Chhatisgarh, gdzie lokalna wspólnota wygnała dziesięciu chrześcijan, a następnie podarła i spaliła ich Biblie. W prześladowaniach często biorą udział służby państwowe, jak na przykład policja, która dokonuje aresztowań księży i pastorów pod fałszywym oskarżeniem „przymusowego nawracania". Są też przypadki dużo ostrzejszych represji. W stanie Himachal Pradesh wierni zostali wyciągnięci z kościoła, a następnie zaprowadzeni do hinduskiej świątyni, gdzie byli zmuszani do śpiewania hymnów na cześć hinduskich bóstw. W stanie Karnatace pobito pastora żelaznym prętem, a pod jeden z kościołów podłożono ogień.

Pod rządami nacjonalistycznego premiera Narendry Modiego osiem z dwudziestu dziewięciu stanów Indii przyjęło ustawę zakazującą konwersji.

W tym roku minęło 10 lat od antychrześcijańskich pogromów w stanie Orisa. Zamordowanych wtedy zostało ponad 100 wyznawców Chrystusa, uszkodzono 232 kościoły oraz ponad 5 tys. chrześcijańskich domów. ■

eprasa.pl d6f3169021

Nasz człowiek na najtrudniejszym szlaku Europy

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wyobraź sobie huraganowy wiatr, który niemal cię przewraca. Wyobraź sobie zacinający nieustannie deszcz. I fakt, że nie masz żadnej ścieżki. Biegniesz po zmarzniętych murawach, zapadając się w nich raz po raz. Wyobraź sobie te przewyższenia. Po 600–800 metrów. Wbieganie na pagóry mające 1000–1200 metrów n.p.m., a potem zbieganie z nich do poziomu 200 metrów n.p.m. Czasem w śniegu, czasem w błocie. I ta przerażająca pustka. Świadomość, że jesteś tu zupełnie sam.

Pojedynczy snop latarki podświetla kolejne fragmenty spowitej w ciemnościach chaty. Prześlizguje się wpierw po szerokim blacie stołu ustawionego pod oknem. By zaraz dalej opaść gwałtownie do samej ziemi, oświetlając stojącą w narożniku skrzynię. Na drugiej ścianie widać podwójną pryczę. Całą z drewna. Jest też jakaś półka. Przemek wie, że nie ma za wiele czasu. Że po krótkich oględzinach swojego dzisiejszego bothy (opuszczona kamienna chata) trzeba czym prędzej działać.

Zaczyna się zatem standardowa procedura. Przy tym zmęczeniu pozostaje już tylko liczyć na wyuczone automatyzmy. Drobna sylwetka mężczyzny z bujną czupryną prędko porusza się po wytyczonych przez siebie ścieżkach chatki. Kilka zgrabnych ruchów i z pokaźnego czerwonego plecaka co rusz na stole lądują kolejne przybory. Metalowy kubek, termiczna odzież do podsuszenia, śpiwór. Wreszcie jest. Znalazł ją. Maleńką kuchenkę turystyczną. Uradowany fantem Przemek czym prędzej usiłuje zgrabiałymi od wilgoci i zimna dłońmi podpalić gaz. Zaraz potem z bidonu z przefiltrowaną odpowiednimi tabletkami, czyli już zdatną do picia wodą, przelewa ją do małego kubka, stawia na palniku. Powinno się zaraz zagotować. „Ja pierniczę..." – szepcze do siebie, gdy wreszcie łapie oddech. Kilka łyków ciepłej herbaty, parę kęsów liofilizowanego paskudztwa i baton energetyczny. Przyda się. Organizm ma przecież co odbudowywać. Dziś stracił naprawdę sporo energii i wody.

– Wyobraź sobie, że jesteś gdzieś na totalnym odludziu – tłumaczy mi swoją sytuację sprzed kilku miesięcy. – Biegniesz cały dzień. Miałeś pokonać 60 kilometrów. Ale z powodu trudnych warunków, licznych przepraw przez rzeki, podmokłości terenu robisz tylko połowę założonego dystansu. Wszystko we mgle i burzach.

– Zgaduję, że tego dnia myślałeś o wycofaniu się? – ciągnę Przemka za język.

– Nawet nie. Nie dopuszczałem takiej myśli. Wiedziałem, jaki mam cel. Po co tu przyjechałem. Ale faktycznie, tego drugiego dnia wyprawy dopadł mnie megakryzys. Bo widzisz... – Przemek na chwilę zawiesza głos – tu nawet nie chodzi o wysiłek, o ból mięśni. To masz wszędzie. Chodzi o to, że jesteś w najbardziej odludnym miejscu Europy. Jak ci się coś tutaj stanie, to po tobie. Nikt tu po ciebie nie przyjdzie. Rozumiesz?

– Próbuję to sobie wyobrazić...

– To wyobraź sobie huraganowy wiatr, który niemal cię przewraca. Wyobraź sobie zacinający nieustannie deszcz. I fakt, że nie masz żadnej ścieżki, absolutnie żadnego szlaku. Biegniesz po zmarzniętych murawach, zapadając się w nich raz po raz. Wyobraź sobie te przewyższenia. Po 600 metrów, po 800 metrów. Wbieganie na pagóry mające 1000–1200 metrów n.p.m., a potem zbieganie z nich do poziomu 200 metrów n.p.m. Czasem w śniegu, czasem w błocie. I ta przerażająca pustka. Świadomość, że jesteś tu zupełnie sam.

▶ Biega, odkąd pamięta

Pomysł na pokonanie „najtrudniejszego szlaku Europy", jak zazwyczaj opisuje się północnoszkocki Cape Wrath Trail, pojawia się w głowach wielu wędrowców, maratończyków czy ludzi chcących się po prostu sprawdzić. Ale tylko Przemysław Szapar mógł wpaść na to, aby pokonać go w nadludzkim tempie. Aby ustanowić rekord w szybkości przebiegnięcia całej trasy. I choć bolą go mięśnie i wie, że jutro czeka go prawdziwy maraton nadrabiania straconych dziś 30 kilometrów we wcale nie łatwiejszym terenie, wie też, że się nie podda. A przynajmniej nie dziś.

Kolejny dzień wcale nie jest łatwiejszy. Czternastokilogramowy (sic!) plecak coraz bardziej daje się we znaki. Na sobie leginsy i lekkie buty do biegania. W rękach kije trekkingowe, których zresztą nie bardzo jest jak używać. Chyba że do badania grząskości gruntu. Są bowiem takie bagniska, gdzie kijek chowa się do połowy. Wówczas trzeba szukać innej drogi. A przecież czas nieubłaganie mija. Kolejne kilometry zaś wcale nie chcą przybywać.

Przemek zaciska zęby. Biegnie dalej. Pomimo krótkiego snu, mokrych ciuchów, totalnej apatii. Momentami poczucia niewysłowionego bezsensu. I ciągłej walki z uprzykrzającą się pogodą. Skutkuje. Tego dnia zrobi finalnie 60 kilometrów. Nadrabiając w znacznej mierze stracony poprzedniego dnia dystans.

Biega, odkąd pamięta. I był w tym naprawdę dobry. Swego czasu zdążyli się o tym przekonać jego kumple z witominowskiego osiedla w rodzinnej Gdyni. – To niby osiedle z blokowiskami, ale zarazem otoczone lasami – wspomina dziś. – Pamiętam, że od piątego roku życia ganiałem po tych lasach z kolegami. I nigdy nie miałem problemów, by ich dogonić. Naprawdę już wtedy samo bieganie sprawiało mi wielką frajdę.

Filigranowego, umięśnionego, poruszającego się z charakterystyczną dla siebie gibkością i zamaszystością Przemka dość szybko wypatrzył w szkole podstawowej jego nauczyciel wychowania fizycznego, pan Marek. Wuefista zaczął jeździć z nim na okoliczne zawody. Gdy Przemek kończył 11. rok życia, wygrał pierwszy poważny turniej. Jako uczeń 4 klasy

fot. Przemysław Szapar

eprasa.pl d6f3169021

W pionierskich wyczynach naszego rodaka główną rolę – obok żelaznej kondycji – odgrywają drobiazgowe przygotowania

zdobył dla swojej szkoły Puchar Gdyni Szkół Podstawowych. Potem było już tylko lepiej. Nieoficjalny rekord w szybkości przejścia po zamarzniętym Bajkale, pierwsze miejsce w biegu na orientację „Harpagan" (100 km), ukończenie prestiżowych biegów „Bieg Rzeźnika" i „Bergson Winter Challenge" (blisko 400 km w górach zimą). Przemek biega szybko. I mądrze. Przez tyle lat – w tym roku kończy 42. rok życia – zdążył bardzo dobrze poznać swój organizm. Wie, czego mu potrzeba i ile może od niego wymagać.

Z miłości do ruchu Przemek uczynił więc sposób na życie. Jako fan wspinaczki założył firmę Essentia, w ramach której świadczy usługi tzw. alpinizmu przemysłowego. – Stawiamy konstrukcje stalowe, mocujemy reklamy na dużych wysokościach. Zajmujemy się ponadto odnową zabytków – wylicza z dumą. – Zdarzają się też mniej typowe zamówienia. Ostatnio na przykład pracowałem w naszej stoczni przy okrętach.

Przemek nie potrafi usiedzieć w miejscu. Jako zawodnik nie zapomniał o wychowaniu następnego pokolenia biegaczy. Stąd założony przez niego klub. – Nazwałem go Biegamina – śmieje się podczas rozmowy. – Wiesz... Bieganie to taka życiodajna witamina.

Jego zawodnicy wcale nie muszą być gorsi od samego trenera. Uprawiając tzw. podbiegi w górach już teraz mogą pochwalić się kilkoma laurami. Choćby podium w biegach „Piekło Północy" czy „Beskidzki Topór".

▶ Mistyka dla masochistów

Cape Wrath Trail. Północna Szkocja. Nieoznaczona trasa uznawana nieformalnie przez branżę maratońską za najtrudniejszy szlak w Europie, liczący niespełna 400 kilometrów. Między Fortem William a przylądkiem Wrath. Pomimo że jego odcinki stanowią część składową wszystkich 720 długodystansowych tras przecinających całą Wielką Brytanię, próżno szukać na nim jakichkolwiek oznaczeń. Pewnie także przez to Cape Wrath Trail jest postrzegany jako najbardziej mistyczny i tajemniczy szlak na całym kontynencie. Gdy dodamy, że jego trasa biegnie przez Morar, Knoydart, Torridon, Assynt i Sutherland – a więc najbardziej niedostępne i pozbawione jakichkolwiek oznak ludzkiej cywilizacji zakątki Szkocji – powstanie pełen obraz Cape Wrath Trail. Nazywanego przez niektórych „trasą dla masochistów". Albo ludzi niespełna rozumu. Bo przecież deszczowa kraina pełna wezbranych potoków, zabagnionych stoków i znacznych deniwelacji, a przy tym wszystkim pozbawiona wszelkich przejawów życia nie może kusić nikogo normalnego. A jednak. – Wyobraź sobie, że stajesz się świadkiem świata zupełnie nieprzetworzonego. Takiego, jaki istniał przez setkami lat. W niczym nieróżniącego się od tamtych zamierzchłych czasów – tłumaczy swój wybór Przemek. – To właśnie jest najbardziej fascynujące w całym pokonywaniu Cape Wrath Trail. Ta czystość. Ta naturalność. Ta jedność ze światem. Mimowolnie stajesz się jego częścią. Jego fragmentem. To doprawdy iście mistyczne doznanie.

eprasa.pl d6f3169021

Najtrudniejszy szlak Europy kończy się przylądkiem Wrath

Samotność i groza

Czwarty dzień biegu. Przemkowi znów brakuje snu. Nie było go tej nocy za wiele. Biegnie, ale ma zarazem wrażenie, że wcale się nie porusza. To jednak dopiero początek dzisiejszej gehenny. Około południa u Przemka zaczynają się halucynacje. Dziwny stan trwa nieprzerwanie. Przemek nie bardzo rozumie, co się z nim dzieje. – Masz wrażenie, jakbyś częściowo postradał zmysły – tłumaczy dziś tamten czas. – Coś pomiędzy stanem narkotycznym a alkoholowym. Czujesz, że się męczysz, ale odnosisz zarazem wrażenie, że się wcale nie przesuwasz. Koszmar.

Cały czas z tyłu głowy Przemka kołacze się myśl, że jest tu zupełnie sam. Gdyby złamał nogę bądź spadł, nie znajdzie pomocy. Wówczas jedynym ratunkiem będzie telefon. Jednakowoż z zasięgiem sieci na Cape Wrath Trail jest gorzej niż źle... Pozostaje wówczas satelitarny lokalizator SPOT z możliwością wezwania służb ratowniczych. – Przeżywając wszystkie te trudności, zestawiając przygotowania i to, co wiedziałeś o szlaku wcześniej, z tym, co zastajesz na miejscu, dochodzisz wreszcie do wniosku, że cały ten bieg to jedna wielka loteria – przywołuje tamte wspomnienia, Przemek nadal jest bardzo drobiazgowy. Pamięta niemal każdy szczegół. – Dopóki nie zbliżysz się na taką odległość do końca trasy, że teoretycznie mógłbyś się do niej przeczołgać, to nawet na te 30–40 kilometrów przed końcem nie możesz być pewny, czy ci się to na pewno uda. Stawiając tysiące kroków na podłożu niepewnym, mokrym, grząskim, wystarczy jeden zły krok, by skręcić nogę. A jak pęknie torebka stawowa, to koniec. Cape Wrath to potworny wysiłek. Jednak nie tylko fizyczny, lecz także psychiczny.

Przemek wie, o czym mówi. Piątego dnia niefortunnie stawia lewą nogę. Na nierównym terenie, wśród krzewów i wrzosowisk to niemal nieuniknione. Momentalnie czuje przeszywający ból. Już wie, że skręcił staw.

Chrust dla następnych

Plecak jest coraz lżejszy. Część prowiantu Przemek zdążył już zjeść, więc z pierwotnych 14 kilogramów jest około 10. Maratończyk postanawia przezwyciężyć ból i biec dalej. Na szczęście kontuzja nie jest aż tak poważna, jak mogło się wydawać w pierwszej chwili. To tylko podkręcenie.

Tego dnia Przemek ma do pokonania 67 kilometrów po niezwykle mocno pofałdowanym terenie. Suma przewyższeń, jaką pokona tego dnia, wyniesie 4500 metrów. Po dotarciu do kolejnego domku typu bothy od razu pada na drewnianą pryczę. Kilka chwil oddechu w ocienionej od zacinającego wiatrem deszczu cichej przestrzeni i za chwilkę znów standardowy zestaw czynności. Wypakowanie plecaka, przygotowanie ciepłego posiłku, uszykowanie legowiska i wreszcie upragniony sen. Kolejny dzień za nim.

fot. Przemysław Szapar (2)

eprasa.pl d6f3169021

Końcówka Cape Wrath Trail wiąże się także z koniecznością przejścia przez poligon

– Te domki to prawdziwe wybawienie. Bez nich nie miałbym po co tam jechać – wspomina Przemek. – Do ekwipunku musiałbym dodać namiot, a przez to mój plecak ważyłby wówczas 20 kg. Z takim bagażem nie ma już jak biec.

– A skąd w ogóle te domki na trasie? – dopytuję.

– To pozostałości po prastarych osadach. Dziesiątki lat temu ktoś w nich mieszkał. Teraz przejęte przez Mountain Bothy Association służą zabłąkanym turystom oraz takim jak ja – uśmiecha się. – Podszyte wiatrem, wilgocią. Ale i tak dające wybawienie. Najciekawsze jest, że masz kominek, ale wokoło... nie ma ani jednego drzewa. Anglicy wycięli. Siedzisz więc i gapisz się na ten kominek i tylko wyobrażasz sobie, jakby tu było pięknie, gdyby on zapłonął...

– Taki nocleg coś kosztuje?

– Nie, śpisz za darmo. Cały system polega na zaufaniu i respektowaniu ogólnie przyjętych zasad. Po pierwsze: zawsze po sobie sprzątamy. Po drugie: nikomu nie zabraniamy skorzystać ze schronienia. I po trzecie: zamykamy okna i drzwi, gdy opuszczamy chatkę. Aha, jeśli jednak jakimś cudem znalazłbyś drzewo, dobrze jest zostawić trochę suchego chrustu w kominku dla przyszłych gości – śmieje się Przemek.

▶ Nurt

Pod koniec dnia Przemek biegnie już tylko siłą woli. Liczne przewyższenia dały w kość. Organizm potrzebuje przerwy. Według mapy najbliższy bothy jest już niedaleko. Przy wieczornej mgle trudno jednak o dobrą orientację. Przemek czuje, że jest blisko. Domku jednak nadal nie widać. Po kilku minutach pojawia się za to coś zgoła niespodziewanego. Gigantyczny potok. Na mapie wyglądał na znacznie prostszy do sforsowania. Jednak stojąc przed rwącą górską rzeką, Przemek wie, że nie ma szans przeprawić się w tym miejscu. – To było coś, o czym nie wiedziałem przed wyprawą. Wody w Szkocji jest mnóstwo. To prawdziwy skarb tego kraju. Czasem niestety okazuje się przekleństwem.

Przemek rusza więc wzdłuż rozszalałego nurtu, badając raz po raz jego głębokość. Szuka brodu. Miejsca, gdzie w miarę bezpiecznie będzie w stanie przejść na drugą stronę. Wędrówka przedłuża się. Kolejna nieplanowana przeszkoda. Kolejny nieplanowany problem. Robi się coraz ciemniej. Kwietniowe zachody słońca nad szkockimi landami północy rozpoczynają się kilka minut po godzinie 20. A jest już grubo po 21. Bezradny Przemek szuka już przejścia niemal dwie godziny.

Wreszcie jest. Przemek bada poziom gruntu. Kije chowają się w całości pod taflą. Ale woda zdaje się nie przykrywać całego ciała. Przemek szybko rozbiera się, by nago wejść do rozhuczanego, zimnego potoku. – Woda miała ze 3, może 4 stopnie Celsjusza – wspomina. – Nie było jednak wyjścia. Musiałem zacisnąć zęby i przenosić systematycznie kolejne rzeczy na drugi brzeg.

eprasa.pl d6f3169021

To najbardziej odizolowane od człowieka rejony tak Wielkiej Brytanii, jak i Europy

Woda sięga piersi. Przeprawiając się przez potok, Przemek zapiera się kijami o dno. Nurt jest niezwykle silny. – Bez pomocy kijów na pewno by mnie porwało. To byłby koniec.

Drobny Polak, wielki wyczyn

Siedem dób, 9 godzin i 32 minuty. Tyle Przemkowi Szaparowi zajmuje pokonanie całej trasy Cape Wrath Trail. Przebiega 384 kilometry, robiąc jednocześnie 16 tys. metrów przewyższenia w górę i drugie tyle w dół. Po nieco ponad tygodniu wyczerpany, acz szczęśliwy dobiega do najdalej na północ wysuniętego skrawka Wielkiej Brytanii, przylądka Cape Wrath. Bijąc jednocześnie poprzedni rekord trasy. Należący notabene też do Polaka, Rafała Bauera, który na pokonanie szlaku potrzebował 11,5 doby. – Brytyjczycy wpisali mój rekord do specjalnej księgi „Fastest no time". To taka ekskluzywna księga maratończyków i biegaczy – dodaje z dumą Przemek. – Rekord jest też wpisany w oficjalnym przewodniku po Cape Wrath Trail. Po chwili zadumy maratończyk dodaje jednak: – Zabrakło jednak tak niewiele. O mały włos, a byłoby to sześciodniowe przejście. Ale cóż... Tak przynajmniej były przygody.

W chwili, gdy powstaje ten tekst, Przemek w swoim gdańskim mieszkanku powoli szykuje się do kolejnego wyczynu. Tym razem planuje przebiec... Islandię. – Startuję z najdalszego punktu na wschodzie, Przylądka Gerpir. Następnie zamierzam przebiec interior i zakończyć trasę na najdalej wysuniętym na zachód punkcie, czyli na Przylądku Bjargtanger. Ustanawiając w ten sposób Fastest Known Time – mówiąc to, sprawia wrażenie faceta, który ma już wszystko szczegółowo dopracowane. – To 1100 kilometrów. Przez totalne pustkowie. Planuję zrobić to w 16 dni. Oczywiście pobiegnę bez żadnego wsparcia z zewnątrz: czyli zupełnie sam, z bagażem na plecach. I oby jak najszybciej.

Czy mu się uda? Przekonamy się w sierpniu, kiedy planuje wystartować. Osobiście nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A za argument służy mi pewna scenka, której głównym bohaterem był swego czasu sam Przemek i pewien poczciwy szkocki staruszek. Działo się to jeszcze podczas pokonywania Cape Wrath Trail. Staruszek był jedną z nielicznych postaci, jakie spotkał na swoim szlaku maratończyk. Szkot siedział pod swoim bothy i ze spokojem oglądał otaczający go świat. Gdy zobaczył mężczyznę, przyjaźnie zamachał ręką. Przemek na chwilę się zatrzymał, tłumacząc, co robi i jakie ma zamiary na najbliższe kilka dni.

– I ty tak na serio planujesz przebiec cały Wrath Trail? – dziadek spojrzał na Przemka z nieco mniej ufną miną.

– Najzupełniej serio.

Gdy na chwilkę obrócił się, aby przyszykować się do ugoszczenia przybysza, ten był już kilkadziesiąt metrów dalej. Przyjaźnie machając ręką na pożegnanie. Bo on nie żartował. Pobiegł naprawdę.

I teraz też pobiegnie. Zobaczycie. ■

fot. Przemysław Szapar (2)

eprasa.pl d6f3169021

Marcin Wolski

Zbrodnie i kary

Kuriozalne zachowanie „rzecznika praw obywatelskich" Bodnara (cudzysłów nieprzypadkowy) zwraca uwagę na jedną z tendencji współczesnego świata, która polega na większej trosce o los przestępców niż ich ofiar. W dawniejszych epokach, kiedy kary bywały okrutne – pręgierz, chłosta, galery – a sprawiedliwość dość często okazywała się ślepa, podobne działania miały sens. Obecnie coraz częściej utrudniają one działania służb, osłabiając odstraszającą funkcję kary. Od niepamiętnych czasów rolą wyroku było wymierzenie sprawiedliwości, izolowanie przestępcy od społeczeństwa, zniechęcenie innych gotowych pójść tą drogą. Z czasem dodano również funkcję poprawczą, resocjalizacyjną, choć wyniki najczęściej bywają słabe, a więzienie raczej doskonali przestępców, niż ich wychowuje. Odbywanie kary staje się coraz bardziej komfortowe, wielokrotni mordercy odgrywają role celebrytów, liczne przepustki, wizyty rodzinne itp. łagodzą dolegliwości, a wysokość kar, zwolnienia warunkowe i amnestie powodują, że w społecznym odczuciu bardzo często proporcja kary do zbrodni staje się po prostu śmieszna. Rezygnacja z kary głównej ostatecznie osłabiła równowagę sił między światem prawa i bezprawia. Kara śmierci jest jedynym elementem, który był w stanie hamować zbrodnie – dowodem są zachowania morderców, którzy schwytani dbają o takie oddanie się w ręce policji, żeby nie sprowokować użycia broni. Nie ukrywam, że w sprawach takich jak wielokrotne morderstwo czy terroryzm jestem za przywróceniem tej kary – nawet nie jako rewanżu, lecz jako uchronienie potencjalnych ofiar. Z więzienia można uciec, zwolnienie wymusić... Oczywiście kara taka winna być orzekana z wielką ostrożnością – nigdy w procesie poszlakowym, kiedy istnieje jakakolwiek możliwość pomyłki sądowej. Żeby było jasne, nie jestem zwolennikiem stałego zawyżania kar, w którymś bowiem momencie kara przestaje być ekwiwalentna, a staje się absurdalna, jak 25 lat za wielkie oszustwa finansowe. Podobnie nie wydaje mi się sensowne orzekanie trzydziestoletnich wyroków dla pedofilów. Efekt może być odwrotny od zamierzonego. W Ameryce po zrównaniu wyroku za porwanie i zabójstwo gwałtownie wzrosła ilość morderstw zakładników. Po prostu żywy porwany zwiększał zagrożenie wpadki, a kara była taka sama. Nie chcę krakać, ale jeśli pedofilia będzie karana tak jak zabójstwo, zwyrodnialcom bardziej będzie „opłacało się" zabijanie swych ofiar, co może ułatwić zacieranie śladów. Dlatego maksymalne zwiększanie kar, w jak największej liczbie kategorii niekoniecznie musi skutkować poprawą stanu bezpieczeństwa. W Generalnej Guberni śmierć groziła praktycznie za wszystko i być może właśnie ta okoliczność wygenerowała najsilniejszy ruch oporu w całej okupowanej Europie. Skądinąd zniesienie kary śmierci wcale nie oznacza, że znika ona z życia. Zaczyna być po prostu wykonywana inaczej. Policjant zaryzykuje złamanie prawa, nie chcąc dopuścić, aby zbrodniarzowi się upiekło, a więzienna subkultura też ma swoje metody na rozprawienie się ze szczególnym zwyrodnialcem. Osobiście uważam, że kara powinna być nieuchronna, szybko wymierzana, ekwiwalentna i elastyczna. Czym innym jest 10 lat więzienia dla czterdziestoletniego przekręciarza, którego skuteczniej ugodziłaby konfiskata mienia, również przepisanego na teściową, czym innym dla starego recydywisty, który przyjmie ją jako spokojną emeryturę. ■

ODBYWANIE KARY STAJE SIĘ CORAZ BARDZIEJ KOMFORTOWE, WIELOKROTNI MORDERCY ODGRYWAJĄ ROLE CELEBRYTÓW, A WYSOKOŚĆ KAR, ZWOLNIENIA WARUNKOWE I AMNESTIE POWODUJĄ, ŻE W SPOŁECZNYM ODCZUCIU BARDZO CZĘSTO PROPORCJA KARY DO ZBRODNI STAJE SIĘ PO PROSTU ŚMIESZNA.

eprasa.pl d6f3169021

Tomasz Sakiewicz

Przestrzeń wojny

Wojny służą osiąganiu celów politycznych. Tymi celami mogą być zabór terytoriów, dóbr materialnych, osłabienie potencjału przeciwnika, represja za agresywne działania. Przynajmniej dwa z nich – te ostatnie – da się osiągnąć za pomocą wojny informacyjnej, a dwa pierwsze muszą wprawdzie wiązać się z uderzeniem klasycznymi siłami militarnymi, ale mogą być wsparte wojną informacyjną. Nic też dziwnego, że realne obszary konfliktu przenoszą się dzisiaj w przestrzeń medialno-internetową. Zarówno państwa, jak i wyspecjalizowane firmy są w stanie wykonać wieloźródłowy atak na tę przestrzeń i osiągać poważne cele przy dosyć ograniczonych kosztach.

Jakie metody stosuje się w wojnie informacyjnej? Klasyczny atak hakerski, który destabilizuje działanie urządzeń informatycznych. Może to doprowadzić do szeregu awarii różnych sprzętów podłączonych do elektrycznego źródła zasilania. Samolot czy samochód na klasyczne paliwo ma na ogół komputer podłączony do prądu. Dzięki temu można takie urządzenie uszkodzić lub wręcz spowodować katastrofę.

Rozwinięciem tego sposobu wojny jest pozostawienie w systemie informatycznym informacji, które mogą spowodować, że człowiek odbierający dane podejmie błędne decyzje. Taki atak ostatnio Rosjanie przeprowadzili na portal niezalezna.pl. Informacje o rzekomej mobilizacji i jej uciążliwych skutkach dla ludności osłabiają potencjał obronny Polski. A w każdym razie wiele wskazuje na to, że taki miały cel.

Można więc powiedzieć, że przestrzeń informatyczna daje agresorowi dwa pola działania: bezpośrednio przeciwko urządzeniom i bezpośrednio przeciwko ludziom. To drugie jest gospodarowane także za pomocą innych mediów, jak telewizja, radio, prasa itp. Dzisiaj rzadko stosuje się ofensywę tylko za pomocą jednego sposobu przekazu. W czasie ostatnich wyborów ataki na „Gazetę Polską" przynajmniej w części były sterowane z Rosji. Oczywiście skala tych napaści w internecie była bezprecedensowa, ale wykorzystywano też zarówno media spełniające rolę pożytecznych idiotów, jak i te w taki czy inny sposób uzależnione od pieniędzy, których ostateczne źródło było na Kremlu. Oprócz mediów do wojny informacyjnej zwerbowano znanych publicystów, a nawet działaczy społecznych. Większość z nich nawet nie miała świadomości, że bierze udział w jakimś konflikcie. Z różnych powodów przyłączali się do fali agresji propagandowej, sądząc, że realizują na przykład cele patriotyczne albo budują swoją pozycję polityczną. W rzeczywistości często doświadczeni znawcy sceny politycznej dali się rozegrać jak dzieci. Najbardziej gorszące jest to, że niektórzy przynajmniej mogli domyślać się, że biorą udział w wojnie informacyjnej Kremla, ale widząc niesamowity poklask w sieci internetowej, szli na ten łatwy chleb propagandy. Potem okazało się, że owo poparcie w dużej części było zupełnie iluzoryczne. Oszustwo jest jedną z najważniejszych broni wojny, a uzależnione od agresora media tylko pomagają w kolejnych formach dezinformacji. ■

Zarówno państwa, jak i wyspecjalizowane firmy są w stanie wykonać wieloźródłowy atak na przestrzeń medialno-internetową i osiągać poważne cele przy dosyć ograniczonych kosztach.

eprasa.pl d6f3169021

CYFROWY POLSAT

CZARNOBYL
HBO HD HBO GO

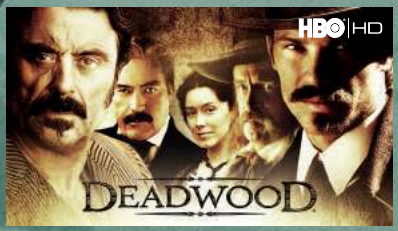

Najlepsze filmy, seriale i sport na start
3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Oferta dostępna również w telewizji kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. PGE Ekstraliga w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „Deadwood" © 2016 Home Box Office, Inc. „Wielkie kłamstewka" © Home Box Office, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

eprasa.pl d6f3169021